

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 03 (184) Marzec 2020



Śpiewający tata z córką: Andrzej i Maja Sikorowscy

Monika Sznajderman z Nagrodą Główną „Portrety 2019”!

Agnieszka Dauksza z Nagrodą Czytelników i Publiczności



9 771733 045002 03

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Z OSTATNIEJ CHWILI

MIESIĘCZNIK **KRAKÓW**

zaczynamy się w Krakowie
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK
miesiecznik.krakow.pl

Kraków
PATRONAT HONOROWY
PREZYDENTA MIASTA KRAKOWA
JACKA MAJCHROWSKIEGO

Z PRZYJEMNOŚCIĄ OGŁASZA:

MONIKA
SZNAJDERMAN
Z NAGRODĄ
„**PORTRETY**
2019”
I NAGRODĄ FINANSOWĄ
W WYSOKOŚCI
10 TYSIĘCY ZŁOTYCH



FUNDATOR NAGRODY GŁÓWNEJ



Jury w składzie:

Magda Huzarska-Szumiec, Edyta Wiśniowska, Witold Bereś (redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”), Krzysztof Burnetko, Janusz Paluch, Artur Więcek „Baron” (przewodniczący jury) uznało, że jej książka

Pusty las

jest nie tylko przednią biografią społeczności i miejsca, nie tylko odważnym sposobem oddania skomplikowanych polskich losów i trudnych tematów, ale i wybitnym dziełem literackim – a przez to: **najlepszym polskim dziełem biograficznym 2019 roku.**

NAGRODA CZYTELNIKÓW I PUBLICZNOŚCI:

Agnieszka Dauksza *Jaremianka. Biografia*

Bardzo dziękujemy tym czytelnikom naszego miesięcznika i wszystkim korzystającym z bibliotek miasta Krakowa, którzy zechcieli zagłosować w naszym konkursie – nagrody książkowe już wkrótce zostaną rozlosowane pomiędzy wszystkich, którzy wzięli udział w głosowaniu i podali swój adres.

PRODUCENCI FUNDATOR NAGRODY CZYTELNIKÓW I PUBLICZNOŚCI PATRON MEDIALNY



PARTNERZY



Raphael (1483–1520), *Portret papieża Juliusza II*, olej na topoli, 1511, National Gallery London – reprodukcja: za wikimedia (domena publiczna)

Papież Juliusz II, właśc. Giuliano della Rovere (ur. 1443 w Albisoli, zm. 1513 w Rzymie); znany patron sztuk pięknych, wspierał między innymi Michała Anioła, Donato Bramante, Rafaela Santiago. Na jego zlecenie Michał Anioł namalował freski zdobiące sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej. **O roli mecenasów kultury dawniej i dziś pisze na stronach 2 i 3 Jerzy Surdykowski.**

Mecenas chce mieć święty spokój

Tekst: Jerzy Surdykowski

Po co zastanawiamy się nad wolnością twórczą? Jest podstawowym prawem każdego twórcy – ma być i już! Nie po to jednym z pierwszych działań niekomunistycznych rządów po wschodnioeuropejskiej Jesieni Ludów w historycznych latach 1989–90 była likwidacja cenzury. *Evviva l'arte!* – wołali zbuntowani XIX-wieczni artyści w Paryżu, a ich śladem nasi młodopolscy buntownicy, występując przeciwko mieszczańskiemu konwenansowi.

S pójrzmy na to jednak szerzej. Każdy artysta potrzebuje wsparcia. Mało który pisarz jest w stanie zafundować sobie wydawnictwo, a jeśli nawet zafunduje, to zwykle czeka go plajta, bo zna się na pisaniu książek, nie na handlu nimi. Malarz czy rzeźbiarz pracuje nie tylko po to, by kupić materiały do konstruowania własnych dzieł, ale także by z tego żyć. A już prawdziwe nieszczęście jest z teatrem, nieraz muzyką, a zwłaszcza filmem; tu trzeba milionów! Kto ma je wyłożyć?

Ze starożytnego Rzymu wywodzi się pojęcie „mecenasa”, hojnego dostojnika wspierającego sztukę.

Indywidualny gust i wielkoduszność mecenasów zostały dziś zastąpione przez gust zbiorowy i wielkoduszność uśrednioną, czyli żadną. System demokratyczny preferuje więc taką sztukę: bezosobową, podobającą się uśrednionemu obywatelowi.

W dawnych czasach takimi dobroczynnymi postaciami byli książęta, hrabiowie, nieraz biskupi i oczywiście królowie. Ale królewski gust nie musi być zbieżny z zamysłem artysty, a wielkoduszność władcy nie sięga aż tak daleko, by otwierać kiesę dla niepokornych.

Zdarzają się jednak wyjątki: papież Paweł III nie oburzał się nagością na malowidłach Michała Anioła w wiekopomnej Kaplicy Sykstyńskiej, dopiero jego pruderyjny następca zatrudnił „majtkarza”, by zakrywać to i owo. Ale Paweł III to był ktoś: proponował kapelusze kardynałowi z Rotterdamu, uznał Indian za pełnowartościowych ludzi i zabronił nawracania siłą. Iluż mamy takich na tronach? Artyści pozostają więc żebraczka wędrówka z dworu na dwór, na szczęście w dawnych czasach było takich przystani sporo. Mimo to niejednego wielki umierał w niedostatku jak Rembrandt, Cervantes czy El Greco.

Sprawa pogorszyła się wraz z upadkiem dworów i nastaniem demokracji: mecenasem ma być państwo, ewentualnie lokalny samorząd i na to także pobierane są podatki. Sprawa jest trudna nie tylko dlatego, że pieniędzy zawsze za mało i są potrzeby pilniejsze od sztuki – z armią, policją, korpusem urzędniczym i służbą zdrowia na czele. Jeśli już na dzień budżetu zostanie coś dla twórców, to pytanie: ile i komu? Bo dla wszystkich nie starczy. Jeśli wesprzemy teatr, to zaniedbana poczuje się filharmonia. Jeśli damy stypendium pisarzowi A, to rozłóżymy panów B i C. Może A jest wielki, ale trudny w czytaniu, za to B produkuje wierszyki patriotyczne, użyteczne w wychowaniu młodzieży. Damy więc B, panu C obiecamy hojność w przyszłym roku, zaś A ze swoimi pretensjami do wielkości niech idzie w cholerę! I tak dalej, i tak dalej... Nie wynikają z tego twarde ograniczenia cenzuralne, ale jasne wskazania: twórz tak, aby się podobało, inaczej bieda.

Michał Anioł, Rembrandt czy Cervantes mieli jednak tę przewagę, że mogli wyruszyć w kolejną podróż w poszukiwaniu hojnego księcia; dzisiejszy twórca jest związany z państwem, ma określone obywatelstwo i miejsce zamieszkania.

Poniekąd powinien być zadowolony: książę z renesansowych opowieści stał się demokratyczny, a o wydawaniu środków na sztukę decydują tak zwane procedury. Czyli kto? Kierownik odpowiedniego referatu jest tylko pośrednikiem; decyduje podatnik, bo on za wszystko płaci. Indywidualny gust i wielkoduszność księcia zostały zastąpione przez gust zbiorowy i wielkoduszność uśrednioną, czyli żadną. System demokratyczny preferuje więc taką sztukę: bezosobową, podobającą się uśrednionemu obywatelowi. Pan Nikt zasiadł na opuszczonym tronie i on teraz ma decydować o rozdziale skromnych środków.

Jeśli nawet urzędnik w roli pośrednika między tak rozumianym suwerenem a twórcą pozwoli sobie na niekontrolowany odruch serca i gustu, będzie ukarany przy najbliższych wyborach. Nie życzymy sobie, aby „takie rzeczy” powstawały za nasze pieniądze! – wrzaśnie suweren. Dlatego w demokracji

wygrywa gust pani Dulskiej; dlatego Zenek Martyniuk zawsze pokona Olgę Tokarczuk, nawet jeśli na czele Telewizji Polskiej stałby ktokolwiek znacznie przewyższający jej obecnego prezesa. Jaki Książę, taka będzie sponsorowana przezeń twórczość i taki zakres swobody. A ten Książę chce mieć nade wszystko święty spokój. Granic wolności nie strzegą już książęcy siepacze; stos nie grozi za ich przekroczenie, tylko zapomnienie, bieda, niemożność realizacji czegośkolwiek.

Ale w tej dominacji nudnej tandety tkwi pewna szansa dla jednostek sprytnych, choć niekoniecznie najwybitniejszych. Czego nie znosi pani Dulska? To oczywiste: seksu i szargania narodowych świętości, a zwłaszcza Kościoła. Trzeba więc zrobić coś dokładnie na opak, wywołać awanturę, która opłaci się rozgłosem.

Nie chodzi o żadne poważne pytania, o żadną filozofię bytu, tylko o drakę!

Doświadczona demokracja stara się chronić pluralizm, premiować twórczość wybitną, mimo że presja uśrednionej mentalności ciągnie ją w dół. W państwach bogatych, jak USA czy Niemcy, służy temu wielość pozarządowych fundacji i wysokie odpisy podatkowe pozwalające bogatemu biznesowi wspierać takie przedsięwzięcia. Gdyby pozostawiono tam – jak u nas – tylko 1 proc. podatku do indywidualnej dyspozycji, szybko upadłaby twórczość nie tylko artystyczna, ale naukowa, zmarniałaby ośrodki analiz politycznych. Inne kraje – przykładowo skandynawskie – starają się otoczyć przyznającego środki pośrednika gremiami apolitycznych, a więc niewybieralnych ekspertów, uniezależnić od potocznego gustu, tak jak niezależne powinny być sądy. Ale to wszystko jest przeciw demokracji rozumianej jako niepodzielna władza suwerena. Jeśli dziś psoczymy na demokrację liberalną, to między innymi dlatego. „Jeżeli lud naśladuje elity, to kultura się rozwija. Jeśli zaś elity zaczynają naśladować prosty lud, kultura się zwiija” – napisał kiedyś Arnold Toynbee.

Może jeszcze groźniejsze ograniczenie wolności twórczej pojawia się w demokracjach skłóconych, szarpanych głębokimi podziałami politycznymi – jak u nas. Obie splecione w śmiertelnym zwarcu siły mają odrębne media, fundacje i środki. Partia akurat zwycięska ma jeszcze do tego państwo nieprzyjazne wobec siły akurat słabszej. W takim zwalczającym się duopolu niemożliwy jest dialog o wartościach ani odpowiedzialna krytyka artystyczna, zwłaszcza literacka. Jest tylko lans: dla swoich chwala, dla obcych: gleba! Na jednym brzegu preferowane są dzieła postmodernistyczne, patchworkowe, tęczowe, ironiczne w stosunku do wartości uznanych niegdyś za podstawowe. Żadnej metafizyki, żadnych wielkich pytań. Na przeciwnym: pożądany jest dęty patriotyzm wiecznego przedmurza i Chrystusa Narodów. Kto podporządkuje się tak zakreślonym granicom, może liczyć na wsparcie i stosowne nagrody. Kto wykracza dalej – na przemilczenie, a jeśli hardy to na wdeptanie w glebę.

Tak w nowym, wspaniałym świecie – podobno wolnym – rozpanoszył się wspaniały cenzor. I to nie tylko dlatego, że dziś na książęćym tronie zasiada pospolitość.

*
Demokracja jest egalitarna, sztuka elitarna; ta sprzeczność jest nieusuwalna. Podobnie jak między postulatami wolności twórczej a wszystkimi jej ograniczeniami narzuconymi przez czas i ustrój, w jakim twórca żyje. Wcale nie jest tak, że niegdyś były ograniczenia i zakazy, a dziś tylko swoboda, choć wielu polityków zabiega, byśmy przyjęli tak wykrzywioną optykę. Może nawet dawny twórca pielgrzymujący od dworu do dworu był bardziej

W nowym, wspaniałym świecie – podobno wolnym – rozpanoszył się wspaniały cenzor. I to nie tylko dlatego, że dziś na książęćym tronie zasiada pospolitość.

wolny niż dzisiejszy, zabiegający o dogodzenie celebrytom i redaktorom naczelnym. I wcale nie jest tak, że wolność twórcy ogranicza tylko jego własna odpowiedzialność, jak można byłoby napisać, zbyt ogólnikowo rozważając problem wolności. Wielkie dzieła nie rodzą się zazwyczaj tam, gdzie wolność jest – jak twierdził XIX-wieczny myśliciel brytyjski lord Acton – „wolnością czynienia rzeczy słusznych”, albo – jak chciał Karol Marks – „uświadomioną

Demokracja jest egalitarna, sztuka elitarna; ta sprzeczność jest nieusuwalna.

koniecznością”. Wielkość rodzi się z buntu, gniewu, z bluźnierstwa przeciw światu. Choć oczywiście niekoniecznie, bo również w tym samym miejscu może powstać kicz. Lecz twórca – jeśli chce być wolny i sięgnąć po wielkość – musi podjąć ten straszny los i być świadom tej nieusuwalnej sprzeczności. Na tak przepaścistej drodze może sięgnąć po Nobla i inne najszczytniejsze laury, ale najbardziej prawdopodobne jest pominięcie i zapomnienie. Jak mądry i jak bogaty musiałyby być państwowy mecenas, aby to pojąć? Zresztą demokracja szybko się takiego pozbędzie...



Jerzy Surdykowski – rocznik 1939, publicysta, pisarz, dyplomata, działacz opozycji demokratycznej w PRL, wykładowca dziennikarstwa na UJ. Od końca lat 60. związany z dziennikarstwem – tu m.in. „Perspektywy”, „Życie Gospodarcze”, „Życie Literackie”.

W sierpniu 1980 roku uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej, gdzie publikował w biuletynie strajkowym, po stanie wojennym, objęty zakazem pracy w mediach, pisywał do prasy drugiego obiegu. Po 1989 roku był członkiem redakcji „Tygodnika Solidarność”, „Rzeczpospolitej” i „Wprost”, a następnie konsulem generalnym w Nowym Jorku oraz ambasadorem w Tajlandii. Autor wielu książek.

**TEMAT MIESIĄCA:
MECENASI KULTURY DAWNIEJ I DZIŚ****Jerzy Surdykowski: s. 1**

Indywidualny gust i wielkoduszność mecena-
sa zostały dziś zastąpione przez gust zbioro-
wy i wielkoduszność uśrednioną, czyli żadną.
System demokratyczny preferuje więc takąż
sztukę: bezosobową, podobającą się uśrednio-
nemu obywatelowi

**KRAKÓW MÓWI****W Kościele jest dziś trudno** – z Józefą Hennelową/
Witold Bereś, Krzysztof Burnetko **s. 41****„Islamista” znaczący zwawca islamu**
– z Anną Wilczyńską/Paweł Kopeć **s. 29****LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA****Sztuka poza ramami** Sylwia Pyzik **s. 12**
Jeść, pić i kochać! – z Andrzejem Sikorowskim/
Katarzyna T. Nowak **s. 20****Prawdziwi faceci potrafią płakać** – z Mają Sikorow-
ską/Katarzyna T. Nowak **s. 22****Uwagi o homo viator** Jan Barański **s. 26****Znaleźć równowagę** – z Jerzym Kędziórą/
Dominik Jedliński **s. 51****Z fototeki Danuty Wegiel/Lata płyną i...**
(Jerzy Jarniewicz) Jakub Wydrzyński **s. 56****W sieci kultury** **s. 65****Kronika kulturalna** **s. 87****Krakowski łącznik** **s. 90****Kraków (Główny)** **s. 91****Linia A-B** **s. 92****REKOMENDACJE:****Śpiewografia śpiewożycia** Jan Biela **s. 39****Skarby piastowskich królów**
Magda Huzarska-Szumiec **s. 46****Esencja muzycznych zapachów (Bożena
Zawiślak-Dolny)** Magda Huzarska-Szumiec **s. 58****ZAPRASZAMY NA SPACER****... do MOCAK-u** **s. 55****OBYWATELE KRAKOWA****Pokoje pełne słońca (Katarzyna Konewecka-
Hołój)** Magdalena Oberc **s. 8****PORTRETY****Pustka po sąsiadach** – z Moniką Sznajderman/
Magda Huzarska-Szumiec **s. 34****Portrety 2020 (marzec)** **s. 24****HISTORIA****FOTO RETRO** Krzysztof Jakubowski **s. 10**
Kalendarium krakowskie: marzec 2020Krzysztof Jakubowski **s. 59**
Król czekolady Adam Piasecki Ewa Danowska **s. 62****TEATR****Nikt nie zapukał** Paweł Głowacki **s. 66****FILM****Czeska Agnieszka** Maria Malatyńska **s. 74**
Jestem REN Łukasz Maciejewski **s. 78****LITERATURA****W niszy może być przyjemnie** – z Michałem
Komarem/Witold Bereś **s. 70****Bucik czerwony i bucik żółty** Michał Komar **s. 72****KSIĄŻKI****Nasza biblioteka** **s. 84****GALERIA „KRAKOWA”****Kamil Targosz** Magda Huzarska-Szumiec **s. 48****FELIETON****NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska **s. 5**
OKIEM BERESIA Witold Bereś **s. 6****Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko **s. 7**
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 81****POZA KRAKOWEM** Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82****BEDEKER KRAKOWSKI** Iga Dzieciuchowicz **s. 83**
NIE TYLKO O CRACOVII Jerzy Pilch **s. 96****OKŁADKA****Maja i Andrzej Sikorowscy** Fot. Adam Golec

O palcu

Tekst: Ewa Lipska

Jak się macza palce w polityce, to trzeba być ostrożnym. Z powodu środkowego palca posłanki Lichockiej, jej partia obgryza teraz paznokcie. Ale i tak nie spadnie jej palec z głowy. Wszystkim posłom, na wszelki wypadek, przypominam ludową mądrość: „Jest cnota nad cnotami, trzymaj palec za zębami”.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Blachut

Ósmy marca

Tekst: Witold Beres

Kto wie, czy tego święta nie obrzydził mi komunizm. Ósmy marca zawsze zamieniał się w jakiś ideologiczny koszmarny i paskudzenie dobrego smaku. Być może dlatego do dziś nie jestem w stanie do końca zrozumieć feminizmu – ale tym bardziej uważam, że trzeba poważnie wsłuchiwać się w jego argumenty.

W jednej z modnych knajpek w samym centrum miasta Krakowa (OK – żeberka pycha!) robawieni kelnerzy (i kelnerki) podają pod talerze zafo-liowane i pokryte różnymi napisami podkładki. Nazywa się to „Jak rozmawiać z kobietami?” i leci mniej więcej tak: mamy pięć sytuacji dialogowych z różnymi sugerowanymi odpowiedziami, do-branymi – jak rozumiem – pod kobiecą mentalność. Każda sytuacja ma swoje pseudobłyskotliwe określenie – od „niebezpiecznie” przez „w miarę” i „bez-pieczniej”, aż po „lepiej nie można”. I zaczyna się

Dzień Kobiet? Prawa kobiet dzisiaj są w Polsce ogromną częścią jeszcze większego problemu – braku obrony słabszych. Namawiam, żebyśmy po prostu bronili słabszych.

jazda! Gdy się więc nie rozumie partnerki, to nigdy nie wolno – na przykład – zapytać: „O co ci chodzi?”. Lepiej też nie pytać wtedy: „Czy leciutko nie przesadzasz?”. Całkiem niezłe jest zareagować, mówiąc: „Proszę, oto moja wypłata”, a już wręcz odpowiednią godną Platona jest: „Proszę, napij się trochę wina”.

Są i inne, podobne sytuacje, jednakże zawsze roz-wiązywane tekstem: „Napij się wina”.

Naprawdę – boki zrywać.

Gdyby autor ujrzał w knajpce napisy: „Śmierdzisz. Dlaczego nie pierzesz skarpetek?!” lub: „Strzel sobie coś tam, coś tam, a potem odpowiedz”, to zapewne lunąby podchodzącą kelnerkę w twarz ze słowami: „Bo zupa była za słona”.

*

Co dziś oznacza wspieranie kobiet? Czymś, co mnie wkurza, jest to, że wielu z nas nie tylko nie ma po-jęcia, czym jest feminizm, ale po prostu nie wie nic o problemach swoich żon, matek czy koleża-nek. Chętnie oczekujemy od kobiet merytorycznej dyskusji, a sami jesteśmy ignorantami. Problemem w Polsce jest, na przykład, prawo reprodukcyjne i fatalne statystyki: od molestowania poprzez „inne czynności seksualne”, mówiące przy tym, że fałszy-wych zgłoszeń oskarżających o gwałt jest promil, a z powodu przemocy domowej giną trzy kobiety tygodniowo.

A co mówić o prostackich dowcipasach lansowa-nych w przestrzeni publicznej, jak choćby ten opi-sany?

Jednak na razie społeczeństwo (bo nie tylko męż-czyźni *en bloc*, ale przecież i wiele kobiet) nie rozu-mie istoty problemu. Przyznam, że jeszcze kilka lat

temu sam drwiłem z wielu postulatów feminizmu. Niektóre do dziś odrzucam, bo chociażby automa-tyczne narzucanie tak zwanych feministycznych wzorców językowych w polskim oznacza „tirówkę” jako „kobietę-kierowcę TIR-a” i ośmiesza problem.

W ogóle: jestem przeciwny rewolucji femini-tycznej nie dlatego, że jest feministyczna, ale dla-tego, że jest rewolucją. Wiem, że radykalizm jest po-trzebny, by uzmysłwić skalę wyzwań, ale ja wolę działać ewolucyjnie.

Bo nie chodzi dziś wyłącznie o politykę, choć w kontekście niezbędnego uzdrowienia Polski to sprawa szalenie ważna. I nie o rolę społeczną, choć kobiety w wersji kruchty zwykle mają się od-najdywać w roli kwiatków do kozucha. Ani o kwestie socjalno-zawodowe, choć nierówności płacowe ze względu na płeć są skandalem. Ani nawet o brutalną ingerencję państwa w życie intymne obywateli, co szczególnie mocno odbija się na kobietach (tu choć-by kwestie przerywania ciąży).

Najważniejsze jest uświadomienie sobie, że jeśli nie chcemy pojawienia się agresywnych autorytary-zmów, to musimy budować nowoczesne społeczeń-stwa z równymi szansami dla WSZYSTKICH słab-szych – a w Polsce kobiety do tej grupy nadal należą. I dawać im przestrzeń do nieskrępowanej wypowie-dzi oraz nieskrępowanych działań, bez odpowiada-nia na nie agresją czy drwiną o „przewrażliwieniu”.

Empatia, umiejętność słuchania i wspólna akcja na rzecz ich wolności. Bo ich wolność to i nasza wiel-ka, wspólnotowa wolność.

Tak jak rozumiem prawa kobiet dzisiaj, to są one w Polsce ogromną częścią jeszcze większego pro-blemu – braku obrony słabszych.

Namawiam Państwa, żebyśmy po prostu bronili słabszych.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Felietonista Czesław Miłosz

Tekst: Krzysztof Burnetko

Nagrodę Nobla dostał ze wiersze. Znany jest też jako eseista. Tymczasem był również znakomitym publicystą i komentatorem politycznym oraz ciętym felietonistą.

Dowodem trzy opasłe tomy ogłoszone ostatnio w ramach kanonicznej edycji jego *Dzieł zebranych* przez Wydawnictwo Literackie. Przynoszą one zestaw publicystyki „czmi” (tak podpisywał w 1945 roku swoje felietony w „Dzienniku Polskim”), poczynając od okre-su okupacji przez czas powojenny po wolną już Polskę (aż do śmierci poety w 2004 roku).

Pisywał Miłosz w tytułach rozmaitych. Bo i tematy podejmował różne: polityczne, obyczajowe, spo-łeczne, kulturalne wreszcie. Na przykład w „Kurierze Wileńskim”, „Gazecie Codziennej” i „Naujosi Romu-wa” (to pisma ukazujące się w Wilnie w 1940 roku), choć teksty sygnował litewskim brzmieniem nazwi-ska, to poświęcał je kulturze polskiej – i to traktowa-nej z wyraźnym sentymentem. Pisał tam też o trage-dii unicestwionej Polski, psychice osaczonego wojną człowieka. Wrzucał i taki wtęt: „Nie mogę się po-wstrzymać przed myśleniem o tych antysemitkich nacjonalistach, których tak wielu było w Polsce Becka i którzy pod bombami i granatami upadali na ulice Warszawy razem ze swoimi wrogami Żydami. Czy ko-lor krwi Żyda był inny niż Aryjczyków? Czy ich agonia była inna? Czy inaczej wyglądały ostatnie konwulsje ich tężejących ciał? Szaleństwo bezrozumu, czym ono stało się w obliczu tych wydarzeń?”.

Po 1945 roku, mieszkając w Krakowie, pisywał w „Dzienniku Polskim” i „Przekroju” (od pierwszego numeru). Tam pokazał klasę felietonisty – zarówno w podejmowanych tematach, jak i poprzez użyte chwy-ty formalne. Taki choćby *Faszyzm*: „Co to właściwie jest faszyzm? – zapytała mnie pewna panienska. Ciągłe mó-wią, że ten faszysta i ów jest faszysta, że ta partia jest faszystowska, a ta nie. (...) Niewielu znajdzie się takich, którzy by umieli łagodnie, krótko i zwięźle odpowie-dzieć na jej pytanie. Najwyżej krzykną, że jest głupia. (...) Czy nie warto pokazać, jak toto wylęgało się już podczas Wiosny Ludów (Wiosna Ludów jako wiosna nacjonalizmów jest wielbiona przez przybocznych hi-storyków Mussoliniego i Hitlera) (...). Pokazać wzbie-ranie nowotworu. (...) Pokazać, jak się grało na swojs-kości, na patriotyzmie, jak propagowało zamknięcie gospodarce i kulturalne w granicach jednego kraju. My wszystko sami, wszystko rumuńskie, precz, cu-dziomcy – wołali jedni. My sami, wszystko polskie – wołali drudzy. My sami, wszystko włoskie, wołali inni.

Pokazać wreszcie, jak tworzy się faszyzm nie-swiadomy, jak w najlepszych często intencjach lu-dzie wkraczają na ścieżkę wydeptaną nogami bardziej przebiegłych i bardziej świadomych liderów – i są potem ofiarami własnej niewiedzy o sprawach tego świata”. Nie waha się wskazywać na absurd nowej rzeczywistości – ale też panoszący się konformizm.

Znamienne, że zdarzały mu się felietonowe akapi-ty, które mogłyby być po prostu wierszem: „W tłumie ludzi wychodzących z Warszawy, oświetlonych bla-skami pożarów, zauważyłem człowieka uginające-

go się pod wielkim stosem książek. Inni nieśli walizy z żywnością, poduszki, toboły z pościelą, klatki z ka-narkami. (...) Ten niósł książki”.

Potem – już jako urzędnik służby dyplomatycznej w Stanach Zjednoczonych – wysyłał do kraju niemal dziennikarskie reportaże o Ameryce: jej specyfice, kulturze, obyczajach, ludziach. Aż wreszcie w 1951 roku ogłosił w paryskiej „Kulturze” manifest poli-tyczny pod tytułem *Nie* – wielkie oskarżenie komu-nistycznego systemu dławienia wolności i kłamstwa, a równocześnie wyjaśnienie powodów, dla których zdecydował się zerwać z reżimem i pozostać na Za-chodzie. I wyraźne emocje nie były tym razem pu-blicystycznym chwytem: „Jeżeli wolność ma polegać jedynie na zrozumieniu konieczności, to ja, nędz-ny robak, stoję na drodze, którą ma przejść Historia w grzmocie czołgów i łopocie sztandarów, i nie o-chodzi mnie, że będę nazwany niewolnikiem moich przesądów i odziedziczonych przyzwyczajęń”. Potem właśnie głównie u Jerzego Giedroycia (ale też w pi-smach zachodnich: „Problems of Communism”, „The New York Times”, „Preuves”) będzie ogłaszał waż-ne teksty publicystyczne – o naturze komunistycznej władzy, sytuacji pisarzy w PRL, cenzurze, roli Kościoła, graniu antysemityzmem. Publicystycznej aktywności nie poniecha po przełomie 1989 roku, kiedy znowu zamieszka w Krakowie. Systematycznie gości wte-dy z tekstami na bieżące tematy w „Tygodniku Po-wszechnym” Jerzego Turowicza.

*

I znowu – zawsze erudycyjnie żongluje odniesienia-mi oraz skojarzeniami – czasem niebywale trafny-mi, choć nawiązującymi do odległych czasów i kultur. Równocześnie cały czas, jak się zdaje, miał poczucie, że aktywność publicystyczna w istocie jest tylko mar-ginesem prawdziwej misji pisarza, a zwłaszcza poety. Już w 1945 roku żalił się: „Poeci żyją z felietonów, po-wieściopisarze piszą artykuły polityczne. Te funkcje mogliby z powodzeniem spełniać zawodowi dzien-nikarze. Jest w tym marnotrawstwo energii narodowej”.

Czesław Miłosz, *W cieniu totalitaryzmów. Publicy-styka rozproszona z lat 1945–1951 oraz teksty z okresu II wojny światowej*, Wydawnictwo Literackie, Kra-ków 2018.

Czesław Miłosz, *Wygnań i powroty. Publicystyka rozproszona z lat 1951–2004, cz. I i II*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wielolet-ni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Pokoje pełne słońca

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: Jan Zych

90 procent dzieci, które trafiają pod skrzydła Pięknych Aniołów, poprawia wyniki w nauce.

Miejsce, w którym spędzamy czas, zasypiamy i pracujemy ma ogromny wpływ na nasze życie. Nowe biurko, lampka, fotel czy plecak – to wszystko daje tym dzieciom nową energię i wiarę w lepszą przyszłość – opowiada Katarzyna Konewecka-Hołów, prezes Stowarzyszenia Piękne Anioły, które od ośmiu lat w skromnych i zaniedbanych mieszkaniach ubogich rodzin tworzy „słoneczne pokoje” dla dzieci.

Katarzyna Konewecka-Hołów pochodzi z Krakowa, ale dziś mieszka z rodziną w jednej z podmiejskich miejscowości. – Pewnego grudniowego dnia zaproponowałam dzieciom czekającym na przystanku, że podwieżę je do domu. Widziałam, że jest im zimno, a autobus miał przyjechać dopiero za godzinę... Kiedy dojechalismy pod wałą się chałupę z oknami zaklejonymi tekturą, nie mogłam uwierzyć, że w pobliżu Krakowa są takie miejsca, że ktoś może mieszkać w takich warunkach. Razem z przyjaciółmi zorganizowaliśmy spontaniczną zbiórkę: ktoś kupił choinkę, ktoś inny zabawki, jakiś rolnik przywiózł worek ziemniaków i marchewki i tak uzbierała się cała masa podarunków. Kiedy zobaczyliśmy radość tej matki i jej czwórki dzieci, wiedzieliśmy, że nie poprzestaniemy na tej jednej rodzinie – wspomina.

Pani Katarzyna za namową przyjaciół założyła stowarzyszenie, by móc pomagać w bardziej usystematyzowany sposób. Nawiązała też współpracę z ośrodkami pomocy społecznej, które wskazywały najbardziej potrzebujące rodziny. I tak ruszył projekt „słonecznych pokoi”, które powstawały na oczach darczyńców, bo wszystkie prace szczegółowo relacjonowano w mediach społecznościowych. W tamtym czasie większość fundacji po prostu zbierała pieniądze na jakiś cel, a pomoc w formie wykonywania remontu była zupełną nowością.

Firmy chętnie przekazywały materiały budowlane, farby czy meble, ale okazało się, że brakuje ludzi, którzy potrafiliby wykonać remont. Wtedy powstał pomysł, by zaangażować więźniów. Dyrektor zakładu karnego

w Nowej Hucie już następnego dnia oddelegował do pracy trzech osadzonych, którzy mieli kwalifikacje budowlane. – Trochę się obawiałam, jak nam się ta współpraca ułoży, ale panowie byli poruszeni warunkami, w jakich mieszkała ta rodzina i z wielkim poświęceniem wykonywali wszystkie prace. To była w pewnym sensie resocjalizacja, bo oni po-

Od ośmiu lat w skromnych i zaniedbanych mieszkaniach ubogich rodzin powstają „słoneczne pokoje” dla dzieci.

czuli się potrzebni. Wiedzieli, że robią coś ważnego – mówi szefowa Aniołów.

Do dziś stowarzyszenie wyremontowało już około 200 pokoi. Obecnie napływają zgłoszenia z całego kraju. Z biegiem lat Anioły rozwijały skrzydła i realizowały nowe pomysły: w zakładach karnych w Nowej Hucie i na Śląsku stworzyły kolorowe pokoje widzeń dla rodzin osadzonych, salę pożegnań w podkarpackim hospicjum dla dzieci czy świetlicę środowiskową w Krakowie. A w planach są kolejne projekty – wszystkie mają umożliwić dzieciom lepszy start w przyszłość.

– Jeśli w domu jest zimno, a dziecko odrabia lekcje, siedząc na taborecie przy kuchennym oknie, to trudno się dziwić, że ma słabe wyniki w szkole. A przecież tak niewiele potrzeba, by zmienić jego życie – przekonuje Katarzyna Konewecka-Hołów.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.



Awaria wodociągu przy ulicy Kościuszki

Zdjęcia: NAC oraz Krzysztof Jakubowski

W roku 1897 Rada Miejska podjęła zbawienną decyzję o budowie wodociągu zasilanego wodą gruntową z odwiertów w okolicy Bielan. Dwa lata później rozpoczęto prace pod kierunkiem inż. Romana Ingardena. Charakterystyczne, wzniesione z czerwonej cegły zabudowania przy ul. Księcia Józefa 299 na Bielanach, tuż za ich granicą z Przegorzałami, przetrwały do dziś bez większych zmian. 14 lutego 1901 roku dokonano uroczystego otwarcia sieci. Była to największa i najkosztowniejsza inwestycja komunalna w dziejach Krakowa.

Jak w każdym pionierskim przedsięwzięciu nie obyło się bez awarii. Ba, w pierwszym roku eksploatacji były ich aż cztery. Najpoważniejsza wydarzyła się niespełna miesiąc po uruchomieniu wodociągu, kiedy to na Zwierzyńcu pękł rurociąg grawitacyjny o średnicy 750 mm, prowadzący wodę

do Krakowa. W ciągu zaledwie 30 minut – nim zdołano zamknąć magistralę – ze zbiornika wypłynęło niemal 700 m³ wody, a przerwa w dostawie trwała ponad dobę.

Zamieszczona fotografia z zasobów Agencji Fotograficznej „Światowid” dokumentowała inną poważną awarię, jaka przytrafiła



się ponad 30 lat później, w mroźnym styczniu 1933 roku. Widzimy, jak ekipa remontowa wodociągów przygotowuje się do wymiany uszkodzonego odcinka rurociągu. Jak zwykle w takich sytuacjach nieodłączny był tłum gapiów w różnym wieku. Obecność policjantów wytłumaczyć można nie względami służbowymi, ale tym, że do awarii doszło tuż przed posterunkiem policji, który mieścił się od 1919 roku w parterowych pomieszczeniach kamienicy przy ul. Kościuszki 46 (część tego domu widać po prawej). Funkcjonariusze z szablami u boku to oficerowie, zapewne w stopniu komisarza i podkomisarza. Po ostatniej wojnie siłą tradycji posterunek ten zajmowała – aż do 1963 roku – milicja, zwana obywatelską.

Z punktu widzenia naszej rubryki ciekawy jest sztafaż tej fotografii. Dwie kamienice stojące za rogami ul. Jaskółczej, oznaczone numerami 40 i 42 (podobne jak dom mieszczący kiedyś posterunek), przetrwały bez zmian. Zniknął natomiast – i to w czasach nam bliskich – parterowy dom (nr 44)

należący w chwili wykonania starej fotografii do spokrewnionych rodzin Pająków i Dobrzańskich. Wyburzono go ostatecznie w 2000 roku, a dwa lata później stanął na jego miejscu nowy, na pewno elegantszy, spełniający wymogi nowych czasów budynek.

Nie wiadomo, jak długo usuwano uszkodzenie, ale obecność barakowozu (na dalszym planie po lewej) i rozkopana na znacznej długości jezdnia nie zwiastowały rychłego końca prac...



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Sztuka poza ramami

Tekst: Sylwia Anna Pyzik Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz, Piotr Suchodolski oraz domena publiczna

Czy przestrzeń publiczna jest dostępna dla młodych artystów?

Sztuka ma być dla wszystkich, ma wychodzić poza muzealne ramy. Każdy powinien czuć się miliardem w walucie wyobraźni, każdy powinien mieć poczucie, że ma dostęp do czegoś, co jest bezcenne – przekonuje Agnieszka Szablewska, historyczka sztuki.

Jak na sztukę współczesną reagują odbiorcy? Czy można lepiej wykorzystywać potencjał jej twórców? Odpowiedzi szukam w mieście, które wielu uważa za kulturalną stolicę Polski.

Kraków finansuje działalność 28 instytucji kultury (łącznie to ponad 150 filii i oddziałów, czyli około 200 budynków na mapie Krakowa). Tworzą one niezliczoną liczbę koncertów, wystaw czy warsztatów.

*

Jeśli chce się o sztuce w Krakowie, a już szczególnie tej młodej, rozmawiać poważnie, nie sposób nie udać się na plac Jana Matejki. W świat kamiennych komunikatów wprowadza mnie dr hab. Ewa Janus, dziekan Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. – Do tej pory mieliśmy do czynienia głównie ze sztuką o charakterze memoratywnym, upamiętniającym, były to dzieła monumentalne, głównie pomniki. Jest to pewna utrwalona tradycja, która nadal funkcjonuje w formie konkursów (i nie tylko) i wiąże się z kwestią potrzeby upamiętniania. Tych konkursów, może nie w samym Krakowie, ale w Polsce jest dosyć dużo – zapewnia profesor.

Tak, tę tradycję znamy dobrze, momentami nawet zbyt dobrze. Mechanizm jest prosty. Powstaje inicjatywa upamiętnienia jakiejś osoby lub wydarzenia. Pojawiają się kontrowersje – jedni pomnik chcą, inni nie. Jeśli pomysł nie zostanie zakwestionowany przez wyraźny sprzeciw społeczny, jak choćby w przypadku pomnika Armii

Sebastian, *W oku twórczego Cyklonu*, pracownia Gracia Artis, fot. Piotr Suchodolski

Krajowej na bulwarze Czerwieńskim, choć tam o lokalizację poszło, a nie o treść – artyści przystępują do koncepcyjnego turnieju. Jest konkurs, jest jury, wygrywa najlepszy – oczywiście w opinii oceniającego gremium – projekt. Pieniądze na jego realizację trafiają do artysty. Tak powstał choćby ponad 120 lat temu „Adaś” na Rynku Głównym czy niedawno pomnik Matejki w ramie.

Dosyć spojrzeć wstecz

Sztuka współczesna ma jednak wyższe aspiracje. Zamiast utrwalać czyjąś opowieść, chce stworzyć własną. – Widzimy pewne symptomy, że coś interesującego dzieje się w tym zakresie w naszym mieście, ale dla porównania z Krakowem lepszy wydaje się, na przykład, Gdańsk – twierdzi prof. Janus. Oczywiście każdy z nas chce żyć w estetycznym mieście,



jak jednak osiągnąć zgodę, gdy piękno jest dziś pojęciem tak nieoczywistym?

Nauka czytania

Często sztuka współczesna w kontakcie z odbiorcą, szczególnie w przestrzeni publicznej, spotyka się ze ścianą. Owszem, rzeźby historyczne również mają, czasem wyrafinowaną, warstwę symboliczną, którą nie każdy potrafi odczytać, jednak nikomu nie jest trudno zrozumieć, ani co to jest, ani po co to jest.

który wprowadził mnie do świata street artu – tłumaczy Agnieszka Szablewska.

– Dlaczego tej sztuki jest ciągle za mało? – pyta retorycznie, gdy rozmowa wraca na krakowskie podwórko. – Wystarczy wyznaczyć miejsce i zorganizować konkurs, do którego mogliby zgłosić się wszyscy artyści. Gmina dysponuje działkami, to jest oczywiste. Gdyby wskazać takie jedno miejsce,

choćby bulwary wiślane, które się do tego idealnie nadają, to tam mogłaby zaistnieć sztuka. I to niekoniecznie historyczna. Mogłoby być to także coś dowcipnego, ożywczego, współczesnego, tak jak to robią Czesi. Nasza traumatyczna historia jest ważna, ale dlaczego nie wprowadzić do przestrzeni miasta nieco życia i humoru? Ja bym, na przykład, marzyła, żeby w Krakowie powstało rondo

Calineczki albo miejsce, gdzie mogliby spotykać się zakochani – mówi z uśmiechem Szablewska.

Rozmiar ma znaczenie

A dlaczego nie postawić poprzeczki jeszcze wyżej? Gigantyczne prace Anisha Kapoora, brytyjskiego rzeźbiarza hinduskiego pochodzenia, zdobią Londyn, Chicago, ba, nawet

W lokalach gminy Kraków działało w ubiegłym roku 13 galerii sztuki, a miasto pomogło zorganizować w nich 42 wystawy.

Gdy temat jest mniej oczywisty, pojawia się wspomniana bariera. – Odbiorcy widzą prace, które są dla nich zupełnie enigmatyczne, więc stwierdzają lekceważąco, że są nic niewarte – przestrzega Piotr Suchodolski, artysta multidyscyplinarny, który żadnych tworzyw się nie boi. Prof. Janus potwierdza: – Mamy spore zaległości edukacyjne w zakresie czytania działań plastycznych.

Na świecie są jednak miasta, które nie tylko potrafią wykorzystać potencjał młodych artystów, ale nawet uczynić z ich prac swą wizytówkę.

Po co tak serio?

Praga – miasto, które wejście swego kraju do Unii Europejskiej uczciło pomnikiem o wdzięcznym tytule *Sikający*. I nie o żart tu chodzi. Rzeźba Davida Černego rzeczywiście przedstawia dwóch mężczyzn sikających do zbiornika w kształcie terytorium Czech. Ponoć obie czynności (dołączenie do wspólnoty i sikanie) są równie przyjemne...

Zresztą Czesi potrafią grać z rzeczywistością, nie tylko wykorzystując kontrowersje. Równie chętnie oddają miejskie przestrzenie pod władanie artystów ulicznych. Zmieniają oni miejskie ściany w kolosalne płótna, tworząc dzieła, obok których nie sposób przejść obojętnie. – Czesi mają dużo dystansu i poczucia humoru, a sama Praga jest przepelniona street artem. Artyści, którzy tam tworzą, zaczęli w subkulturze, pracowali w undergroundzie, ale z czasem wyszli na powierzchnię. Dziś są uznanymi twórcami i pojawiają się w instytucjonalnych galeriach, choć starają się nadal być alternatywni i chwala im za to. Warto wspomnieć choćby X-Doga, Pastera Onera, Rudolfa Burdę czy Michala Cimale,



Anish Kapoor *Cloud Gate (The Bean)*, centrum AT&T Plaza w Parku Millennium, Chicago, fot. Sharon Mollerus (Chicago 1/26/18); wikipedia.org

Wersal. Słynna „fasolka” w Parku Milenijnym w Chicago pokazuje, jak sztuka może dominować przestrzeń i równocześnie nadać jej wiele nowych wymiarów. Inspirowany ciekłą rtecą potężny obiekt odbija wszystko dookoła. W tym rzesze turystów. – Rzeźby Kapoora są zjawiskiem pożądanym, intrygującym, już sama skala i wyzwanie technologiczne robią wrażenie – podkreśla prof. Ewa Janus. – Oczywiście to nie są prace na nasze możliwości finansowe, ale na świe-

kursowych dzieł. – Każda praca nagrodzona Grand Prix pozostaje w parku rzeźby, a prace nagrodzone drugim i trzecim miejscem trafiają do przestrzeni miejskiej. Zwycięskie prace są eksponowane z ogromnym wyuczuciem i smakiem – podkreśla Piotr Twardowski. – Jest to przykład ciekawej polityki miasta. Ube było miastem górniczym, z banalną zabudową, bez atrakcji turystycznych.

Władze uznały, że należy wzbogacić nieciekawą tkankę miejską właśnie sztuką współczesną i ta idea ożywiła miasto – dodaje.

przyznaje też dotacje na zabytki, które nie są jego własnością. W 2019 roku władze gminy utworzyły nadto specjalny fundusz o łącznej wartości 1 miliona złotych z przeznaczeniem na rozwój kolekcji miejskich muzeów. Środki te rozdzielono pomiędzy pięć krakowskich muzeów, które przeznaczyły je na zakup nowych zbiorów. To jedyne przedsięwzięcie samorządowe tego typu w Polsce.

Bańka dla muzeów

Ale i w Krakowie powstał pionierski projekt Parku Kulturowego Stare Miasto, chroniący historyczną tkankę miasta i uchodzący za pomysł wzorcowy w skali kraju. Miasto

Kultura to pojęciowy gigant. Często trudno ocenić, jaka działalność jej sprzyja.

cie te kwestie są już dawno przepracowane i ich oddziaływanie jest znacznie większe. Mówimy tutaj o jednym z najbardziej rozpoznawalnych przykładów, podczas gdy w naszej przestrzeni mamy podstawowe zaniedbania. Młodzi artyści w krajach zachodnich mają możliwość realizacji swoich pomysłów i często są to proste rozwiązania. Na przykład wykonanie małej architektury użytkowej jako podział przestrzeni, gdzie zamiast klasycznego ogrodzenia pojawia się rząd swobodnie ustawionych, kolorowych krzeseł, wykonanych z wytrzymałych materiałów. Tworzą one kolorystyczną granicę, której się nie przekracza, a równocześnie powodują emocjonalno-estetyczne poruszenie u odbiorcy – tłumaczy profesor.

Miasto rzeźby?

– W 2005 roku po raz pierwszy aplikowałem do UBE Biennale w Japonii. Jest to prestiżowa wystawa rzeźby monumentalnej z wieloletnią tradycją, organizowana profesjonalnie i z ogromnym wsparciem miasta od 1961 roku. Do 20. edycji wystawy aplikowali głównie artyści japońscy, ale spróbowałem i zakwalifikowałem się jako pierwszy Europejczyk – wspomina dr hab. Piotr Twardowski, artysta rzeźbiarz, profesor krakowskiej ASP. – Na początku odbył się konkurs makiet, na który wpłynęło ponad 500 zgłoszeń. Spośród tych projektów wybrano 10 i zakwalifikowano je do realizacji w pełnej skali. Zrealizowane prace zostały następnie wystawione w Tokiwa Park i poddane ocenie dwudziestoosobowego jury, składającego się z dyrektorów muzeów sztuki, kuratorów i artystów – opowiada Piotr Twardowski, który już dwa lata później, w 22. edycji konkursu, otrzymał Grand Prix UBE Biennale '07 za rzeźbę *Permutacja*.

Japończycy znaleźli ciekawy sposób, by maksymalnie wykorzystać potencjał kon-



David Černý *Sikajęcy*, fontanna w Muzeum Franza Kafki – Praha-Malá Strana, Hergetova cihelna, fot. Mister No, 2017; wikipedia.org



Kraków. Graffiti przedstawiające papieża Jana Pawła II, 2009, fot. Grzegorz Kozakiewicz

Mamy również instytucje promujące sztukę współczesną, jak Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK czy Galeria Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki, choć nie da się ukryć, że jest ich znacznie mniej niż instytucji zorientowanych na ochronę dziedzictwa.

W lokalach Gminy Miejskiej Kraków działało w ubiegłym roku 13 galerii sztuki, a miasto pomogło zorganizować w nich 42 wystawy. A kto wie o 203 pracowniach wynajmowanych na korzystnych warunkach, z których korzysta 278 artystów, oraz że zakupione niedawno rzeźby Kingi Nowak staną wkrótce w otwartej przestrzeni przed Strzelnicą Garnizonową, obiekcie Muzeum Fotografii? Nie mówiąc o tym, że miasto wspiera większość spośród kluczowych festiwali, z których krakowianie są tak dumni.

Pochopny byłby więc wniosek, że Kraków nie wspiera artystów. Miasto finansuje działalność 28 instytucji kultury (łącznie to ponad 150 filii i oddziałów, czyli około 200 budynków na mapie Krakowa). Tworzą one niezliczoną liczbę koncertów, wystaw czy warsztatów.

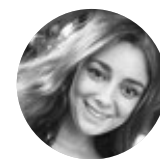
– Programy działania wspomnianych instytucji nie powstają w oderwaniu od otoczenia, uwzględniają potrzeby różnych grup interesariuszy, także artystów – podkreśla Katarzyna Olesiak, dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

*

Kultura to pojęciowy gigant. Często trudno ocenić, jaka działalność jej sprzyja, a jaka

wręcz przeciwnie – prowokuje jej służalczy charakter. Może zamiast szukać winnych w systemie, w mieście, w politykach warto raz na jakiś czas uderzyć się w pierś i zastanowić, kiedy ostatnio dołożyłem/-łam swoją cegiełkę w budowie dziedzictwa własnego pokolenia?

– Dzięki temu, że w swojej pracowni pracuję z młodzieżą, czuję, że wsiadłem do pociągu, który jedzie w przyszłość. Młode pokolenie chce działać, jest aktywne i prężne. Możliwości młodych twórców są ogromne, ale na dobrą sprawę niewiele jest propozycji ze strony miasta, które jest nieufne. Sztuka na ulicy działa z zaskoczenia, dlatego reakcja na nią jest bardzo różna. Dajmy młodemu pokoleniu szansę wypowiedzieć się w najlepszym języku – języku sztuki – zachęca Piotr Suchodolski, opiekun i koordynator projektów Pracowni Artystycznych Gratia Artis w Krakowie.



Sylwia Pyzik – dziennikarka i filolożka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.

Jubileusz 70-lecia Andrzej Sikorowski z Zespołem



Maja Sikorowska – śpiew,
Jacek Królik – gitary,
Tomasz Kupiec – kontrabas,
Gertruda Szymańska – perkusja/instrumenty perkusyjne,
Jakub Mietła – akordeon

22.03.2020 godz. 19:00
19.10.2020 godz. 19:00
ICE KRAKÓW

19.12.2020
GODZ. 19:00
ICE KRAKÓW



**AŁOSZA
AWDIEJEW**
Z ZESPOŁEM
JUBILEUSZ 80-LECIA
**OSTATNIA TRASA
KONCERTOWA**

KASIA KOWALSKA



unplugged
kasia kowalska
25.10.2020 GODZ. 19:00
ICE KRAKÓW

BILETY DO NABYCIA:

Filmotechnika Rynek Główny 9 (Pasaż Bielaka), sklepy Mediamarkt, Saturn, sieć salonów Empik, ebilet.pl, eventim.pl, kupbilecik.pl, bilety24.pl, biletin.pl, ticketmaster.pl, biletyna.pl, twojekoncerty.pl

Mówi tato Andrzej Sikorowski: jeść, pić, kochać!

Wysłuchała Katarzyna T. Nowak Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Maja przyszła na świat w kwietniu 1980 roku. W tym samym roku grupa Pod Budą wydała debiutancki album. Był to przypadek. Nigdy nie próbowałem zawodowego życia korelować z życiem osobistym. Maja była owocem związku z kobietą, która w tym zespole śpiewała. Chcieliśmy mieć rodzinę. I w tym czasie, mimo sukcesu debiutanckiej płyty i popularności, jaką zdobyła grupa Pod Budą, ważniejsza dla nas była rodzina i nowo narodzona córka. Najlepszy dowód, że moja żona będąc w zaawansowanej ciąży, odeszła z zespołu i przestała śpiewać. Żona nigdy nie miała ogromnej potrzeby bycia na estradzie. Bez żalu odeszła z zawodu.

Maja była dzieckiem bardzo wyciszonym, spokojnym. Nie mieliśmy z nią żadnych problemów wychowawczych. Była niejadkiem, więc świętowałem każdorazowe zjedzenie przez nią kotleta.

Dziś córka Mai też jest niejadkiem, więc być może jest to dziedziczne.

Maja nie była orłem w szkole. Nie przynosiła świadectw z czerwonym paskiem. Nigdy jednak

w domu nie usłyszała, że ma taki obowiązek. Nigdy, gdy dostała czwórkę, nie zadałem pytania, dlaczego nie piątkę albo szóstkę. A gdy dostała złą ocenę, mówiłem: „Nie przejmuj się, poprawisz”. Odnosiłem się do szkoły z dużym dystansem, uważając, że nie może być ona źródłem stresu. W szkole podstawowej głównie spędzałem czas, kopiąc piłkę na ulicy, a nie czuję się głupszy od współczesnych uczniów.

Wczesne lata Mai cechowała w dużej mierze moja nieobecność. Estrada w tamtych czasach dla popularnego zespołu oznaczała dwa, trzy tygodnie na miesiąc spędzane w trasie. Kanada, USA, ówczesny ZSRR... Kiedy wracałem, to starałem się nadrabiać ojcowskie zaległości. Porywałem Maję do kina, teatru, parku. Wydawało mi się, że mam dług wobec niej. Dużo z nią rozmawiałem. Czytałem i podsuwałem lektury, które uważałem za istotne: *Kubusia Puchatka*, *Mary Poppins*, *Doktora Dolittle*...

Maja od dzieciństwa słuchała tej samej muzyki co my. Być może dlatego tak łatwo weszła w piosenkę literacką, którą uprawiam. Fascynowali ją Mły-

narski, Grechuta, Demarczyk... Śpiewała od dzieciństwa. Kiedy szła do muzycznej szkoły podstawowej, wiedzieliśmy z żoną, że się do tej szkoły nadaje. Była muzyczna. Czy dzisiaj posłałbym ją do szkoły muzycznej? Pewnie nie. Aż do matury 12 lat spędziła przy fortepianie i traciła dzieciństwo po to, by dziś na fortepianie nie grać. Ale wykształcenie muzyczne polegające na znajomości nut, obyciu z formą muzyczną, pomaga jej w byciu na estradzie.

Człowiek ma tyle do zaproponowania od siebie i tyle do zrobienia, ile żyje tu, na Ziemi.

Po maturze Maja nie kontynuowała muzycznego wykształcenia. Poszła na AWF na rekreację i turystykę. Znając biegle grecki – wychowała się w dwujęzycznym domu – mogła myśleć o pracy polegającej na kontaktach z ojczyzną matki. Jednak zaczęła śpiewać.

Zawsze była też uzdolniona plastycznie. Namiętnie rysowała. Niedawno wydała książeczkę dla dzieci ze swoimi rysunkami *Myszka Fifi*.

Jako nastolatka nigdy się nie buntowała. Miała do nas zaufanie, z każdą sprawą, nawet najbardziej intymną, przychodziła do mnie lub do żony. Do dziś jest niezwykle ufna i otwarta. Nie potrafi kalkulować. Nie ma tupetu. Być może uczyniliśmy ją nieco bezradną wobec współczesności.

Od początku Maja chciała śpiewać ze mną. Napisałem dla niej piosenki, które nagrała i które zostały świetnie przyjęte na koncertach. Potem zrobiła płytę z zespołem Kroke, bo kocha śpiewać po grecku. A teraz występuje ze mną i moim zespołem, który z Pod Budą nie ma nic wspólnego. Chcę realizować swój pomysł na muzykę. Postanowiłem, że będzie to bardziej osobiste śpiewanie moje i Mai. Ostatnia płyta to *Okno na Planty*, bo od ośmiu lat mieszkam przy Plantach.

Prowadzimy życie polsko-greckie. Mamy mieszkanie pod Atenami z widokiem na morze i wyspę Evia. Często tam jesteśmy. Mówimy wszyscy po grecku. W Grecji mieszka rodzina mojej żony, trójka rodzeństwa. Maja ma męża, który jest w połowie Grekiem. W Krakowie nieraz włączamy kanał grecki w telewizji. Mąż Mai nauczył się polskiego, zrobił doktorat z kardiologii i pracuje w klinice. Ich córka Róża chodzi na lekcje greckiego.

Grecy są radośniejsi niż Polacy. W mojej opinii to się bierze z klimatu. Skandynawowie na przykład są smutni i zamknięci w sobie, a Grecy są niezwykle emocjonalni, wręcz euforyczni. Polacy są bardziej schowani w sobie. W Grecji na pewno jest weselej.

Moim credo jest „jeść, pić, kochać”. Wyłączyłem je w książce, która wyszła w październiku *W moim znaku Waga. Śpiewanie o sobie*. Są to teksty moich piosenek z komentarzami układającymi się w autobiografię. Interesuje mnie doczesność. Człowiek ma tyle do zaproponowania od siebie i tyle do zrobienia, ile żyje tu, na Ziemi. Obietnice przyszłości w niebie mnie nie interesują. Życie trzeba fajnie przeżyć. Jeśli można dobrze jeść, pić, kochać ludzi, podróżować, to czy może być coś fajniejszego?



Opowiada córka Maja Sikorowska: prawdziwi faceci potrafią płakać

Wysłuchała Katarzyna T. Nowak Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Moja mama Chariklia jest Greczynką. Mam po niej drugą ojczyznę i biegle posługuję się greckim. Jestem otwarta tak jak ona i posiadam dużą łatwość w nawiązywaniu kontaktów. Jestem spontaniczna i szczerą do bólu. Obie z mamą pozbawione jesteśmy dyplomacji. Zawsze mówimy to, co myślimy. Jestem bardzo energiczna. Podobnie jak mama, nie potrafię usiąść na miejscu i przez chwilę nic nie robić. Cały czas muszę szukać sobie nowych zajęć.



Po mamie uwielbiam gotować. To moja prawdziwa pasja i czynność, która mnie odpręża. Odziedziczyłam po niej także zdolności plastyczne. Przez długi czas mama malowała ikony i kamienie. Kiedy byłam małą, rodzice po urlopie w Grecji

przewozili w bagażniku naszego malucha mnóstwo kamieni z greckiej plaży. Gdy podczas jednego z takich powrotów do Polski zatrzymali nas celnicy z pytaniem, po co nam taka góra kamieni, tata tłumaczył, że mama będzie je malować. Ta pasja mamy

trwała dosyć długo i często ubolewam, że już się tym nie zajmuje. Od zawsze uwielbiałam rysować. Rodzice mówili, że całkiem nieźle mi to wychodzi. Po urodzeniu córki zaczęłam rysować dla niej.

Podobnie jak dla mamy, rodzina jest dla mnie priorytetem. Kiedy przyszłam na świat, mama zrezygnowała ze śpiewania i poświęciła się mojemu wychowywaniu.

Po obojgu rodzicach jestem tolerancyjna, uczciwa, mam w sobie dużo miłości do drugiego człowieka.

Po tacie odziedziczyłam zdolności muzyczne. Już jako małe dziecko śpiewałam bardzo czysto skomplikowane melodie.

Podobnie jak on, jestem chorobliwie punktualna. Tata nigdy się nie spóźnia. Ja także staram się tego nie robić. Szanuję czyjś czas i tego samego wymagam od innych. Na pewno odziedziczyłam po ojcu dużą nadwrażliwość. Ciągłe się wzruszam, płaczę na filmach czy przy słuchaniu muzyki. Często widzę, jak tata się wzrusza. On nie wstydzi się łez. Myślę, że prawdziwi faceci potrafią płakać, a łzy nie są zarezerwowane dla kobiet. Tak jak tata, posiadam dużo współczucia dla ludzi. Nie mogę być obojętna, gdy widzę, że ktoś potrzebuje pomocy.

Tata przekazał mi dystans do siebie i umiejętność krytycznego spojrzenia na swoją osobę, co jest bardzo istotne w moim zawodzie. Nie uważam, że jestem mistrzynią świata. Potrafię dostrzec swoje mankamenty. Zawsze po koncercie wydaje mi się, że mogło być lepiej – nawet jeśli był entuzjastycznie przyjęty. Po tacie nie podążam za tym, co modne. Nie są dla mnie ważne współczesne trendy. Jestem wierna wybranej prze siebie drodze muzycznej.

Tata nauczył mnie także pływać, jeździć na nartach i łyżworolkach, na których zresztą zdarza nam się ścigać razem.

Mówię płynnie po grecku i po polsku. Grecki był moim pierwszym językiem. Jako małe dziecko przebywałam z mamą długo w jej kraju. Codzienny kontakt z rodziną mamy sprawił, że szybko nauczyłam się greckiego. A kiedy w 2002 roku wyjechałam do Salonik, by podszlifować język, poznałam mojego męża.

Jako dziewczynka ciągle nuciłam jakieś melodie. Rodzice posłali mnie do szkoły muzycznej. Skończyłam podstawówkę i liceum muzyczne. Przez dwanaście lat grałam na fortepianie, ale gra na instrumencie nigdy nie była moją pasją. Studia, które wybrałam, kompletnie niezwiązane były z muzyką. Studiowałam turystykę na krakowskim AWF. Chciałam spróbować czegoś innego.

Chłonęłam dźwięki od dzieciństwa. W 2003 roku zaczęłam śpiewać na dobre z moim ojcem. Pierwsze kroki stawiałam w zespole Pod Budą.

Rodzice dawali mi zawsze wolny wybór, jeśli chodzi o to, co będę robić w przyszłości. Tata nie do końca był przekonany, czy powinnam śpiewać zawodowo. Podkreślał, że kariera wokalistki łączy się z życiem na walinżkach, a to w dużym stopniu koliduje z prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci. Jak każda praca, tak i moja ma jasne i ciemne strony. Mimo to twierdzę, że ten zawód jest wybrany. Nie dość, że robię, co lubię, to jeszcze sprawiam tym radość innym.

Wiem, że jestem postrzegana często przez pryzmat znanego ojca. Jest to dla mnie trochę obciążające, choć zrozumiałe, kiedy jest się córką znanego taty. Mam nadzieję, że udowodniłam, iż nie stoję u boku taty tylko dlatego, że jestem jego córką, ale dlatego że mam coś do zaoferowania.

Staram się godzić karierę z domem, ale nie pojechałabym teraz w wielomiesięczną trasę. Córka ma dopiero sześć lat i poświęcam jej każdy wolny moment.

Czasem się śmieję, że jestem piosenkarką od „smętu”.

Teksty piosenek pisze tata. Piosenki ojca są mi bliskie. Często czuję, jakbym napisała je sama, a to dowód na to, że tata świetnie mnie zna. Zdarzyło mi się też popełnić dwie melodie do jego tekstów.

Czasem się śmieję, że jestem piosenkarką od „smętu”, bo lubię spokojne, rzewne utwory. Takie, które wyciskają łzy. Jestem zakochana w pieśniach Marka Grechuty czy Ewy Demarczyk.

Do dziś – i mam to po tacie – nie lubię komputerów. Nie lubię surfowania w sieci, która tak zaburza relacje międzyludzkie. Lubię rozmawiać przez telefon. Ale też nie wysyłam gotowych życzeń SMS-owych do znajomych z okazji świąt czy urodzin.

Jestem jedynaczką. Tata zawsze mnie rozpieszczał, jestem klasyczną córeczką tatusia. Mama była bardziej ostra i wymagająca. Ceniemy sobie wszyscy bezpośrednio, szczerą relację. Staram się przekazać córce wartości, które przekazali mi moi rodzice. Myślę, że najważniejszą jest moja obecność przy niej. Ze mną zawsze ktoś był. Mama stworzyła mi cudowny, ciepły dom i poczucie bezpieczeństwa. Kiedy byłam małą, tata dużo jeździł w trasie, ale nadrabiał nieobecność, gdy wracał. Zabierał mnie wtedy do parku, dużo ze mną przebywał. Jako dziecko często uczestniczyłam w spotkaniach dorosłych i moja córka teraz także chętnie przebywa wśród moich rówieśników.

Mogę śmiało powiedzieć, że jestem mamą pełną gębą. Poświęcam córce zdecydowaną większość czasu. Dużo z nią rozmawiam. Ona jest małą artystką. Ma talent muzyczny, ładnie rysuje, uwielbia tańczyć. Nie mam jednak ambicji, aby poszła w moje ślady. Niech sama wybierze, co ją w życiu interesuje. Ważne, by była szczęśliwa.

Gdybym musiała z jakiegoś powodu zrezygnować z pracy, nie byłby to dla mnie koniec świata. Córka i najbliżsi są dla mnie najważniejsi.



Katarzyna T. Nowak – dziennikarka i pisarka. Autorka pięciu książek, m.in. *Moja mama czarownica. Opowieści o Dorocie Terakowskiej*. W pierwszym kwartale 2020 wydanie jej najnowsza książka *Nienasycona*. Współpracowała z „Przekrojem” i „Twoim Stylem”. Mieszka w Krakowie.

PORTRETY 2020 (marzec)

Opracowanie: Witold Bereś

Interesuje nas portret – biografia człowieka, społeczności, miejsca: w książce, filmie czy na wystawie... Dlatego wybierając w konkursie „Portrety 2019” najlepsze polskie dzieło biograficzne ubiegłego roku (w finale znalazła się wystawa *Wajda*, film *Ikar* i książka *Pusty Las*), w kolejnych miesiącach na bieżąco będziemy przedstawiać najciekawsze portrety obecnego roku 2020.

To biografia miejsca: Hotel Europejski przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie – zbiorowa opowieść sięgająca do drugiej połowy XIX stulecia.

To tu, w Sali Pompejańskiej, w *Lalce* Prusa, odbyła się uroczystość z okazji poświęcenia nowego magazynu Wokulskiego. Pod koniec XIX wieku pracownię na ostatnim piętrze wynajmował malarz Józef Chełmoński, goszcząc w niej Stanisława Witkiewicza. W dwudziestolecie międzywojennym dobrze było być tu na elitarnych Balach Mody. A bywali najwięksi z wielkich: Anatol France, Artur Rubinstein, Indira Gandhi, Robert Kennedy z rodziną.

W PRL pojawił się tu bufet – ważne miejsce warszawskiej bohemy, która w nocy przychodziła się dopić do słynnych „Kamieniołomów”. Pod koniec epoki Europejski zdziażdżał, choć już w wolnej Polsce rekordy popularności były całodobowo czynne „Przekąski Zakąski”.

Dziś ma nowych właścicieli, którzy chcą, aby hotel był komfortowym miejscem z polską duszą.

A że autor albumu to mega-varsavianista i znalazło się tu mnóstwo unikatowych ilustracji oraz dokumentów oddających ducha minionych epok, więc powstał album nie tylko piękny, ale dający i sporo wzruszeń.

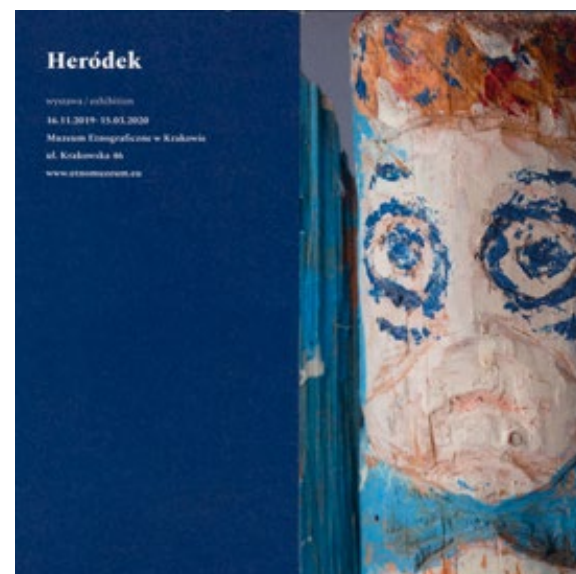
Hotel Europejski, opr. Jerzy S. Majewski, Noir sur Blanc, Kraków, styczeń 2020

(opr. wb)

*

Muzeum Etnograficzne w Krakowie na przełomie dekad zrobiło nam prezent i przypomniało orawskiego Nikifora, czyli Heródka. Monograficzna wystawa prezentowana na Kazimierzu to hołd złożony temu wyjątkowemu twórcy, samodzielnemu rzeźbiarzowi z Lipnicy Wielkiej, zmarłemu w 1969 roku. Karol Wójciak zwany Heródkiem, odkryty dla świata podczas wyprawy etnograficznej Jerzego Darowskiego i Ireny Wrońskiej w roku 1959, był pastuchem zajmującym się do różnych prac. Stworzył kilkaset rzeźb dziś znajdujących się w kolekcjach muzealnych i prywatnych. Jego prace są dosłownie wielkie w swojej małości, wzru-

sają szczerością przekazu, zachwycają siłą ekspresji, prostotą stylu, wyobraźnią oraz bogactwem form. Na wskroś współczesny, „ekologiczny”, etniczny *self-made-man* Heródek dla wielu może być odkryciem i inspiracją. Wielką w tym zasługą kuratorów, którzy wybrali zarówno idealne wnętrza i oświetlenie, jak i minimalny styl dla wystawy. W podziemiach ustawiono rzeźby w rzędach i cyklach niczym postacie w podziemnej kaplicy. Czuć zapach drewna, widać skromne narzędzia,



ale też biedę i siermiężność życia twórcy. Świetnie dobrano też relacje obserwatorów – sąsiadów, oddając groteskę i wyjątkowość tego przypadkowego spotkania światów: badaczy, krytyków oraz artysty i jego sąsiadów, zadziwionych popularnością Heródka w świecie sztuki. Przejmujące, ogarniające uczuciem pokory i szacunku są zwłaszcza pierwsze sale, w których symbolicznie odwzorowano wnętrze szopy, gdzie w towarzystwie zwierząt hodowlanych mieszkał artysta. Stojąc w kopii drewnianego wnętrza wyłożonego słomą, ze ścianami pokrytymi zdjęciami z kolorowej prasy, reprodukcjami świętych ikon, obrazów mistrzów malarstwa można poczuć skromną wielkość wiejskiego rzeźbiarza. Zachowamy ten portret w sercu i pamięci, bo wciąż warto wskrzeszać go dla kolejnych pokoleń.

Wystawa *Heródek*, Muzeum Etnograficzne w Krakowie, 16.11.2019 – 15.03.2020

(Jakub Wydrzyński)

KONKURS CZYTELNIK ROKU 2020

Zacznij już dziś – zgłoś udział i odbierz „Paszport Czytelnika”!
Czytaj i wypożyczaj w Bibliotece Kraków! Zdobydź tytuł Czytelnika Roku!

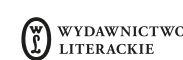
Do wygrania m.in. czytniki e-booków, książki i gry planszowe,
zaproszenia na wydarzenia kulturalne.

Więcej informacji na
www.biblioteka.krakow.pl



BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

PARTNERZY KONKURSU:



PATRONAT MEDIALNY:

Uwagi o *homo viator*

Tekst: Jan Barański Ilustracja: Janusz Stefaniak

Może powinno się zacząć od tego: co to znaczy „podróż”? Kiedy się „podróżuje”? Jak daleko trzeba się oddalić, by móc tej nazwy użyć? Ile granic trzeba przekroczyć?

Etnologia, zwana też szumnie antropologią kulturową, od początku wiązała swoje przeznaczenie z podróżowaniem. Odległym mniej lub bardziej – trzeba się było przemieścić w stronę tych, którzy byli odmienni. Z czasem podróże z początkowego zainteresowania światami egzotycznymi przenosiły się w rejony mniej oddalone. Obcych zaczęto doszukiwać się w Bliższych.

Podróż etnologii się zmieniła. Przy względnym ograniczeniu odległości przeniosła się do innych wymiarów. Zaczęła żeglować w poprzek przestrzeni symbolicznych, mitycznych czy religijnych, wkraczając w nowe mikrokosmosy.

Imponuje mi ta antropologiczna bezczelność: gotowość (czy możliwość?) i chęć opisanego oraz prze-myślenia najszerzej rozumianych spraw ludzkich.

Podróże, z początkowego zainteresowania światami egzotycznymi, przenosiły się z czasem w rejony mniej oddalone. Obcych zaczęto doszukiwać się w Bliższych.

Wystarczy spojrzeć choćby na tematy prac dyplomowych etnologii: antropologia sportu, internetu, diaspory, codzienności, subkultur, nacjonalizmu, muzyki, nowoplemion, symboli, filmu, literatury; antropologia wizualna, filozoficzna, rytualna, kognitywistyczna, wiejska, miejska, religijna; ale również i wciąż folklorystyczna antropologia Miejsc Odległych, innych światów – *orbis exterior*.

Jednak są takie wyróżniki etnologiczne, które łączą wszystkie te i inne jeszcze pola poznania. Szczególnie jeden element konsekwentnie, maniakalnie wręcz jednoczy wszystkie antropologiczne poddziedziny i subdyscypliny – to jej metodologia. Spaja ona dziedzinę, nie pozwalając etnograficznemu marzycielom za bardzo odpywać w fikcję i nadinterpretację. Część teoretyczna przyszła nieco później – czyli kolejna imponująca cecha antropologii: wynikający z postmodernistycznej refleksji nad nauką samokrytycyzm. Balansujący ciągle na granicy skrajnego sceptycyzmu poznawczego umożliwia ostrożne posługiwanie się terminami, pojęciami i teoriami.

Jednym z wcieleń tej metodologii jest po prostu rozmowa. Odpowiednio prowadzona, owszem – zgodnie z określonymi zasadami i rygorami, w związku z badanym problemem. Trzeba pilnować, by rozmówca raczej mówił sam, niż od-

powiadał na pytania; jeśli przychodzi do ich zadawania, to trzeba pytać raczej „czy?”, „co?”, „jak?”, a nie „dlaczego?”. I tak dalej. Potem należy uzbroić się we wspomniany postmodernistyczny samokrytycyzm – i całość przemyśleć, a następnie opisać. Bo etnologowie, choć roszczą sobie prawo do analizowania ogółu spraw człowieka, to jednocześnie są w pełni świadomi, że to tylko opis – bardziej lub mniej profesjonalna interpretacja, zawsze tylko jakiś przekład, zawsze zniekształcenie: propozycja.

Uzbrojony w te narzędzia lubię poznawać świat i szukać odpowiedzi na pytania, które mnie nurtują – zawsze świadom, że ostatecznie jedynie piśnię opowieści.

*

Ciekawi mnie niezmiernie potrzeba podróżowania. Znam mnóstwo osób, które nie mogą usiedzieć w miejscu. Ciągłe je gdzieś ciągnie, muszą się przemieszczać, muszą wyjechać. Potem czasem wracają i opowiadają, a większość słucha z uwagą. Ciekawi mnie to pragnienie, bo sam go chyba nigdy do końca nie poczułem. To znaczy: uwielbiam podróżować. Mieszkałem w obcym kraju, byłem w kilku stolicach, odwiedziłem trochę miejsc i pragnę robić to dalej, poznać ich coraz więcej. Ale coś podpowiada mi, że to nie jest ta paląca potrzeba. To nie to przemożne pragnienie, które dostrzegam w bliźnich, lecz – jak sądzę – samego mnie w takim stopniu nie dotyka.

A zatem rozmowa. Z moim bratem – podróżnikiem i fotografem. *Homo viator*.

*

Czy da się odpowiedzieć na pytanie – dlaczego podróżujemy? Wielu próbowało podawać różnego rodzaju powody, w mniejszym lub większym stopniu uzurpując sobie prawo do wyjaśnienia sprawy. Nieskończenie więcej odpowiedzi znaleźlibyśmy wśród całej ludzkości zamieszkującej świat. O tym wie Stan, gdy pytam go o powody jego potrzeby podróżowania. Sprawa jest nader skomplikowana i trudno – o ile w ogóle jest to możliwe – je wyliczyć, wymierzyć czy wynotować. Jednak się nie poddaję: w trakcie naszej rozmowy staram się skrupulatnie zapamiętywać te momenty, które mogą coś podpowiedzieć w sprawie *homo viator*.

J: Dlaczego jechać, a nie zostać?

S: No bo jest tak dużo tego świata.

J: Czy coś cię interesuje szczególnie?

S: W dwóch słowach: miasta i natura.

Miasta to podstawowy żywioł tego fotografa, o czym świadczy jego artystyczna biografia: o miastach traktowała jego praca magisterska, o mia-



stach były liczne jego wystawy, o miastach numery czasopism, w których publikował swoje zdjęcia... w mieście żyje, to jego żywioł. To miasta wymienia jako pierwsze, to jedna z dwóch przede wszystkim interesujących go „części świata”.

A najważniejsze w tym wszystkim są porównania. Porównania miast. Z początku nieśmiało – czym Kraków, a czym Warszawa? Czym Lublin, czym Bratysława? Jak wobec nich sytuuje się Londyn? Jak Paryż? „Im dalej w las, tym więcej drzew”, mówi Stan. Po latach podróży przesyconych koncentracją na tkance miejskiej wie o nich coraz więcej – Lizbona, Chicago, Nowy Orlean, Dubaj, Detroit, Ateny, Rzym, Berlin... i wiele innych. Wszystkie te arcydzieła ludzkości noszą w sobie zawsze tę samą dychotomię, jak podkreśla. Różnią się, a jednocześnie są podobne. Skupienie się na urbanistyce pozwala dokonywać nieustannej komparatystyki tego, jak ludzie żyją, jak organizują otaczającą ich przestrzeń, co jest dla nich ważne, a co nie, kto decyduje, a kto musi się dostosować, gdzie się chodzi, a gdzie się bywa, jak się wewnątrz miejskiej tkanki przemieszcza, a jak przemieszczać się nie sposób i tak dalej.

Im więcej zaś porównań, tym bardziej, jego zdaniem, „poszerzony horyzont”. Im więcej zwierciadeł, tym więcej różnych obrazów. Czy gdyby nie był wcześniej kilkakrotnie w USA, to byłby w stanie konstatować, że „Australia to coś pomiędzy Wyspami [UK] a Stanami”? Że Australia to *wanna be Stany*? Być może. O ileż jednak bardziej wiarygodne jest to porównanie w ustach człowieka, który widział odbicie świata zarówno w zwierciadle amerykańskim, jak i tym z antypodów; który świadom jest tych wszystkich odbić skrzyżowań, tych załamania światła i obrazu.

Bo, jak sam mówi, „z podróży wiem coraz bardziej, że to tylko my kształtujemy otaczającą nas rzeczywistość”. Nie jest ona obiektywna. To tylko kolejne odbicia w kolejnych, choćby niezliczonych, ale jednak – zwierciadłach.

By jednak odnajdywać zwierciadła, które odbiją ku naszemu rozumieniu to, co już znane, by rzucić nań nowe światło, nie wystarczy bilet lotniczy i powrotny; sama zmiana położenia to stanowczo za mało. Potrzeba, jak przekonuje podróżnik, spróbować w innych miejscach pomieszkać, popracować czy – a i owszem – także po prostu gdzieś „wyskoczyć”. Zmierzyć się z innym światem, lecz – co ważne – nie próbować zmienić dotychczasowego aparatu interpretacyjnego na ten z *orbis exterior*, gdyż to chyba i tak daremne. Ważne, by zachować dystans, przeglądając się wciąż i wciąż na nowo w kolejnych zwierciadłach, pamiętając, że w gruncie rzeczy to przecież właśnie my i tylko my decydujemy o oglądanych obrazach. Całe to poznawcze skomplikowanie można określić jako – jak w prosty sposób podsumowuje podróżnik – „znajdywanie się w różnych, wciąż nowych sytuacjach, dziwnych, niecodziennych”.

Stawiam, wobec tego, że to chyba jakaś chęć ciągłego wyrwania się poza szablony, poza ramę interpretacyjną po to, by poszerzyć tę, która dotychczas obowiązywała.

Kolejne zwierciadła to, siłą rzeczy, ponowne odczytania tego, co już doświadczono wcześniej. Zapewne taka jest rola fenomenologiczno-interpretacyjnych zwierciadeł, że to, co dotychczas zdawało się rozpoznane, ukazują w nowym świetle.

Rzeczy najbardziej znane z poznanych, na przykład dom. Stan w jednej z naszych rozmów kładł stanowczy nacisk na, jak to określił, „doświadczenie domu” po powrocie z podróży. Ostoja, matecznik, źródło, *ex* – odczytane zostaje na nowo. Paradoks jednak polega na odysejskim absurdzie – to, co było znane, pojawia się w nowej odsłonie, która jednak jednocześnie potwierdza stałość i przewidywalność wspomnianego. Całkiem inne po powrocie, odmienne i zmienione, paradoksalnie tym bardziej wzmacnia przekonanie o stałości samej idei, symbolu czy odwołania, którym jest dom.

Stan mówi, że nie rzecz w przekroczeniu bramek na lotnisku, zajęciu miejsca w przedziale, kupieniu biletu, nie idzie o mierzalną i jednoznaczną empirycznie chwilę. W grę wchodzi coś o wiele trudniejszego do uchwycenia. To coś, co znajduje się wewnątrz jaźni; coś, co bywa bardziej intensywne, by po pewnym czasie się wyciszyć; pewien permanentny stan, o którym trudno zdecydować, a z pewnością warto mu się poddać. Warto, bo przynosi wciąż nowe, kolejne i kolejne odpowiedzi, pytania, bodźce, znaki, chwile, wspomnienia – i wszystkie inne rozmaite elementy ludzkiego budulca.

Wobec tego Stan przyznaje, że jego podróż jest znacznie dłuższa i znacznie wykracza poza pozornie łatwe w ustaleniu momenty graniczne jego wyjazdów. Podróż to więc okres bardziej rozciągnięty w biografii. W tym sensie *podróż* to raczej etap w życiu niż czynność, pewien czas, który, zdaniem fotografa, z pewnością jeszcze się nie zakończył.

Na pewno wciąż nie wiem, dlaczego podróżujemy. W tym sensie, że nie znam odpowiedzi (która, zresztą, zapewne nie istnieje). Co najwyżej mogę zaproponować nowe pytania. Może również nieco rozszerzyły się moje własne klisze interpretacyjne. Nie odczuwam jednak rozczarowania. Także dlatego, że – jak sądzę – wiele racji mają ci, którzy twierdzą, że prawdy albo nie ma w ogóle, albo istnieje tylko ona, w nieskończonych wcieleniach, i nie ma nic poza prawdą.



Jan Barański – antropolog kulturowy i barman. Redaguje czasopismo antropologiczne „Barbarzyńca” i gra w piłkę.

„Islamista” znaczy znawca islamu

Rozmawiał Paweł Kopeć Zdjęcie: Alicja Rzepa

Anna Wilczyńska o doświadczeniu pracy z uchodźcami islamskimi: „Choć wydaje mi się, że dużo wiem na temat islamu, to często zmagam się ze swoimi uprzedzeniami. To naturalne, że relacje między obcymi sobie ludźmi z różnych kultur nie zawsze zaistnieją samoistnie. Dlatego warto im w tym pomóc”.

Paweł Kopeć: Kiedy pierwszy raz zetknęłaś się tematem islamu i Bliskiego Wschodu? Anna Wilczyńska: Tak poważnie, dopiero kiedy zaczęłam studiować arabystykę na UJ. **No tak, ale skąd w ogóle taki nietypowy pomysł?**

Teraz już chyba nie byłby aż tak nietypowy, bo zainteresowanie światem arabskim czy muzułmanami jest coraz większe. U mnie zaczęło się w liceum. Chodziłam do szkoły w podkrakowskich Piekarach, gdzie, zamiast stopować szalone pomysły uczniów, motywowano nas, byśmy je realizowali. Dzięki takiemu podejściu dyrekcji i nauczycieli mogłam dużo podróżować, brać udział w międzynarodowych przedsięwzięciach właściwie wszędzie w Europie, gdzie spotykałam podobnych sobie ludzi. Podczas jednego z takich spotkań w organizacji Yellowhouse w Liverpoolu zajmowaliśmy się edukacją dla pokoju wśród młodych na poziomie lokalnym. W inicjatywie uczestniczyły grupy z Izraela, którą tworzyli zarówno Izraelczycy, jak i Palestyńczycy, grupy z Gruzji i Rosji, a do tego Polacy, w tym ja. Tworzyliśmy i wykonywaliśmy różne ćwiczenia po to, by młodzi obywatele zantagonizowanych krajów rozmawiali ze sobą, poznawali się, usłyszeli często te same historie, które tworzą narodowe mitologie, tylko z drugiej strony – od zwaśnionego sąsiada. Tam po raz pierwszy usłyszałam arabski w wydaniu palestyńskim. Stwierdziłam, że kraje arabskie to wystarczająco ciekawy kawałek świata, aby się nim zająć w życiu. Dlatego po szkole wybrałam arabystykę.

Samo brzmienie języka tak cię urzekło?

Zaczęło się od języka, ale ostatecznie chodziło o ludzi, o relacje. Ze względu na to, jak wyglądał nasz projekt w Liverpoolu, pierwszymi słowami, jakie nauczyłam się po arabsku, były „braterstwo”, „miłość”, „przyjaźń”

Islamofobia nie polega na tym, że boimy się islamu, ale na dyskryminacji osób wyznających islam, która realizuje się w czynach. Do czynów islamofobicznych kwalifikuje się wszystko: od nagabywania, krzyków na ulicy, dyskryminację w miejscu pracy, akty wandalizmu w miejscach kojarzonych z islamem, po przemoc fizyczną.

– których w Polsce nie wymienilibyśmy jako pierwszych skojarzeń z islamem czy Bliskim Wschodem. Ale to były zupełnie inne czasy – już po ataku na World Trade Center, ale jeszcze przed Arabską Wiosną. Świat arabski, czy szerzej muzułmański, był nam niemal zupełnie nieznany.

Klimat był z pewnością inny niż dzisiaj. Zakładam, że na hasło „idę na arabystykę” w domu nikt oczami nie przewracał.

W domu nie, ale w dalszym otoczeniu już tak. Może dlatego że poza znajomością nazwiska Osamy Bin Ladena, nikt nic na temat Bliskiego Wschodu nie wiedział. Natomiast



Anna Wilczyńska – sama siebie nazywa islamistką, czyli – jak podpowiada *Słownik języka polskiego* – badaczką i znawczynią islamu. Absolwentka studiów arabistycznych na UJ, dziennikarka współpracująca m.in. z „Tygodnikiem Powszechnym” i *Holistic.news*. Pro-

wadzi wiele inicjatyw zajmujących się edukacją na temat imigracji i islamu oraz pomocą integracyjną dla cudzoziemców w Polsce. Założycielka blogu *Islamista.pl*, czyli największego w Polsce portalu poświęconego sytuacji na Bliskim Wschodzie i kulturze arabskiej.

moja mama od początku bardzo mnie wspierała, jako że ona na co dzień ma równie szalone pomysły co ja (śmiech).

I długo nikt się tym światem nie interesował. Słyszeliśmy oczywiście o Arabskiej Wiośnie, ale wszystko zmieniło się w 2015 roku. To wtedy zaczął się kryzys migracyjny, a ty założyłaś bloga. Co skłoniło cię do tej decyzji?

Skończyła mi się cierpliwość. W 2015 roku nastąpiła mocna zmiana nastrojów społecznych i to w ciągu kilku miesięcy. W moim otoczeniu pojawiła się grupa ludzi, którzy z jednej strony się bali, ale z drugiej chcieli znaleźć jakieś odpowiedzi na powielane w mediach pytania. Wtedy im się przypominało, że znali dziewczynę, która studiowała arabistykę.

Zacząłam dostawać bardzo dużo pytań. W którymś momencie było ich tak dużo, że pomyślałam, iż łatwiej będzie zorganizować jakąś publiczną formę odpisywania na wątpliwości dotyczące islamu. W ten sposób powstał blog *Islamista.pl* – częściowo z braku cierpliwości, a częściowo z poczucia odpowiedzialności za to, co dzieje się w debacie publicznej. Stwierdziłam, że skoro są odbiorcy, to trzeba dać im rzetelnie przygotowaną treść, która być może będzie mogła przeważyć inne wiadomości, często oparte na stereotypach zamiast na faktach.

Oprócz prowadzenia bloga organizujesz także akcje popularyzujące wiedzę o Bliskim Wschodzie: wiosną 2019 roku współorganizowałaś spotkanie *Rethinking Islam*, w 2018 roku *Rethinking Refugees*...

Ale też wiele wydarzeń na poziomie lokalnym. Moje doświadczenie dowodzi, że znacznie lepiej niż duże konferencje, takie jak *Rethinking Islam*, działają spotkania w mniejszym gronie, gdzie kontakt z „obcym” jest bardziej zintensyfikowany, bardziej osobisty. Dlatego regularnie organizujemy wspólne gotowanie z wspólnotą muzułmańską i żydowską oraz różnymi wspólnotami chrześcijańskimi. Przy pierwszym gotowaniu byliśmy przerażeni, bo zgłosiło się ponad tysiąc osób, a my mieliśmy miejsce na sto. Ugotowaliśmy wspólnie 40 litrów zupy, co wcale nie było takie łatwe, bo musiała spełniać wymogi koszerności i halal! Stanęło na pożywnej, wegańskiej soczewicowej, którą po wspólnym

gotowaniu rozdaliśmy osobom w kryzysie bezdomności razem z krakowską inicjatywą *Zupa na Plantach*.

Gotowaliśmy w JCC (*Jewish Community Center*, zlokalizowanym na Kazimierzu – red.), gdzie kuchnia jest koszerna. Do samej kuchni mogli więc wchodzić tylko Żydzi. A produkty były zarówno koszerne, jak i dozwolone do spożycia przez muzułmanów.

Trudno gotować, kiedy duża część uczestników – z organizatorami włącznie – nie może wejść do kuchni...

Akurat społeczność związana z JCC bardzo ułatwiła nam to zadanie, mają już wprawę w organizowaniu podobnych imprez. Zrobiliśmy taśmę produkcyjną i każdy dostał takie zajęcie, które odpowiadało jego przekonaniom. Ci, którzy wiedzieli, jakie przepisy obowiązują w koszernej kuchni, zajmowali się gotowaniem, a inni kroili, przygotowywali, pakowali. Z drugiej strony warzywa krojone były w pomieszczeniu, gdzie wisi wielki obraz Jerozolimy z symbolami kojarzonymi z państwem Izrael. Bardzo się bałam, jak zareagują muzułmanie, wśród których część była pochodzenia palestyńskiego. Tymczasem na koniec spotkania usłyszałam, jak muzułmanie mówili Żydom, że obyczajowo mają więcej wspólnego ze sobą nawzajem niż z obecnymi na spotkaniu katolikami. Zatem, mimo obaw, nie było kłótni o politykę. Chęć zrobienia czegoś dobrego dla ubogich wzięła górę nad sporami.

Słuchając cię, mam wrażenie, że to, co zaczęło się od zmęczenia tłumaczeniem znajomym, o co z tym islamem chodzi, zmieniło się w autentyczną pasję, by edukować.

Ale raczej edukować przez doświadczenie. Sama jestem dobrym przykładem tego, że taka edukacja w działaniu jest najskuteczniejsza. Przy okazji konferencji *Rethinking Islam* chcieliśmy zorganizować w Spółdzielni Ogniwio śniadanie networkingowe. Znajomi muzułmanie powiedzieli mi jednak, że nie przyjdą. Gdy już miałam zacząć się oburzać, że jak to: nie przyjdą na moje wydarzenie o ich religii?!, przypomnieli mi: specjalistko od islamu, chyba zapomniałaś, że trwa ramadan, więc możemy jeść dopiero po zmroku. Śniadanie zmieniliśmy więc na iftar, czyli tradycyjną ramadanową kolację. Kolejny problem pojawił się już w związku z miejscem: okazało się, że w Spółdzielni

Ogniwo rozstawiono wystawę poświęconą kobiecej seksualności – część prezentowanych obrazów nie pozostawiała wiele dla wyobraźni (śmiech). Byłam pewna, że gdy muzułmanie to zobaczą, natychmiast wyjdą. Ale szybko się okazało, że nie było żadnego kłopotu, nikt nawet słowem o tym nie wspomniał.

Chyba sama bardziej się stresowałaś, że możesz kogoś urazić, niż sami zainteresowani.

To doświadczenie pokazało mi, jak ważne jest, aby osoby, o których będziemy mówić, współorganizowały te wydarzenia, które ich dotyczą. Żeby nie tylko robić coś dla nich, ale oddawać im głos. Po raz kolejny przekonałam się także, że ja również zmagam się ze swoimi uprzedzeniami. Mimo że wydaje mi się, iż dużo wiem, to zdarza mi się przejechać na własnej pewności.

Chciałbym zapytać o kwestie przemocy: o atakach na muzułmanów w Polsce nie słyszy się często, niemniej się zdarzają. Na swoim blogu różne takie przypadki próbujesz nagłośnić. Jak duży jest to obecnie problem?

Dla mnie w tej kwestii nie ma miejsca na kompromisy. Islamofobia jest przestępstwem i jeśli przez bloga mogę pomóc odszukać osobę, która w tramwaju szarpie muzułmankę za chustkę, to zawsze chętnie to robię. Bo islamofobia nie polega na tym, że boimy się islamu, ale na dyskryminacji osób wyznających islam, która realizuje się w czynach. Do czynów islamofobicznych kwalifikuje się wszystko: od nagabywania, krzyków na ulicy, dyskryminację w miejscu pracy, akty wandalizmu w miejscach kojarzonych z islamem, po przemoc fizyczną. Ofiarami aktów islamofobicznych nie muszą być nawet muzułmanie, wystarczy, że sprawca domniemuje, iż skatowana osoba jest muzułmaninem lub muzułmanką lub że ma jakiś związek z tą religią. Ja też bywam ofiarą islamofobii. A w Polsce są to czyny karalne.

Co można zrobić z perspektywy obserwatora? Zawsze reagować i prosić o pomoc innych obserwatorów zdarzenia. Warto nagrywać przebieg zdarzenia, warto udzielić nawet minimalnego wsparcia osobom atakowanym – czasami wystarczy zamiast zwracać się do atakującego, zwrócić się do

ofiary, zacząć do niej mówić. Zdarza się, że przez to osoba atakująca czuje się wytrącona z równowagi. Można zasygnalizować atakującemu, że takie zachowania to w Polsce czyny karalne i należy zadzwonić na policję. W Krakowie mamy funkcjonariuszy wyszkolonych do radzenia sobie z takimi przypadkami.

Mówiłaś, że najłatwiej odczarować różne stereotypy przez doświadczenie, ale mam wrażenie, że nie zawsze to tak działa. Że część przekonań sformowanych jest właśnie na podstawie spotkania z przedstawicielem innej kultury i nieporozumień, które mogą przy tej okazji wyniknąć.

Zgadza się. Aby spotkanie doprowadziło do zmiany zachowania i miało rzeczywistą wartość, musi odbywać się w odpowiednim kontekście. Polacy mieszkający w Niemczech czy w Anglii też ciągle spotykają się z muzułmanami, ale tam kontekst zazwyczaj nie sprzyja integracji, lecz wspiera zakorzenianie się stereotypów. Polscy migranci na Zachodzie spotykają muzułmanów w sytuacjach, gdzie wzajemne różnice są najbardziej widoczne, gdzie nie zawsze jest okazja do nawiązania indywidualnej relacji. Czasem obie strony nie mają nawet wspólnego języka, aby rozpocząć kontakt. Z tego powodu podczas wydarzeń staram się tworzyć kontrolowane i przyjazne okoliczności, które katalizują tworzenie relacji. To naturalne, że relacje między obcymi sobie ludźmi z różnych kultur nie zawsze zaistnieją samoistnie. Dlatego czasem warto im trochę pomóc.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na poniewierce, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.

Kraków

TEATR
bagatela
100
LAT



OPRACOWANIE I REŻYSERIA
MIKOŁAJ GRABOWSKI

premiera 29 lutego 2020
spektakle **1, 3 marca**, godz. 16.30, 19.15

rezerwacja
tel. **12 422 66 77**
www.bagatela.pl

TEATR „BAGATELA” IM. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Pustka po sąsiadach

Rozmawiała Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Monika Sznajderman przyjechała w Beskid Niski przed trzydziestu laty. W panującej tam ciszy poczuła niepokój. Kazał on jej przywrócić tożsamość wysiedlonym stamtąd ludziom. Tak powstała książka *Pusty Las*, która zajęła pierwsze miejsce w naszym konkursie „Portrety” na najlepsze polskie dzieło biograficzne 2019 roku.

Magda Huzarska-Szumiec: Gdzie leży Pusty Las?

Monika Sznajderman: Pusty Las był przysiółkiem dużej wsi Siary w Beskidzie Niskim, niedaleko Gorlic. Dziś nazywa się on Puste Pola. Przez wieki mieszkało tam, jak to w przysiółku, niewiele osób. Wszystko się zmieniło, kiedy zaczęto eksploatować ropę naftową. Powstały tu wówczas kopalnie, domy robotników i inżynierów, karcz-

szych wysiedleń do Związku Radzieckiego. Tych, którzy zostali, wypędzono stąd w ramach akcji Wisła w 1947 roku. *Pusty Las* to także metafora wszystkich miejsc na świecie, w których było życie, a teraz zamiast ludzi mieszka cisza, mieszkają cienie. **Co Pani usłyszała w tej ciszy, wśród tych cieni?**

Coś nieokreślonego. Ta cisza budziła niepokój.

Czy to on sprawił, że postanowiła Pani wydobyć z niepamięci resztki tego łemkowskiego świata?

Odkąd zaczęłam przyjeżdżać w Beskid Niski, towarzyszyło mi podskórne uczucie, że jestem intruzem, że poruszam się drogami, którymi powinni poruszać się inni, że chodzę po miejscach, po których powinni inni. Długo trwało, zanim potrafiłam to uczucie nazwać. *Pusty Las* napisałam, by zrozumieć, co tak naprawdę znaczy żyć w miejscu po kimś, po ludziach, których było tak wielu i którzy nagle zniknęli. W takiej przestronnej pustce po setkach osób...

Gdyby one wciąż tu były, nie mieszkałabym w Wołowcu, gdyż zwyczajnie nie byłoby dla mnie miejsca. Beskid Niski był najgęściej zaludnioną częścią całego łańcucha Karpat i przez to mało atrakcyjną dla przyjezdnych. Wszędzie tylko kamieniste pola, pastwiska, łąki, nagie zbocza, gdyż lasy dawno wycięto, biedne chatynki, dom przy domu. Dopiero przed samą wojną zaczęto dostrzegać nieoczywiste piękno tych gór, skrojonych na ludzką miarę, ich łagodnych dolin, strumieni. Że nie tylko skaliste Tatry albo dzikie Bieszczady, ale także te niepozorne, skromne Beskidy...

Nawiasem mówiąc, od pewnego czasu nie czuję się już intruzem. Nie tylko dlatego, że po tych trzydziestu latach jednak zapuści-

my. Gdy zaprzestano wydobycia, życie zamarło ponownie. Wszystko porosły krzaki, drzewa. Ponoć gdzieś jeszcze są dwie kopalnie ropy i choleryczny krzyż.

A czym jest w sensie metaforycznym ów Pusty Las, który znalazł się na karcie tytułowej Pani książki?

Pusty Las to dla mnie cały Beskid Niski, wszystkie wsie, z których wysiedlono ich mieszkańców. Jednak mój najbardziej osobisty *Pusty Las*, któremu poświęciłam książkę, znajduje się w Wołowcu. Mieszkam tu od ponad trzydziestu lat, wybudowałam dom. Do 1945 roku była to duża wieś. Mieszkało w niej ponad 800 osób. Wyludniła się niemal w całości w czasach pierw-

Odkąd zaczęłam przyjeżdżać w Beskid Niski, towarzyszyło mi podskórne uczucie, że jestem intruzem, że poruszam się drogami, którymi powinni poruszać się inni, że chodzę po miejscach, po których chodzą inni. Długo trwało, nim potrafiłam to uczucie nazwać.



Monika Sznajderman jest antropologiem kultury; stopień doktora nauk humanistycznych otrzymała w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie. Od 1996 roku prowadzi

Wydawnictwo Czarne. Za swoją poprzednią książkę *Fałszerze pieprzu* uhonorowana została między innymi Nagrodą im. Jerzego Turowicza.

łam tu trochę korzenie. Także dlatego, że zrozumiałam, iż jestem po prostu dalszym etapem życia, które toczy się w tym miejscu, że jestem jego częścią, fragmentem jego historii. I żyjąc tu, w teraźniejszości, tworzę – jak powiedział filozof – przeszłość dla tych, którzy przyjdą po mnie. Co nie zmienia faktu, że ludzi, którzy byli tu przede mną, strasznie brakuje. To oni powinni tu żyć. Los, jaki ich spotkał, nie był sprawiedliwy ani w żaden sposób uzasadniony. Nie mogę o tym przestać myśleć.

Pusty Las napisałam, by zrozumieć, co tak naprawdę znaczy żyć w miejscu po kimś, po ludziach, których było tak wielu i którzy nagle zniknęli. W takiej przestronnej pustce po setkach osób...

Co podczas pierwszych wyjazdów w Beskid Niski zrobiło na Pani największe wrażenie? Dzikość i pustka. Podobnie jak na moich znajomych, którzy znaleźli się tu przed ponad trzydziestu laty. W naszym śródwiskiu wyjazd w Beskid Niski był pokoleniowym doświadczeniem. Odkryliśmy to miejsce dla siebie, tak jak ludzie nieco starsi odkryli Bieszczady. Zaczęliśmy szukać tu swojej przestrzeni do życia. Ale ciągle towarzyszyło mi poczucie, że piękno, które nas zachwyca, nie jest nam dane tak po prostu, że nie jest niewinne, że coś się pod nim musi kryć. Wtedy tylko to przeczuwałam, bo trudno było o pełną wiedzę. Nie było na ten temat książek, o Rusinach i akcji Wisła oficjalna historia milczała. Ludzie, którzy wrócili z wysiedleń, wciąż byli sparaliżowani strachem, bali się mówić. O tym, co spotkało moich byłych sąsiadów, dowadywałam się latami.

Gdzie szukała Pani informacji na ich temat? W archiwach. Dzięki nim mogłam przywołać tak wiele rzeczy – imiona, nazwiska, daty urodzenia, ślubów i śmierci moich byłych sąsiadów. Na początku wydawało mi się oczywiście, że będzie to orka na ugorze, potem dogrzebywałam się do prawdziwych bogactw. To dogrzebywanie ma tu głęboki sens. Nie tyle chciałam bowiem ocalić pa-

mięć o moich sąsiadach, ile wydobyć ich, wydobyć z niepamięci.

Czy takie przywracanie imion, nazwisk daje szansę na zwrócenie tym ludziom tożsamości?

Tak. To bardzo ważne. Bezimienny człowiek nie jest w pełni człowiekiem. Imię to dowód istnienia, znak życia, a zarazem wpisanie się w ciągłość historii, w łańcuch pokoleń. Utrata imienia to jedna z najgorszych rzeczy, jaka człowieka może spotkać.

Wymienianie przez Panią imion, nazwisk przyjmuje rytm litanii. To był świadomy zabieg?

Tak, choć wiem, że to nagromadzenie imion, ta litanijność, może wydawać się obciążeniem w czasie lektury. Ale poprzez przywoływanie tak wielu imion i nazwisk, poprzez ich natłok chciałam pokazać bujność tamtego życia, przywołać je w jak największym natężeniu, w całej jego jaskrawości. I myślę, że to mi się udało, choć przecież nie odnalazłam wszystkich nazwisk.

Czy dotarcie do przynajmniej ich części pomogło Pani uruchomić wyobraźnię, jak na tych terenach żyli Rusini, Żydzi, Cyganie i nieliczni Polacy?

Tak, docieranie do tych podstawowych faktów, choć były one nieliczne i szczątkowe, pozwoliło mi zacząć budować historie. Budowałam je też z zasłyszanych opowieści oraz z wyobraźni, bo – jak powiedział jeden z moich ulubionych filozofów Georges Did-Huberman – „żeby wiedzieć, trzeba sobie wyobrazić”.

Na moją wyobraźnię oddziaływały też ślady po ludziach, które w Beskidzie Niskim są wszędzie. Trzeba tylko umieć je rozpoznawać. Trzeba wiedzieć, co oznaczają przydrożne kapliczki, zdziczałe sady, podmurówki, spichlerze, ziemianki, cerkwiska. Trzeba wiedzieć, że kępy pokrzyw oznaczają, że tam przed laty była obora, stajnia, ktoś tam wyrzucił gnój... To wszystko to są najbardziej widoczne, oczywiste pamiątki po tamtym życiu, po ludziach.

A jak ci ludzie tam żyli w XIX wieku?

Na pewno ubogo. Myślę, że większych różnic majątkowych na tych terenach nie było. No, może z wyjątkiem czasów, kiedy zaczęto wydobywać ropę naftową. Wtedy wiele osób się wzbogaciło. Ale raczej nie w mojej wsi.

Czy to bieda sprawiła, że część ludzi emigrowała do Ameryki, by później jednak powrócić? Trudno było im odnaleźć się za oceanem?

Było mnóstwo powodów tych powrotów. Na pewno wielką rolę odgrywały tu utrata pracy lub tęsknota. Nie wszyscy przecież mogli do Ameryki ściągnąć żony, dzieci, więc do nich wracali. Byli też tacy, którzy się dorobili i postanowili zbudować w rodzinnych wsiach domy.

To nie były jeszcze czasy, kiedy te tereny opustoszały?

One zaczęły pustoszeć wiosną 1945 roku. Wcześniej, w pierwszych latach wojny, zniknęli stąd wprawdzie Żydzi, ale pustki po nich specjalnie nie odczuwano. Po pierwsze dlatego, że to byli Żydzi, a po drugie, bo było ich niewielu, kilkadziesiąt osób w całej gminie. Podobnie jak Cyganów, których też objęła eksterminacja.

A kiedy ta pustka powstała?

Kiedy zaczęły się pierwsze wywózki na Wschód. Objęły one Rusinów. Mówiło się, że są dobrowolne, zapisywano się na nie. Zazwyczaj robiono to całymi wsiami. Były wsie, jak Wołowiec, z których niemal wszyscy mieszkańcy zdecydowali się wyjechać. Z ponad ośmiuset osób deklarację wyjazdu podpisało sporo ponad siedemset. Decyzja taka w dużej mierze zależała od tych, którzy byli najbardziej opiniotwórczy w danej społeczności. Były też wsie, w których nikt albo niemal nikt nie zgłosił się do wyjazdu. Tych ludzi wymiotła dopiero akcja Wisła.

Rzeczywiście wyjeżdżali do ZSRR dobrowolnie?

Tak, bo myśleli, że na Wschodzie czeka na nich nowe, lepsze życie. Tak im obiecywała komunistyczna propaganda. Ta dobrowolność szybko się jednak kończyła, w zasadzie w momencie podpisania deklaracji. I nie można już było wycofać. Przekonywano się o tym już na stacji kolejowej w Zagórzach lub Gorlicach. Teren był strzeżony przez milicję i wojsko, nie było odwrotu. Szybko więc zrozumiano, że to akcja polityczna, wymierzona przeciwko nim. Moi sąsiedzi ostatecznie utwierdzili się w tym przekonaniu, kiedy przybyli na miejsce. Zobaczyli, że nie jest tak, jak im obiecywano, że nie dostają żywności, ziem i nowych domów. Trafiali do kołchozów albo na pustkowia, gdzie nie było niczego.

Musieli budować sobie ziemianki, uprawiać kamienistą ziemię, która nie rodziła. Panował potworny głód i choroby.

A czy ci, których dosięgła akcja Wisła, zdawali już sobie sprawę z tego, co ich czeka?

Tu już nikt nie udawał, że te wywózki odbywają się dobrowolnie. Wszystko działo się pod przymusem. Pierwszy etap zaczynał się na tak zwanej stacji skierowania w Zagórzach lub Gorlicach i kończył na stacji skierowania w Oświęcimiu. Na rampie, gdzie odbywała się selekcja Żydów, dokonywano teraz selekcji przesiedleńców. Niektórzy jechali dalej, innych kierowano do obozu pracy w Jaworznie, jednego z kilkunastu podobozów KL Auschwitz. Zabierano ich z pociągów bez

Podczas akcji Wisła już nikt nie udawał, że wywózki odbywają się dobrowolnie. Wszystko działo się pod przymusem. Pierwszy etap zaczynał się na tak zwanej stacji skierowania w Zagórzach lub Gorlicach i kończył na stacji skierowania w Oświęcimiu. Na rampie, gdzie odbywała się selekcja Żydów, dokonywano teraz selekcji przesiedleńców.

słowa wytłumaczenia, pod byle pretekstem albo bez pretekstu. Odrywano od rodzin, z którymi często na długo tracili kontakt. Nikt nie wiedział, co się z nimi dzieje. W Jaworznie tygodniami i miesiącami przetrzymywano ich bez wyroku. Potem albo wypuszczano i kazano jechać pod konwojem na miejsce zesłania albo skazywano na wieloletnie wyroki.

Skończyła się akcja Wisła i zostały puste wsie, puste domy. Czy kiedy Pani tam po raz pierwszy przyjechała, można było jeszcze znaleźć jakieś rzeczy po ludziach, którzy tam mieszkali?

Te domy nie stały przez te wszystkie lata tak, jakby Łemkowie je przed chwilą opuścili. Po każdym wysiedleniu pojawiali się od razu państwowi rachmistrzowie, którzy spisywali cały inwentarz ruchomy i nieruchomy. Część była zabierana i zagospodarowywana gdzie indziej, część rozszabrowano.

Kiedy się tam pojawiałam, przedwojennych łemkowskich chałup już nie było, ponieważ z przyczyn naturalnych niszczały, zostały podpalone albo rozebrane, a materiał, z którego je zbudowano, przeznaczono na przykład na budowę PGR-ów. Tam, gdzie po wysiedleniu, zgodnie z polityką władz, zainstalowali się polscy osadnicy, część domów przetrwała. Ale nie w Wołowcu. Do opustoszałego Wołowca nikt nie chciał przyjechać.

Dlaczego?

Bo trudno tu się żyło: daleko od wszystkiego, z kamienistą ziemią i bardzo długimi zimami. Dlatego w Wołowcu na wiele lat zapanowała pustka i wszystko niszczało. Nie

Ślady po tamtych ludziach w Beskidzie Niskim są wszędzie. Trzeba tylko umieć je rozpoznawać. Trzeba wiedzieć, co oznaczają przydrożne kapliczki, zdziczałe sady, podmurówki, spichlerze, ziemianki, cerkwiska. Trzeba wiedzieć, że kępy pokrzyw oznaczają, że tam przed laty była obora, stajnia, ktoś tam wyrzucił gnój...

przetrwały stare domy, a co za tym idzie nie zachowały się żadne przedmioty po dawnych mieszkańcach wsi.

Ale pisze Pani, że ma w domu jodłowe parapety ze starego, wołowskiego drewna.

To piękna historia. W Wołowcu były niegdyś dwie cerkwie. Jedna, która istnieje do dziś i która przed wojną była greckokatolicka, a potem stała się prawosławna, oraz druga, prawosławna, niedokończona, bo jej budowę przerwała wojna. Po wojnie rozebrano ją, a drewna użyto do budowy magazynów pobliskiego PGR-u. Kiedy zaczęliśmy budować dom, PGR-y właśnie upadały. Kupiliśmy wtedy trochę tego drewna i mamy z niego parapety. Kiedy na nie patrzę, myślę o tej nieistniejącej już cerkwi.

A czy takie przedmioty, jak ten parapet, mogą stać się wehikułami czasu, ułatwić nawiązanie kontaktu z ludźmi, którzy zniknęli?

Same przedmioty nic nie mogą, są martwe. Ożywić może je jedynie człowiek z jego wyobraźnią i wolą.

Czy są takie pory dnia, pory roku prowokujące Panią do uruchomienia wyobraźni?

Dla mnie – wiem, że to dziwne – najlepsze miesiące to te najbardziej ponure, melancholijne i ciemne, kiedy pustka jest szczególnie dotkliwa. Do Wołowca rzadko w zimie zagląda słońce, ponieważ wieś leży w głębokiej dolinie. Ale to mi nie przeszkadza. Listopad, który dla większości ludzi jest nie do zniesienia w naszym klimacie, dla mnie jest miesiącem, na który czekam. Oczywiście lubię przejść się po łąkach w maju, kiedy świeci słońce, albo jesienią, kiedy buki czerwienieją. To jest przyjemne, tak po prostu. Ale w listopadzie jest jeszcze to coś, czego nie ma w miesiącach światła i życia.

Po tylu latach mieszkania w tej okolicy zadaje sobie jeszcze Pani pytanie: co ja tutaj robię?

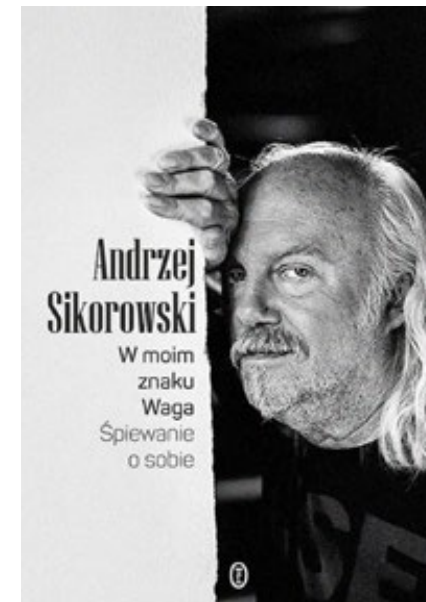
Oczywiście, bez tego pytania nie byłoby *Pustego Lasu*.

Czy można tę książkę określić jako biografię miejsca, za pomocą której prowadzi Pani rozmowę z nieobecnymi?

To jest rzeczywiście bardziej biografia niż monografia wsi Wołowiec. To jest biografia miejsca, które do nas mówi przez ludzkie historie, poprzez głosy dawnych mieszkańców. Ale też poprzez moją historię. Bo ja również jestem częścią tego świata.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mariki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Śpiewografia śpiewożycia

Tekst: Jan Biela

W ogólnym pomieszeniu pojęć gapiostwo i podglądanie bywa mylone z poznaniem. Słysząc narzekania na brak autorytetów, tymczasem mnożą się celebryci, których jedyną zasługą bywa, że dali się poznać licznej publice, a pozbawieni samokrytycyzmu wypowiadają się w każdej sprawie. Na rynku wydawniczym pojawiają się wypasione autobiografie tychże nowych pseudoautorytetów-celebrytów. Jako że i ciekawskich przybywa, można odnieść wrażenie, że również w sferze kulturowej potwierdza się ekonomiczne prawo Kopernika o wypieraniu lepszego przez mniej wartościowe.

Szczęśliwie zdarzają się wyjątki.

Andrzej Sikorowski swoją biografię wyśpiewuje na trzech setkach stron ilustrowanych autorskimi tekstami *in extenso* piosenek i ballad. Załączone utwory stanowią wyraźną oś konstrukcyjną książki, bo są pretekstem do snucia opowieści i wyznaczają istotne punkty na osi czasowej życiospiewu. Są również swoistym opisem rentgenowskiego zdjęcia mocnego kręgosłupa artysty z Krakowa. Sikorowski, będąc wokalistą, tekściarzem i kompozytorem w jednej osobie, jest prawdziwym poetą-bardem. Balansując między poezją śpiewaną, piosenką kabaretową, aktorską a literacką, wyraźnie wpisuje się w nurt muzycznego folkloru – balladowego i biesiadnego.

Sikorowski broni się przed rolą celebryty, a – jak zdaje się tłumaczyć – jedynie wiek

i bogata biografia muzyczna upoważniają go do spisania biografii. Jest artystą w pełni osobnym poprzez swój nieukrywany konserwatyzm w sferze kulturowej, muzycznej i społecznej, podkreślając przy różnych okazjach swoją krakowską mieszczańskość i nawyki cechujące poważną artystyczną cyganerię.

Atrakcyjność autobiograficznej książki Sikorowskiego polega na przywoływaniu wspomnień zawsze w odniesieniu do aktualnej rzeczywistości, którą bezlitośnie recenzuje – opierając się na zasadach i myśleniu zweryfikowanemu pozytywnie przez czas, a przynależnemu konserwatywnemu (nie mieszczańskiemu!) królewskiemu Krakowowi.

Sikorowski – postać powszechnie znana i uznana – pięknie i z wyższością tym się różni od dzisiejszych celebrytów, że wypowiadając się we własnym imieniu, nie narzuca i nie uogólnia sądów oraz swojego widzenia świata. Autobiografia napisana jest w konwencji przyjacielskiej rozmowy wyznania. Bo i niewątpliwie artysta ma wielu przyjaciół (fanów) i, zdaje się, przede wszystkim dla nich pisze. Można sądzić, że swoją skromną postawą zaskarbi sobie kolejnych.

Andrzej Sikorowski, *W moim znaku waga. Śpiewanie o sobie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

Kamil Targosz, *Kruk*, 2016

W Kościele jest dziś trudno

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko Zdjęcie: Piotr Uss-Wąsowicz

Józefa Hennelowa: Dlaczego, do licha, ten romantyzm tak w nas siedzi? Jest wiersz Słowackiego o papieżu słowiańskim, który ma misję na narody. Ba, niektórzy wymyślili, że to ma dotyczyć całej Europy. A przecież nie ma czegoś takiego w teologii jak zbawianie narodów. To święty Paweł już raz na zawsze odkrył.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Dokąd zmierza teraz Polska? Dokąd zmierza polski Kościół?

Józefa Hennelowa: Tak sobie coraz częściej myślę, że plan Kaczyńskiego, powodzenie założenia PiS-u i kwestia zastąpienia III Rzeczypospolitej czwartą wynika z jego sposobu postrzegania świata. To jest porachunek za katastrofę, której sam zawinił. On ciągle szuka sposobu, jak jednak pozabawić się wyrzutów sumienia, a dokonać sprawiedliwości wobec brata i tych pozostałych 95 osób.

Ale faktycznie istniała warstwa ludzi, którym my, reformując kraj, odebraliśmy poczucie bezpieczeństwa dawane im pozornie przez PRL.

Swoje zrobił wreszcie Kościół, który – jak się zdaje – postanowił zrealizować koncepcję Polski katolickiej. A nawet, jak chcą młodzi narodowcy, wielkiej Polski katolickiej.

To właściwie powrót do wizji prymasa Wyszyńskiego z tak zwanych ślubów jasnogórskich. On w 1956 roku przypomniał postać Jana Kazimierza i jego zaślubienie Polski Maryi. Potem z tego się zrodziło Millennium roku 1966. To był wtedy program Polski zawsze katolickiej.

Dobrze to pamiętam, bo w „Tygodniku Powszechnym” dyskutowaliśmy: co by to miało znaczyć? Wychodziła z tego ciekawa publicystyka społeczna. Tyle że prymas bywał niezadowolony z tego, jak to robimy, bo sam postrzegał ten concept jako działanie masowe, wielkie przeżycia, konieczne manifestacyjną, zbiorową, ludową pobożność.

Teraz Kościół zdaje się spodziewać, że to wszystko zrealizuje wespół z obecną władzą.

Skądinąd Kaczyński nigdy nie demonstrował szczególnej pobożności. Ale już prezydent wybrał bez pudła. Prezydent nie jest zakłamanym. To widać zwłaszcza, kiedy przemawia od ołtarza. Zresztą i w kampanię miał wpisane takie elementy. A już słynna historia pod Świątynią Opatrzności z podnoszeniem hostii była wyraźnie wyreżyserowana. To wręcz jest nie do uwierzenia, że można udawać, iż to przypadek. Tak jakby księża gubili hostie konse-

krowane przy każdym publicznym udzielaniu komunii świętej.

Co ważne, zwieńczeniem owego mariażu Kościoła z władzą mają być nie tylko spotkania z papieżem czy masowe zjazdy młodzieży. Ma widać wyraźną nadzieję, że katolizmem wprowadzi się do struktur prawnych państwa. Że powstanie charakterystyczna dla państwa wyznaniowego sytuacja, w której system prawnych nakazów i zakazów będzie zgodny z tym, co według porządku Kościoła jest najważniejsze.

W gruncie rzeczy rozpoczęło się od marzenia samego Jana Pawła II – tyle że nie wiemy, jak on dokładnie sobie to wyobrażał. To jest dla mnie jedno z najważniejszych osobistych pytań i trosk, bo przecież razem z mężem byliśmy silnie związani z Karolem Wojtyłą. Mąż się wychował przy nim jako jeszcze asystent przed końcem studiów, kiedy on był skromnym księdzem, aż po Castel Gandolfo, gdzie bywaaliśmy już razem. Ja miałam styczność z myślą papieską także przez pracę w „Tygodniku”.

I nie mam wątpliwości, że idea taka nieobca była też Janowi Pawłowi. Widać to było choćby podczas jego ostatnich pielgrzymek do Polski.

Nie tylko podczas tej słynnej sytuacji z Kielc, kiedy Papież się tak rozgorczył, że aż krzyczał na ludzi. On przecież stale powtarzał, że zasada, by nie wprowadzić *sacrum* do życia społecznego i państwowego, to błąd. Że żadna neutralność!

Tymczasem *sacrum* w życiu państwowym oznacza przecież dążenie do wpływu na struktury prawne czy organizacyjne. Skutkiem jest,

**Szanowna Pani Józefo,
z okazji zanego jubileuszu 95. urodzin życzymy zdrowia i dalszego wspierania nas – w Krakowie i w Polsce – swoją mądrością i ciepłem**

miesięcznik „Kraków”

na przykład, wprowadzenie zakazu handlu w niedzielę, bo przecież to dzień święty. I generalnie: zabronienie tego, co jest rzeczywistym grzechem i przestępstwem pod groźbą użycia sił świeckich i sankcji karnych – czyli tak zwanych środków bogatych.

Potem jeszcze Papież do tego dodał wizję, czym się kończy demokracja bez wartości. A myśmy nie podjęli dyskusji, co to znaczy – bo przecież z papieżem się nie dyskutuje. Tymczasem w gruncie rzeczy demokracja sama w sobie jest przecież właśnie oparta na wartościach.*

Dopiero niedawno pojawiła się kompletnie nowa jakość – zgoda na to, że się obecnie papieża zaczyna krytykować i to w sposób zasadniczy. Niektórzy polscy publicyści katolicki, a w sposób bardziej zawołowany także duchowni, zarzucają przecież Franciszkowi herezję, a to jeśli chodzi o jego stanowisko w sprawie rozwodników, a to ekologii.

Ale w tym kontekście – dziedzictwa Wyszyńskiego i wizji Jana Pawła II – powstaje dramatyczne pytanie: czy w Polsce jakkolwiek szansę i pole manewru mieli tak zwani katolicy otwarci, czyli między innymi krąg dawnego „Tygodnika Powszechnego”, do którego Pani i my mieliśmy szczęście należeć?

Żeby dopowiedzieć: trudno mi było przyjąć to, że Jana Pawła II wynieśli na ołtarze. Wydawało mi się, że starych Papieża pamiętać. Zwykły człowiek, który widział i słyszał, jak on odprawia mszę, nie miał wątpliwości, że Karol Wojtyła był wspaniały i stanął bardzo blisko Pana Boga. Doczepianie mu aureoli i windowanie na obraz wydawało mi się właściwie przeszkodą w myśleniu o nim, a nie pomocą. Ale stało się: jest święty, więc się do niego modłę. Zastanawiam się jednak, że może kiedyś się przebije to, na czym mu naprawdę zależało. Ale na razie robimy głupio, stawiając mu te setki pomników.

Zresztą on sam powinien od razu zaprotestować. Tymczasem jak pojawił się pierwszy monument, to zamiast powiedzieć: „Żeby mi to było ostatni raz!”, przyjął to z wyrozumiałością. Owszem, może nie chciał robić przykrości ludziom. Bo, choć jeden pomnik jest brzydszy od drugiego, to stawiali je z miłości.

Ciągle myślę, co Jan Paweł już z tamtej strony teraz myśli... Jeżeli mu zależało naprawdę na tym, żeby demokracja była z wartościami, a władza była w rękach ludzi, którzy rozumieją, że wiara w narodzie jest czymś zbawionym w porównaniu z tym, gdyby jej miało całym nie być... To przecież musi być oparte na prawdziwym rozumieniu, czym jest wartość i co to jest dążenie do wiary.

Zwłaszcza wobec tego, że dostaliśmy teraz – nie przez przypadek przecież – papieża, który umie się odnieść w zupełnie nowy sposób do problemów też nieprawdopodobnie nowych. Kościół jest w dobrych rękach i Duch Święty dalej się nim zajmuje. A nie, że będziemy tworzyli z niego swoją samotną wysepkę czy obronną twierdzę.

I w tym sensie tak zwani katolicy otwarci zyskali dziś na nowo pole manewru, choć oczywiście w Polsce nadal nie będą mieli łatwo. Nie tak dawno z Radia Kraków wyrzucono naczelną miesięcznika „Znak” Dominikę Kozłowską, bo ośmieliła się do swojej audycji zaprosić innego przedstawiciela katolicyzmu otwartego Henryka Woźniakowskiego.

Symbolem może też być kolejny raz sprawa aborcji. Bo Kościół znowu postawił ją jako problem numer jeden, i to w sposób zdecydowany, że musi sobie szybko załatwić nową ustawę o ochronie życia poczętego. Nie dziecka na szczęście... Czyli – wprowadzenie pełnego zakazu aborcji. Wygląda na to, ba – niektórzy mówili to wprost, że to właściwie jedyna rzecz, którą trzeba zrobić w kraju, żeby on się mógł

nazywać katolicki. A jak to będzie wykonywane – mniejsza. Mniej ważne jest, czy ludzie będą tego przestrzegali, czy będą udawali, że się stosują – sam zapis ma wystarczyć. Podobnie jest zresztą z różnymi innymi zakazami.

Natomiast ciągle nie wiem, co powoduje ludźmi, którzy tworzą ów twardy i niezmiennie liczący około 40 proc. głosujących – elektorat władzy.

A czy nie jest tak, że takiemu urzędzeniu relacji Kościół–państwo w Polsce jest winne nasze środowisko? Czy grzechem pierworodnym nie było choćby wprowadzenie z naruszeniem prawa u początków Rzeczypospolitej – za rządów Tadeusza Mazowieckiego – nauki religii do szkół? Szybko się okazało, że to nie była żadna nauka religii w duchu tolerancji, poszanowania innych wyznań, poznawania sensu Absolutu. Owszem, katolicyzmu, ale nie tylko. Skończyło się na zwykłej katechezie i to firmowanej przez państwo. Od początku III RP święcone były też policyjne i wojskowe sztandary, przez palce patrzone na przynajmniej komisji majątkowej itd. Może III RP sama otworzyła Kościołowi drzwi do indoktrynacji i przejmowania w państwie władzy?

To istotna uwaga. Myśmy od początku to robili. Jest zastanawiające, dlaczego? I po co lewym sposobem! Zaczynając od Tadeusza.

Owszem, on jako premier znajdował się między tymi różnymi jeszcze nieodprawionymi potworami. Ale po co nam to było? Przynajmniej z paroma osobami rozmawiałam, dlaczego wszystko w kwestii lekcji religii ma być załatwiane administracyjnie – łącznie z tym, że absolutnie nie wolno dyskutować o programie, liczbie godzin lekcyjnych i o tym, kto ma być katechetą.

Jedno z pierwszych starc z hierarchą miałam, kiedy jakiś dyrektor szkoły z Gorzowa napisał do mnie jako do posłanki, że nie może zaprowadzić dwóch godzin, jak go naciskają, bo wtedy inny nauczyciel nie będzie mógł mieć pełnego etatu. Napisałam do arcybiskupa, który zawiadywał diecezją gorzowską, czy parafie nie mogłyby przynajmniej częściowo nadal angażować się w katechezę? Odpowiedzią był atak w diecezjalnym tygodniku, że posłanka katolicka chce zabronić religii w szkole.

Drugim przełomowym momentem było podpisanie konkordatu przez premier Hannę Suchocką – i to w czasie, kiedy już nie było sejmku, bo był rozwiązany za głosowa-

nie właśnie przeciwko niej. Więcej, znalazło się w konkordacie kilka wpadek, nad którymi ręce łamała między innymi prof. Łętowska – ale nic już się nie dało zrobić, bo podpisany dokument międzynarodowy nie może mieć zmienionej ani litery.

W tle był pogląd, że Kościołowi w Polsce należą się nie tylko zwykłe prawa, ale szczególnie przywileje za walkę z komunizmem.

Oraz zwykła hipokryzja w postaci manifestowania przywiązania do Kościoła w sytuacjach publicznych. Od dołu do góry. Masa ludzi między sobą narzeka na księży – bo tacy i owacy. Po czym ci sami ludzie czołobitnie, zwłaszcza w mniejszej miejscowości, gdzie się wszyscy znają, idą w procesji, pilnują, by ich dzieci też szły, przyjmą z atencją kołędującego proboszcza i dadzą mu kopertę. To samo dotyczy parlamentu i chociażby dodawania do ślubowania poselskiego formuły: „Tak mi dopomóż Bóg”. W sejmie kontraktowym tego jeszcze nie było, ale z czasem stało się ostentacyjne i wręcz liczone – kto doda, a kto nie.

Owszem, można autentycznie wykazywać pobożność. Ale niekoniecznie trzeba ją eksponować i demonstrować. Zwłaszcza gdy jest się w pierwszym rzędzie i w obiektach kamer.

Tak sobie marzę, by biskupi, jeżeli nawet chcą mieć wierzącego prezydenta czy panią premier, wprowadzili zasadę, że w kościele się nie klaszcze. A na kazalnicy nie zaprasza nawet głowy państwa, bo to miejsce służy do głoszenia innego słowa – Bożego. Niech nawet sadzają oficjeli w pierwszych rządach, bo tylko premier Mazowiecki przychodził do kościoła na mszę rano i *incognito* siadywał w ostatnich ławkach. Ale może się już obyć bez żadnego oficjalnego witania. I broń Boże śpiewania w świątyni „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Pani poznała w życiu dziesiątki hierarchów i wpływowych ludzi Kościoła. Dlaczego dziś nie słyszą tych biskupów, którzy choćby teoretycznie powinni nawiazywać do myśli i ducha ks. Józefa Tischnera, krakowskiego biskupa Jana Pietraszki czy Karola Wojtyły? Jeszcze niedawno dzieliło się episkopat na przynajmniej kilku „gołębi” – tych bardziej otwartych: Życińskiego czy Pieronka, i zachowawczych „jastrzębi”. Dzisiaj gołębi nie widać. Za krakowskich wychowanków Tischnera uchodzą bp Rys – ale on odzywa

* To Jan Paweł II pisał w encyklice *Centesimus annus*: „Kościół docenia demokrację jako system, który zapewnia udział obywateli w decyzjach politycznych i rządzonej gwarantuje możliwość wyboru oraz kontrolowania własnych rządów, a także – kiedy należy to uczynić – zastępowania ich w sposób pokojowy innymi. Nie może zaś demokracja sprzyjać powstawaniu wąskich grup kierowniczych, które dla własnych partykularnych korzyści albo dla celów ideologicznych przywłaszczają sobie władzę w państwie. Autentyczna demokracja możliwa jest tylko w Państwie prawnym i w oparciu o poprawną koncepcję osoby ludzkiej. Wymaga ona spełnienia koniecznych warunków, jakich wymaga promocja zarówno poszczególnych osób, przez wychowanie i formację w duchu prawdziwych ideałów, jak i »podmiotowości« społeczeństwa, przez tworzenie struktur uczestnictwa oraz współodpowiedzialności. Dziś zwykło się twierdzić, że filozofią i postawą odpowiadającą demokratycznym formom polityki są agnostycyzm i sceptyczny relatywizm, ci zaś, którzy żywią przekonanie, że znają prawdę, i zdecydowanie za nią idą, nie są, z demokratycznego punktu widzenia, godni zaufania, nie godzą się bowiem z tym, że o prawdzie decyduje większość, czy też, że prawda się zmienia w zależności od zmiennej równowagi politycznej. W związku z tym należy zauważyć, że w sytuacji, w której nie istnieje żadna ostateczna prawda, będąca przewodnikiem dla działalności politycznej i nadająca jej kierunek, łatwo o instrumentalizację idei i przekonania dla celów, jakie stawia sobie władza. Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”. Warto też pamiętać, iż encyklika *Centesimus annus* opublikowana została 1 maja 1991 roku dla upamiętnienia 100-lecia ogłoszenia encykliki Leona XIII *Rerum novarum*.



Józefa Hennelowa – z urodzenia wilnianka, po II wojnie światowej osiadła w Krakowie. W 1948 roku rozpoczęła pracę w „Tygodniku Powszechnym”, która trwała (z przerwą podczas zawieszenia pisma w latach 1953–1956) aż do ustąpienia z redakcji w 2012 roku. Przez wiele lat była jedną z zastępców redaktora naczelnego Jerzego Turowicza. Jest autorką wielu głośnych artykułów publicystycznych, felietonów oraz redakcyjnych akcji społecznych. W czasach PRL wśród swoich licznych niezależnych aktywności publicznych udzielała się w krakowskim Klubie Inteligencji Katolickiej, Stowarzyszeniu Opieki nad Więźniami „Patronat”, Małopolskim Towarzystwie Oświatowym. Działała też w Społecznym Komitecie Odnowy Zabytków Krakowa. Znalazła się też wśród doradców Komisji Robotniczej Hutników „Solidarności” kombinatoru im. Lenina.

W 1989 roku była krakowską kandydatką Komitetu Obywatelskiego „Solidarności” w pierwszych po II wojnie wolnych (choć tylko częściowo demokratycznych) wyborach do sejmu nazywanego kontraktowym. Zdobyła 81,6 proc. głosów. Była też posłanką na Sejm RP I kadencji (czyli w latach 1991–1993). Jest autorką wielu książek, między innymi *My rodzice* (Znak, 1977), *W ciemni (po 23 dniach procesu toruńskiego zabójców księdza Jerzego Popiełuszki)* (II obieg, 1987), *Votum separatim: publicystyka 1982–1999* (Universitas, 2000), *Bo jestem z Wilna. Z Józefą Hennelową rozmawia Roman Graczyk* (Znak, 2001), *Otwarty, bo powszechny. O Kościele, który może boleć* (Wydawnictwo Literackie, 2012). Uhonorowana tytułem Krakowskiej Książki Miesiąca, *Coraz bliżej albo coraz mniej* (Znak, 2017).

się sporadycznie i ostrożnie, oraz kard. Nycz – który jednak idealnie wpasował się do krajowej średniej.

To prawda, nie widać ich.

Czy to wycofanie się „gołębi” wynika z czysto psychologicznego aspektu – jest nas niewielu, a po ludzku ciężko samemu ciągle podnosić rękę przeciwko.

Jest im trudniej dlatego, że nawet Franciszko-wi jest w Kościele trudno. I dlatego że cały Kościół jest dziś taki, jaki jest. Przecież Franciszek ma kłopoty nie tylko dlatego, że napisał rewolucyjną, jeśli chodzi o pojmowanie roli rodziny, adhortację *Amoris laetitia*. On ma w Watykanie przeciwników także wśród tych, których odstawił od władzy – ludzi, którzy zachowują sobie stumetrowe apartamenty i świetnie tam funkcjonują. Także Jan Paweł II nie miał wątpliwości, że tam są silne układy. Tyle że kiedy zdał sobie sprawę, że już ich nie pokona, to skupił się na podróżach, a tym się nie zajmował.

Dla mnie Kościół okazał swą słabość wraz z rezygnacją Benedykta. Bo cóż oznacza sytuacja, w której papież pod presją rezygnuje ze swojej misji!

Równocześnie wcale nie jestem pewna, czy nadzieją na otwartość w Kościele są młodzi katolicy... To między innymi wśród nich są ci kontestujący Franciszka i zarzucający mu herezję. A inni mają zdumiewająco infantylne i bez troskie podejście do wiary. Dziewczyna idzie do spowiedzi i oznajmia matce, że dostała właśnie rozgrzeszenie. Matka, która wie, że ona nie rozstaje się ze swoim chłopakiem, jest zdumiona. Na co słyszy: ale ja przecież nie powiedziałam podczas spowiedzi, że z nim mieszkam.

Może to jakaś nowa forma funkcjonowania w Kościele, ale tak czy tak pewne jest, że Kościół znalazł się na chwiejnym gruncie.

Franciszek poradzi sobie? Jest jednak inny niż Jan Paweł II, gdzie indziej kładzie akcenty. Fakt, Franciszek jest inny... Kiedy wchodziło się do kaplicy w Castel Gandolfo i widziało Jana Pawła II klęczącego i zatopionego w modlitwie, to choć nie widać było jego twarzy, było jasne, że jest w kręgu sacrum.

Franciszek potrafi od ołtarza powiedzieć do ludzi „Dobry wieczór!”. Wielu jest oburzonych: dlaczego on nie wita wiernych pozdrowieniem katolickim! Ale równocześnie on przecież uważa za normalne, że choć jest

papieżem, to sam nosi swoją teczkę, nie musi mieszkać w apartamentach i może chodzić po Watykanie pieszo. To coś fenomenalnego. Zresztą samo imię mówi swoje.

W sumie więc Pani nie jest rozczarowana dzisiejszym Kościołem?

Korzystam z cotygodniowych odwiedzin duszpasterskich, a nawet komunii świętej przynieszonej do domu. To jest jedna z dobrych rzeczy, które Kościół zrobił. Nasza parafia ma od niedawna świetnego księdza. Bardzo dobre rzeczy robi. Dzięki takim doświadczeniom próbuję być wciąż optymistką.

Bardzo Polska została podzielona, bardzo. Straszliwie.

Za chwileczkę będzie następny krok i się okaże, że jednak Polska wielka, narodowa, katolicka.

Nie daj Boże. Przecież Jan Paweł całował Koran, modlił się w Jerozolimie pod Ścianą Płacz i zwołał w Asyżu spotkanie modlitewne, czego mu nie mogli darować już wtedy jedynie podobno prawomyślni fanatycy. Jeżeli pilnować jego dziedzictwa, to w czym bardziej niż w tym?

Dla mnie wielkim pytaniem jest, dlaczego, do licha, ten romantyzm tak w nas siedzi? Jest wiersz Słowackiego o papieżu słowiańskim, który ma misję na narody. Ba, niektórzy wymyślili, że to ma dotyczyć całej Europy. A przecież nie ma czegoś takiego w teologii, jak zbawianie narodów. To święty Paweł już raz na zawsze odkrył.

Droga i kochana Pani Ziuto,

prócz życzeń zdrowia i sił do dalszej walki o to, co dla Pani cenne, dziękujemy też za szczęście i frajdę, jaką były dla nas lata wspólnej z Panią pracy w „Tygodniku Powszechnym”. A że na dodatek Pani (Krzysztofa Kozłowskiego i Pana Mietka Pszona) pokój sąsiedowała z naszą kanciapą, okazji do rozmów czy choćby słuchania Pani było multum.

Nigdy nie będziemy w stanie pojąć, ile się od Pani nauczyliśmy i oddać tego choćby w części innym.

Mamy też nadzieję, że z pobłażaniem znośła Pani nasze dzikie ekscesy i że zostaną nam one wybaczone.

„Dzicy” Bereś i Burnetko



Skarby piastowskich królów

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Na Zamku Królewskim na Wawelu możemy oglądać cenne historyczne pamiątki i arcydzieła sztuki złotniczej.

Równo 700 lat temu na Wawelu został koronowany na króla Polski Władysław Łokietek. Było to wydarzenie, które dziś znalazłoby się pewnie w głównych wydaniach serwisów informacyjnych. Po raz pierwszy bowiem koronacja odbyła się nie w Gnieźnie, a w Krakowie. Kamery robiłyby pewnie zbliżenia na Szczerbiec, słynny miecz, którym Władysław, a po nim podczas podobnych uroczystości prawie wszyscy inni polscy królowie trzykrotnie kreślili znak krzyża w powietrzu. Teraz ten wyjątkowy przedmiot możemy zobaczyć na wystawie *Skarby epoki Piastów*.

To ekspozycja, która prezentuje przedmioty znane z podręczników historii, a na co dzień znajdujące się w zbiorach Zamku Królewskiego na Wawelu oraz krakowskiej katedry. Ale są też zabytki mniej znane, pochodzące z najstarszych małopolskich, wielkopolskich i mazowieckich kościołów. – Ciekawa jest gablota poświęcona kultowi św. Stanisława, gdyż to jego osoba była jednym z powodów przeniesienia koronacji do Krakowa. Według legendy, ciało rozczłonkowanego biskupa miało zrosnąć się tak, jak powtórnie miała zjednoczyć się Polska – mówi kurator wystawy Krzysztof Czyżewski.

Możemy obejrzeć między innymi najstarszą infułę biskupią znajdującą się w zbiorach polskich, która jednak nie należała do św. Stanisława, a jest jedynie związana z szerzeniem jego kultu. Nosił ją praw-

dopodobnie biskup Prandota, który doprowadził do kanonizacji św. Stanisława w Asyżu. Podobnie jest z pierścieniem, za którego sprawą dochodzić miało do uzdowień czynionych w imieniu świętego (choć ten najpewniej go wcale nie zakładał). Przez wieki pierścieniem tym pocierano chore miejsca na ciele, dlatego dziś jest nieco wytarty.

– Tuż obok znajduje się szklanica, za pomocą której święta Jadwiga miała poić winem biedaków chorych na trąd. Podobnie robiła święta Kinga, której kielich przechowywany na co dzień w klasztorze sióstr Klarysek, również prezentujemy na wystawie – opowiada kurator.

Rocznica pierwszej wawelskiej koronacji dała też okazję do pokazania wyjątkowych zabytków złotnictwa oraz klejnotów z czasów panowania Piastów. Pretekstem do wybrania się na wystawę mogą być już same skarby ze Środy Śląskiej: złota korona kobieca oraz zapona, czyli ozdobna kłamra do spinaania ubrań. – Być może jest to korona ślubna, o czym świadczą zdobiące ją orły trzymające pierścienie. Naprawdę rzadko spotyka się tak piękne i cenne przedmioty z kręgu kultury dworskiej – dodaje Krzysztof Czyżewski.

Wystawę można oglądać na Wawelu do 19 kwietnia. Będą jej towarzyszyć wykłady, spotkania dla rodzin z dziećmi i zwiedzanie z kustoszem.



Kamil Targosz, *Drapieżne*, 2007

Między górami a codziennością

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Niegdyś malował szalone murale. Teraz woli jeździć na nartach i tworzyć melancholijne górskie krajobrazy

Skrząca się w słońcu alpejski śnieg, jasne światło padające na szczyty gór, skąpane w ciepłych barwach ostre, skaliste granie. To nie jest krajobraz z bajki Kamila Targosza. Owszem, jazda na nartach w takich warunkach bywa przyjemna. Ale czy ekscytująca? Szczególnie dla kogoś, kto uwielbia skiturowe emocje we mgle, a w niższych partiach gór czuje się dobrze tylko wtedy, gdy ogarnia go melancholia szarego krajobrazu, kiedy panują dodatnie temperatury, a padający śnieg zmienia się w brunatną breję.

– Właśnie takie zimy przenoszę na płótno. Może dlatego że interesuje mnie ich monochromatyczność. Niby nie ma w tym koloru, ale dla mnie on istnieje. Jest o wiele ciekawszy niż barwy alpejskiego śniegu, który wydaje się być różowy, a otaczające go cienie przechodzą w niebieski i fioletowy odcień. Wolę zimowe niebo, które jest ciemniejsze niż horyzont. Takie, jak czasami oglądam w Beskidzie Niskim – wyznaje artysta, opowiadając, jak trafił do tej magicznej krainy.

Razem z zespołem Maćka Maleńczuka, w którym grał na harmonijce ustnej, występował kiedyś na FAMIE w Świnoujściu. Po koncercie poznał menadżera zespołu Varsovia Manta, który na co dzień był weterynarzem w Beskidzie Niskim. I to on go ściągnął w te rejony. Zaczął tam jeździć, a parę lat temu postanowił wybudować dom. Gdyby mniej wydawał na narciarskie wyprawy, pewnie dom stałby już gotowy. A tak żyje w prowizorze i musi prosić o pomoc swojego sąsiada Andrzeja Stasiuka, który raz po raz pożycza mu a to kosiarkę, a to inne niezbędne narzędzia. Na szczęście znają się dobrze, bo niegdyś Kamil ilustrował jego książki. Choćby *Duklę*, która najpierw była drukowana w „Tygodniku Powszechnym”. Pisarz przysłał mu w kopercie fragmenty swojej prozy, a on robił do niej rysunki i wszystko to zaniósł do redakcji.

– Ale ilustracje do *Zimy* Andrzeja powstawały już trochę inaczej. Pojechałem do niego, żeby pilnować domu. I tam zacząłem malować pierwszy obraz z cyklu, który później wszedł do książki – dodaje Kamil, pokazując pochmurne pejzaże z pozbawionymi liści drzewami, zakopanym w śniegu samochodem, zwierzętami i czarnym krukiem, który znalazł się na okładce *Zimy*. Jest w nich nieprzebrane morze nostalgii i smutku.

Takie nastroje można także spotkać w jego grafikach inspirowanych afrykańskimi maskami i dziwnymi rytuałami. No i w pracy zatytułowanej *Zwierzyna*, którą jego przyjaciel psychiatra chciał powiesić w gabinecie, ale poradzono mu, żeby tego nie robił, bo niezbyt dobrze wpłynęłoby to na stan psychiczny pacjentów.

Kamil niespecjalnie też rozweselił mieszkańców Grenoble muralami swojego autorstwa, choć bardzo się tam spodobały i zostały docenione. – To było

w czasach, kiedy studiowałem na Wydziale Grafiki krakowskiej ASP. Kiedyś na lektoracie z francuskiego nauczycielka powiedziała nam, że Lions Club organizuje wyjazd studentów do Francji. Pojechałem do Grenoble, a tam okazało się, że mamy w biednych dzielnicach malować murale, żeby ludziom żyło się lepiej. Z całej grupy tylko ja potrafiłem to zrobić, więc

Andrzej Stasiuk przysłał mu w kopercie fragmenty swojej *Dukli*, a on robił do niej rysunki.

stworzyłem projekt, narysowałem go na ścianie, a reszta go wypełniała. Wyszło okropnie – śmieje się.

Mimo to burmistrz Grenoble zamówił u niego kolejne graffiti. Tak powstały szalone, ściennie malowidła masek, kangurów, słoni, dla których tłem były czarno-białe paski. Następnym muralem artysta zdobył trzecią nagrodę na międzynarodowym konkursie we Włoszech. Praca nosiła tytuł *Rozmowa* i przedstawiała dwie głowy ze splątanymi językami. Można go oglądać na dworcu kolejowym w Pescarze. Inne zdobią leżące nieopodal Bolonii miasteczko Dozza.

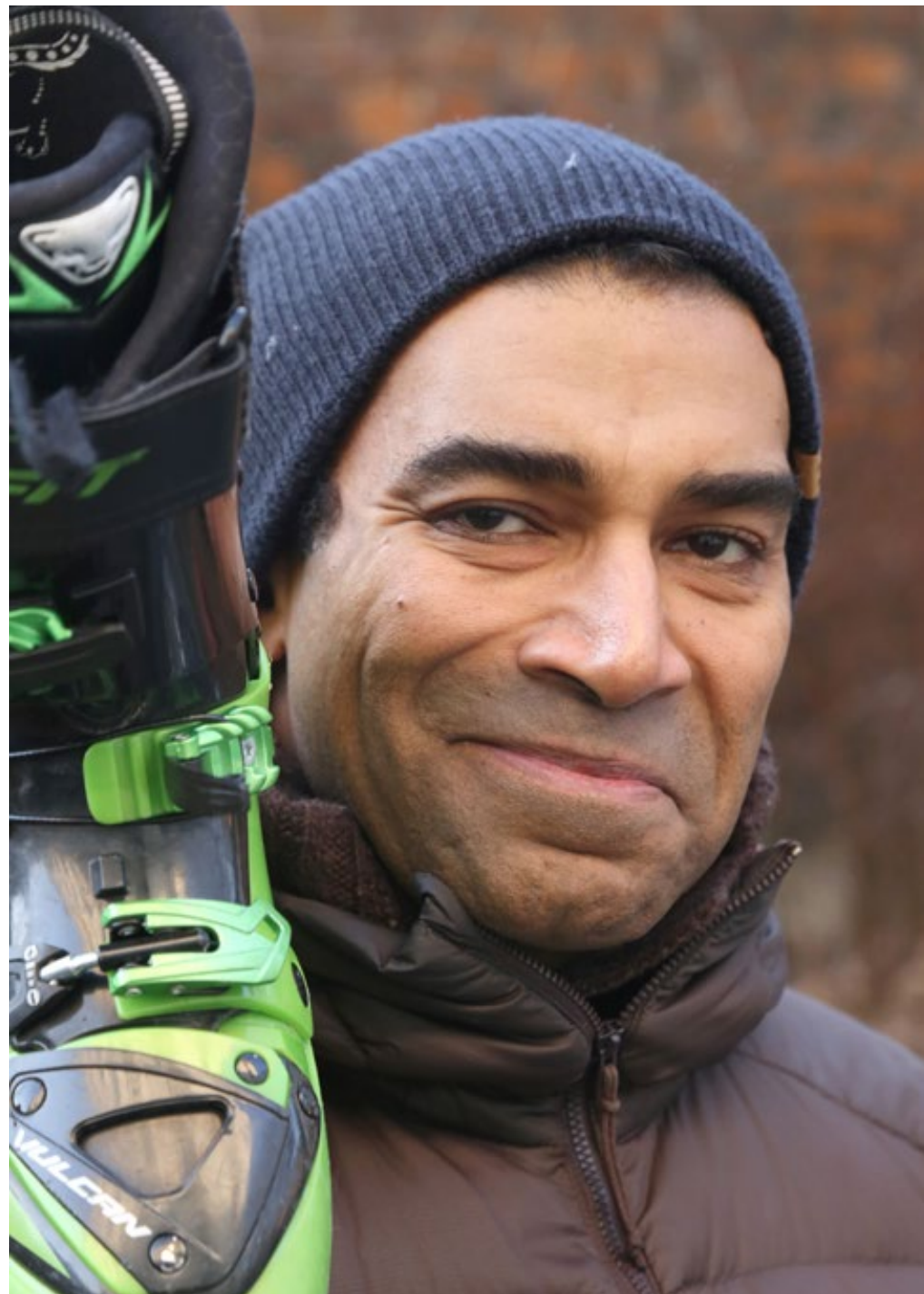
To było jednak jakiś czas temu. Teraz Kamil już sobie nie pozwala na dłuższe wypadki związane z malowaniem murali. Wyobraźnię woli uruchamiać wieczorami w domu, gdzie tworzy nowe obrazy i grafiki. Jest to jednak trudne, gdyż pomieszczenie, w którym była jego pracownia, uległo kompletnemu zagraceniu. Miejsce na sztalugi zajęło 20 par nart, jego i rodziny. Dlatego maluje w kuchni albo salonie, kiedy domownicy idą spać.

To właśnie tam powstały grafiki, które w zeszłym roku pokazywał na wystawie w schronisku w Dolinie Pięciu Stawów. Z daleka przypominają fotografie, gdyż mają hiperrealistyczne, górskie tło. Tylko widniejące na nich postacie narciarzy są płaskie, jakby zawieszony pomiędzy światłami. Tak jak Kamil jest zawieszony pomiędzy codziennością i górami, które dają mu napęd i inspirują.

Kamil Targosz skończył Wydział Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jest malarzem, grafikiem, ilustratorem książek, autorem murali. Jego prace wystawiane były między innymi w Grenoble, Wiedniu, Londynie, Pekinie, Budapeszcie, Norymburdze, Krakowie, Gdańsku, Warszawie.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Proust by zapytał, Kamil Targosz odpowiada:

Pejzaż, który wywołuje u ciebie przyjemne skojarzenia, gdy przymykasz oczy.
Okolice Kasprowego Wierchu podczas dużego deszczu.

Zapach, który zawsze będziesz rozpoznawał.
Pierwszy Old Spice kupiony w Peweksie na ul. 18 Stycznia. A także zapach kiszonych ogórków zmieszanych z benzyną na lotnisku we Francji. Gdy byłem mały, to był dla mnie powiew luksusu.

Kim (lub czym) chciałeś być w dzieciństwie?
Kosmonautą, oczywiście, lub śmieciarzem. Byłem zachwycony maszyną śmieciarek.

Teraz, gdybyś nie był tym, kim jesteś, to kim chciałbyś być?
Rolling Stonesem.

W jakich czasach historycznych chciałbyś żyć?
Najmniej ciekawych.

Jaką postać historyczną chciałbyś poznać?
T-Rexa.

Dar natury, który chciałbyś posiadać?
Zawracanie kijem rzeki.

Przesąd, któremu się poddajesz choćby żartem?
Łapanie za guzik na widok kominiarza.

Jak określiłbyś obecny stan swojego umysłu?
Bajzel.

O czym w tym momencie marzysz?
By ukończyć Kwestionariusza Prousta.

Co ci się najczęściej śni?
Na ogół nie pamiętam. Raz, gdy jechałem samochodem, zasnąłem i śniło mi się, że dalej jadę samochodem. Wpadłem do lasu.

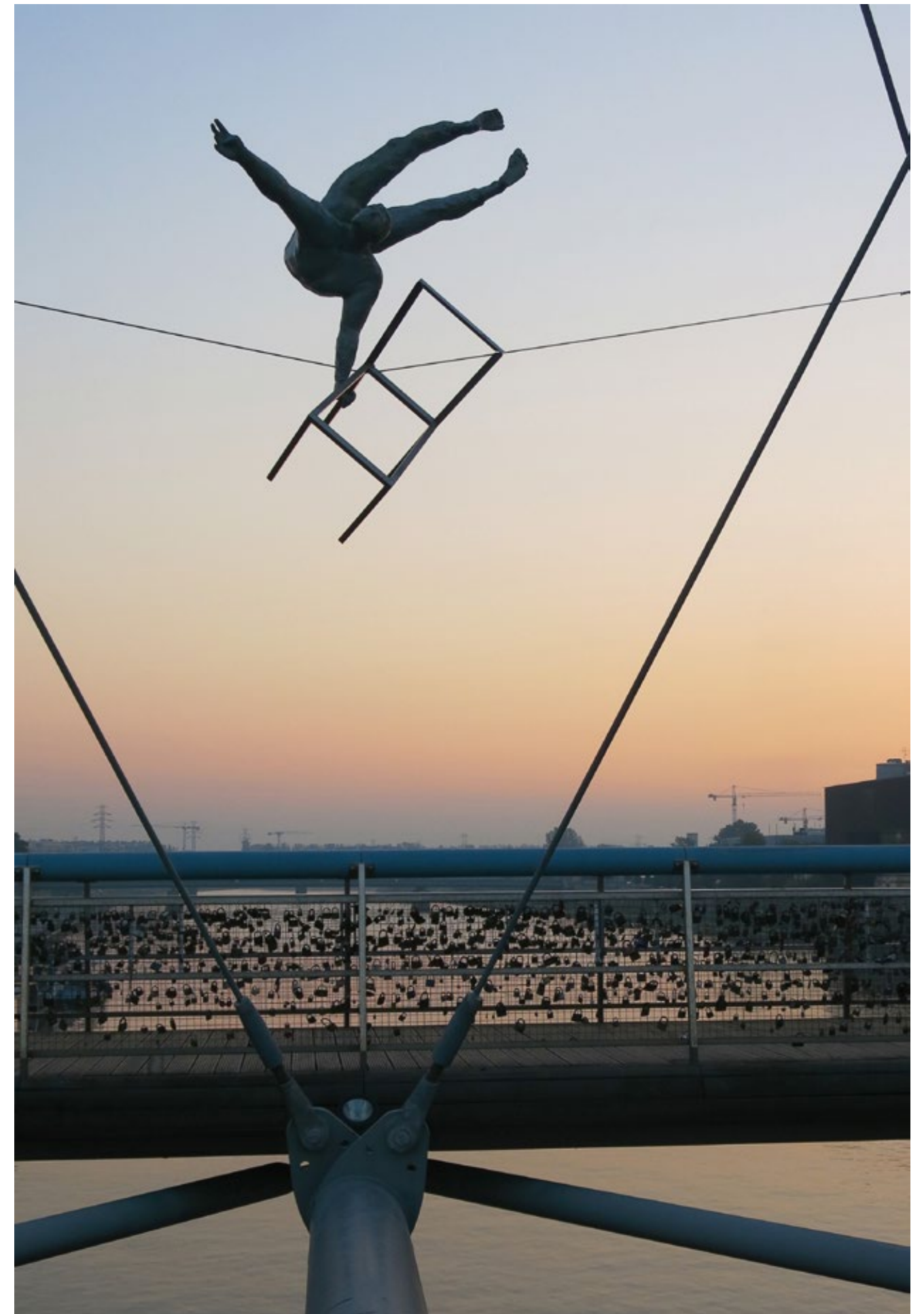
Czy w snach spacerujesz po Krakowie?
Tylko po Ruczaju

Jakie masz pod Wawelem ulubione miejsca?
Takie półokrągłe drzewo obok repliki Patryświata, to znaczy Światowida.

Gdzie najczęściej spotykasz się z przyjaciółmi?
To zależy, gdzie mnie zaproszą, dlatego mam ich coraz mniej.

Masz w Krakowie ulice, które omijasz szerokim łukiem?
Nie.

Czy mógłbyś się przeprowadzić do innego miasta?
W Polsce raczej nie.



Znaleźć równowagę

Rozmawiał Dominik Jedliński Zdjęcia: Joanna Max/Fundacja Art&Balance

Jerzy Kędziora: Nie wiem, czy Polska jest na krawędzi, ale po linii na pewno się przechadza. Na poprzedniej krawędzi zostawiliśmy ustrój komunistyczny, teraz idziemy w nieznaną. Nie wiadomo, co zobaczymy na krańcu: „zielone łąki” czy kolejną przepaść?

Dominik Jedliński: Podobno nie lubi pan trzech pytań: ile to waży, czy nie spadnie i skąd pomysł? Zamierzam o to wszystko zapytać. Na początek – ile ważyła najcięższa Pańska praca?

Jerzy Kędziora: Zawsze mówię, że ważą tyle, ile muszą. Ale na poważnie – najcięższa dochodziła do 70 kilogramów. Zazwyczaj jest to 20–50 kilogramów, wyznacznikiem jest 30.

Jakim cudem to nie spadnie?

Bo jestem z Częstochowy [śmiech].

Balansowanie to naturalny stan. Bywałem uczuciowym bałaganiarzem, a dziś jestem człowiekiem poważnie myślącym, acz kierującym się dość specyficznym poczuciem humoru. O rzeczach poważnych mówię w raczej luźny sposób. Ale skandalistą nie jestem. To nie leży w mojej naturze.

Dał pan swoje prace nawet fizykom do naukowego wyliczenia i od razu dwie spadły...

Chciałem im udowodnić, że precyzyjnie nie da się tego oszacować. Powiedzieli mi: „Jurek, co ty się tak męczysz? Przecież to wszystko da się wyliczyć”. Wykalkulowali. Zrobiłem według ich instrukcji. Rzeźby „spadły” (też byli z Częstochowy).

A skąd pomysł?

W założeniu moje rzeźby powstały jako fragment portretu „Polaka czasów transformacji”. Potrzebowałem ukazać człowieka na krawędzi, poszukującego życiowej równowagi w różnych odstępach. Polacy wchodzili w nową sytuację. Szukali nowej drogi. A ponieważ nie znalazłem wówczas lepszej metafory, postanowiłem oderwać się nieco od codzienności i unieść wyżej – stanąć na krawędzi i „zrobić krok dalej”. W zamysle moje rzeźby miały umierać na tych linach, miały spadać, kurczyć się, po prostu – żyć. Oczywiście teraz też żyją, ale nieco w innym wymiarze i warunkach.

Ile powstało rzeźb balansujących?

Pewne rzeźby wciąż dokształcam, dopieszczam, rozwijam. Ale skończonych pewnie będzie z pięćdziesiąt.

Po co pan pcha tych ludzi na liny?

Chcę spojrzeć, jak jednostka zachowuje się, kiedy zostanie postawiona na krawędzi. Wejść na linę i radź sobie, człowieku. Jak długo przeżyjesz? Kiedy spadniesz? Czy się połamiesz? Jeden człowiek prze-

trzyma, drugi się rozłoży. Lubimy herosów, którzy w nietypowych i trudnych sytuacjach biorą sprawy w swoje ręce i stają się wielkimi. Ale nie wszyscy tacy są. Jest też druga strona, tych słabszych. Zamiast samej idei piękna, wolę pokazywać dramat wyborów. Okazało się, że wielu ludziom spodobała się ta idea. Przemawia do nich.

Część rzeźb ma twarze pana bliskich. Dlaczego?

Na początku robiłem fantomy ludzkich postaci, gdy myślałem szeroko o społeczeństwie. Potem zacząłem myśleć jednostkowo, bardziej emocjonalnie. Moja wnuczka uprawiała gimnastykę artystyczną. Piękna forma – młodość, sprawność fizyczna, cudowne układy ciała w jednym miejscu, w jednym czasie. To wszystko sprawiło, że pomyślałem – mogę zrobić przypadkową, zupełnie anonimową postać, a mogę dać jej rysy twarzy mojej wnuczki, kogoś bliskiego.

Specjaliści w pana rzeźbach odnajdują właściwości terapeutyczne.

Specjaliści w praktykach terapeutycznych, chociażby ordynatorzy berlińskich klinik Czerwonego Krzyża, animatorzy Zdrowego Miasta w czeskim Trzyńcu czy terapeuci ze Szpitala Klinicznego im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie dostrzegli w nich dodatkowo wartości przydatne w ich codziennej działalności. Uważają, że moje rzeźby niosą energię, która pozwala na budowanie równowagi w życiu. Wielu z nas chodzi po tej ziemi z jakimś odchyleniem, odejściem od ogólnie przyjętej normy.

Niektóre z pana prac można oglądać w zespole szpitalno-parkowym przy Szpitalu Babińskiego.

Chodzi o to, żeby ten kompleks stał się enklawą spotkania ludzi potrzebujących wsparcia, ale i okolicznych mieszkańców. By powstał ośrodek, który jednoczy, nie dzieli. Pacjentów, bliskich, społeczność wokół. Moja sztuka jest poszerzeniem sfery terapeutycznej o wartości kultury, plastycznej w szczególności.

Ale w Krakowie pana rzeźby można podziwiać też na kładce Bernatka. Zetknął się pan z nią artystycznie w 2015 roku – planował przekształcić w wielki wieszak ku pamięci Tadeusza Kantora.

W konkursie na promocję roku Kantora zgłosiłem trzy pomysły. Jednym z nich było urzeczywistnienie jego idei „architektury niemożliwej”, przedstawiającej między innymi przeskalowane krzesło czy wieszak rozpostarty między brzegami Wisły. Wtedy dostrzegłem, że kładka Bernatka jest już niemalże zrealizowanym pomysłem Kantora. Wystarczy dodać haczyk u góry! Drugi pomysł miał nawiązywać do *Panoramicznego happeningu morskiego* i słynnego zdjęcia, na którym malarz Edward Krasinski, ubrany w czarny frak, stojąc na podeście zanurzonym częściowo w wodzie, kilka metrów od plaży, tyłem do wi-



Jerzy Kędziora. Rzeźbiarz, malarz, projektant, pedagog, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Od początku swojej artystycznej drogi wykazywał zainteresowanie sztuką kinetyczną i eksperymentami rzeźbiarskimi. Zmienność czasu, wyborów i egzystencji we współczesnych czasach stała się podstawą jego artystycznych poszukiwań, które do-

prowadziły go do pracy nad rzeźbami balansującymi, dzięki którym stał się rozpoznawalny na całym świecie. Pokazywał je na plenerowych wystawach między innymi w Dubaju, Palm Beach, Berlinie, Pradze, na Long Island czy w Singapurze oraz na takich imprezach jak Biennale w Wenecji, Art Basel Miami czy ART-ZUID 2019 – Biennale Rzeźby w Amsterdamie.

dzów ulokowanych na leżakach plażowych, dyryguje falami morskimi. Chciałem to powtórzyć, upamiętnić za pomocą balansującego pomnika tę postać, która dyrygowała falami Wisły. Trzeci pomysł wiązał się z równie znaną *Umarłą klasą*. Ostatecznie stanęło na wystawie, którą wciąż można oglądać.

Rzeźby montowali ponoć alpiniści.

Alpiniści, akrobaci. Sami musieliśmy się nauczyć pewnych rozwiązań. To wciąż jak zdobywanie Ameryki – nawet jeśli dają nam wyspecjalizowane maszyny, do wielu ciekawych miejsc nie da się nimi dojechać. Musimy się sporo natrudzić i sami wykonać wiele akrobacji, żeby umieścić rzeźby w odpowiednim miejscu.

Ale wystawa *Między wodą a niebem* na kładce nie jest wystawą miejską.

Specjaliści w praktykach terapeutycznych, chociażby ordynatorzy berlińskich klinik Czerwonego Krzyża czy terapeuci ze Szpitala Klinicznego im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie, uważają, że te rzeźby niosą energię, która pozwala na budowanie równowagi w życiu. Wielu z nas chodzi po tej ziemi z jakimś odchyleniem, odejściem od ogólnie przyjętej normy.

Wystawa z wydarzenia początkowo czasowego przekształciła się w jedną z turystycznych atrakcji i znakomicie wpisała się w krajobraz miasta, stała się publiczną zewnętrzną galerią sztuki, przez niektórych internautów określaną nawet jako „nowa ikona Krakowa”. Włodarze, mając tego świadomość, postanowili zakupić całą ekspozycję. W 2018 roku Kraków nabył trzy rzeźby, a w 2019 jedną. Otrzymałem jednak informację, że więcej zakupów nie będzie. W związku z tym z żalem będę zmuszony zdemontować część prac. Dołożę wszelkich starań, aby kładka wciąż zachwycała przechodniów, choć cztery rzeźby, a dziesięć, to jest już inna skala i wartość ekspozycji [w momencie zamykania numeru na kładce Ojca Bernatka był wciąż komplet rzeźb – red.].

Jak dzieli pan życie między Krakowem a Poczesną?

Powoli staram się wrosnąć w Kraków. Zapoczątkowały to moje dzieci, które zostały w mieście po studiach. Spędzam tu obecnie jedną trzecią swojego czasu, pozostałą część przeznaczam na Poczesną i świat. Fizyczna obecność to jedna sprawa, ale duchowo... Mam swoisty trójduch.

Od Krakowa do Berlina, Dubaju, Abu Dhabi, Norymbergi, Palm Beach, Miami, Singapuru czy San Diego. Jest jakiś kontynent, na którym nie było pana rzeźb?

No pewnie! Zresztą to nie jest tak jak z obrazem, że raz dwa go zapakuję i wrzucę do samolotu. Kiedy potrzebuję przewieźć rzeźby, robi się z tego wielka ekspedycja. To są olbrzymie kwoty, muszą szukać sponsorów. Mam zaproszenie z Australii, niedawno pojawiła się propozycja wystawy w Tajpej, ale często jest to za duży ciężar organizacyjny, aby takie przedsięwzięcia doszły do skutku.

A jak udało się pogodzić pana styl z obowiązującym w islamie zakazem przedstawiania istot żywych?

Zaprosili mnie do Dubaju, pokazali jedną salę, drugą. Nie podobało mi się. Zapropozowałem, żebyśmy zrobili wystawę na zewnątrz. Wtedy zaczęły się schody. Ale ostatecznie szejik pomedytował, pomodlił się i doszedł do wniosku, że skoro moje prace nie mają styku z ziemią, skoro nie rzucają cienia, to możemy je ustawić tak, jak chcemy. Jedynie bardziej roznegliżowane postaci musieliśmy zamontować nieco z boku, w strefach, gdzie w zdecydowanej większości przechadzają się europejscy biznesmeni. **Teraz upamiętni pan francuskiego linoskoczka Philippe'a Petita i jego podniebne spacerki po linie.**

Byłem zafascynowany jego wyczynami. Udało nam się spotkać, jest otwarty na naszą inicjatywę. Zwłaszcza że jest w trakcie przygotowań do przekrojowej wystawy swoich dokonań. Rzeźba jest już na ukończeniu, to jego portret na linie. Są szanse, że gotowy projekt zawiśnie w okolicach tak zwanej strefy zero, gdzie kiedyś stały wieże World Trade Center, między którymi Petitowi udało się przejść. Rzeźba będzie zresztą w dwóch odsłonach – jedną będzie można zobaczyć w Częstochowie w 2020 roku. Wejdzie w skład tak zwanego Teatru Rzeźb na Starym Rynku. Premiera w Nowym Jorku zaplanowana jest na 2021 rok.

Lubi pan dalej balansować na krawędzi?

Prawdopodobnie. Inni tak to widzą. Dla mnie to jest naturalny stan. Bywałem uczuciowym bałaganiarzem, a dziś jestem człowiekiem poważnie myślącym, acz kierującym się dość specyficznym poczuciem humoru. O rzeczach poważnych mówię w raczej luźny sposób. Ale skandalistą nie jestem. To nie leży w mojej naturze. Kiedyś uważałem, że nie dorosłem do tego, żeby być artystą, a teraz nie chciałbym być artystą, patrząc na to, w jakie rewiry zmierzają niektóre odłamy sztuki współczesnej. A raczej – jacy są ludzie, którzy tym zawiadują. Kiedyś obecność w muzeum była wielką sprawą, cieszyłem się, kiedy kupowano pierwsze obiekty. Teraz mi się tam nie chce być, a z rzeźbami ciężko mi się rozstać. Swoich odbiorców znalazłem w innych miejscach.

A nasz kraj balansuje na krawędzi?

Nie tylko nasz. Nie wiem, czy Polska jest na krawędzi, ale po linie na pewno się przechadza. Cały czas musimy wybierać między jednym wychyleniem a drugim. Zachowanie równowagi wymaga sporo wysiłku. Na poprzedniej krawędzi zostawiliśmy ustrój komunistyczny, teraz idziemy w nieznaną. Nie wiadomo, co zobaczymy na krańcu: „zielone łąki” czy kolejną przepaść?



Dominik Jedliński – absolwent Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Autor bloga filmowego Filmbuk (filmbuk.weebly.com), na którym można znaleźć m.in. pierwszą w języku polskim analizę filmografii amerykańskiego reżysera Scotta Coopera. Miłośnik kina prawniczego. Tworzył działy prasowe największych krakowskich festiwali filmowych: Off Camera oraz Etiuda&Anima. Pisał o kulturze dla wielu mediów.

we największych krakowskich festiwali filmowych: Off Camera oraz Etiuda&Anima. Pisał o kulturze dla wielu mediów.

... DO MOCAK-u

– czyli do Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie, Lipowa 4.



Guido Casaretto, *Michael-4/Roman Centurion texture*, *David-3/Street Vendor2 texture*, rzeźba, węgiel/żywica; wymiary: 1: 50 x 64 x 31 cm; 2: 49 x 63,5 x 36 cm; rok powstania: 2015

Zajmując się sposobami postrzegania świata i odtwarzania go za pomocą środków cyfrowych, Guido Casaretto skupia się na budzeniu wrażeń. Ta praca jest podwójnym portretem: antycznego dowódcy centurii oraz współczesnego sprzedawcy ulicznego. Twórca przedstawia ich niemal w identyczny sposób, pozbawiając wyznaczników takich jak strój i fryzura, wskazujących na epokę, w której żyli. Pokazuje, że człowiek pozbawiony atrybutów jest cały czas sobą i funkcjonuje poza czasem.

Artysta (rocznik 1981) mieszka i pracuje w Stambule. Jest jednym z założycieli grupy Sanatorium, a tytuły jego niektórych pokazów indywidualnych to *Papież i Galileusz mieli drobne nieporozumienie* (Galeria Zilberman, Stambuł, Turcja, 2017), *Synestezja* (Galeria Zilberman, Stambuł, Turcja, 2015), *Domysłne* (Sanatorium, Stambuł, Turcja, 2011). Jego prace są prezentowane w Krakowie, Stambule i Anka-

rze, we Włoszech, w Melbourne i wielu prywatnych kolekcjach na całym świecie.

*

Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK – miejska instytucja kultury w Krakowie utworzona 1 lutego 2010 roku, a otwarta 19 maja 2011 roku, mająca na celu rozwój kultury i sztuki najnowszej oraz gromadzenie kolekcji. Muzeum znajduje się na terenie nieistniejącej Fabryki Schindlera.

Fot. dzięki uprzejmości artysty i Zilberman Gallery/za wiedzą i zgodą MOCAK-u (ekspozycja dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego)





Jerzy Jarniewicz

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcie: Danuta Węgiel

Był rok 2013. Świeża jak na Kraków, bo trzyletnia wówczas instytucja, czyli Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK, postanowiła sprawdzić, co mistrzowie słowa myślą o sztukach wizualnych, a efekty dochodzenia wydać drukiem w serii rozmów *Po co jest sztuka?* W Polskę ruszyli dwaj emisariusze: Tadeusz Nyczek (tom I) oraz Grzegorz Jankowicz (tom II). Badania terenowe wśród tużów polskiego piarstwa dokumentowała zaopatrzona w srogie obiektywy i czułe przesłony Danuta Węgiel.

Jeden z badanych przyłapany został na kawie w mieście tekstyliów, fabrykanckich pałaców, awangardowej sztuki oraz nieodzownej Szkoły Filmowej. Jerzy Jarniewicz, poeta, tłumacz, wykładowca, redaktor „Literatury na Świecie”, miał już na koncie dwanaście autorskich tomów poetyckich, tłumaczenia Philipa Larkina oraz Seamus Heaney, zbiory krytyczne o poezji i prozie anglojęzycznej. Tak wspomina to spotkanie autorka zdjęcia:

– Jarniewicza sfotografowałam w jego ulubionej knajpce Verte. Tam był zaciszny klimat, wisiał plakat Baczyńskiego, do którego ma serce. Zachwyciło mnie jego poczucie humoru i ciepło. Rozmawialiśmy o fotografii oraz literaturze. Dzięki niemu zaczęłam inaczej patrzeć na Łódź.

Od tego czasu nasz bohater zdążył między innymi przewidzieć Nobla dla Boba Dylana, wydając jesienią 2016 roku książkę *All You Need Is Love* i umieszczając w niej cały rozdział poświęcony bardowi Beat Generation. Ale Jarniewicza pochwała Dylana to stara miłość, która nie rdzewieje, a wręcz trwa jak stare dobre małżeństwo. Nie dość, że już w roku 1993 wspólnie z Adamem Sumerem przetłumaczył biografię Boba, to jeszcze w dwóch tomach esejów argumentował, że kto wierszy autora *Like a Rolling Stone* nie kocha, ten nie kocha życia. „Nobel mu niepotrzebny, ale gdyby jurorzy Dylanowi takiego Nobla przyznali, mogliby zreanimować tę zinstytucjonalizowaną nagrodę” – stwierdzał proroczo i nieomal sprawczo łodzianin. Mimo to dwa lata później musiał ostro odpierać marudzenia, że Dylan na papierze jest goły jak święty turecki: „Nie widziałem nigdy świętego z Turcji, ani nago, ani w ubraniu, ale tak kategoryczny sąd, odmawiający Dylanowi statusu pisarza, mógłby wprawić w zakłopotanie niejednego z anglojęzycznych czytelników”. O tym, że zarówno artyści, jak i tłumacze to zwierzęta największą aktywność przejawiające po zmroku, przekonywał ostatnio w książce poświęconej niewierze w przekład literatury: „Noc jest porą tłumacza. (...) W nocy nie przeszkadza świadomość, że nie dorównam Joyce’owi. Czy (symbolicznie) Safonie. Shakespe-

are’owi. Choćby jednej z siostr Brontë. Tym gigantom, których na nasze przekładamy”.

Poproszony o komentarz do tamtej sesji nasz bohater odpowiedział:

– To zdjęcie zrobione w łódzkiej kawiarni Verte w 2013. Lata, jakie od tamtej chwili minęły, nazwę „czasem tłumaczy” – bo wyszli oni wreszcie z cienia. Przekład przestał być przezroczystry, a przekonanie, że jest częścią historii naszej literatury, nie wzbudza większego sprzeciwu. Czymś normalnym staje się to, że znane nam arcydzieła ukazują się w ponowionych przekładach. Mieć czternaście polskich przekładów *Alicji w krainie czarów* to więcej niż uśmiech losu – to nasze narodowe bogactwo. A dostaliśmy też nowego Szekspira, Baudelaire’a, Prousta, dostaniemy nowego *Ulissesa* – długo by wymieniać. Nic dziwnego, że w 2014 roku Nagroda Literacka Gdynia, w której kapitule mam honor zasiadać, powołała do życia nową kategorię – przekład na język polski. Bo jak tu podsumowywać literaturę polską, wyrzucając poza nawias dokonania naszych tłumaczy? Towarzysząc tym zmianom, napisałem drugą książkę o przekładzie, *Tłumacz między innymi*, dzięki której spotkała mnie ponownie nominacja do Nike. Nagroda, jaka jest, każdy widzi, więc tego, że książka o przekładzie zmieści się w finałowej siódemce, nie oczekiwałem. Ale podobnie nie oczekiwałem, że moje *Puste noce* jury Nagrody Poetyckiej Silesius uzna za książkę roku 2017, a uznało. Radość, bo w poezji naprawdę się dzieje. Poezja, zwłaszcza ta najnowsza, nabiera politycznej świadomości – opór, bunt, krytyczne rozpoznania współczesności znajdują w niej wiarygodny język. Trochę w kontrze do dzisiejszych czasów napisałem dwie książki o konkulturze, w tym *Bunt wizjonerów*. Nie tak dawno stuknęła mi sześćdziesiątka, trzeba jak ognia unikać podsumowań.

Verte!



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.



Esencja muzycznych zapachów

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Jarosław Niemczak/za wiedzą i zgodą Bożeny Zawiślak-Dolny

Dlaczego kobiety wydają majątek na perfumy, zamiast używać tańszych i na dodatek podobnie pachnących wód toaletowych? Odpowiedź jest prosta. Wolą te pierwsze, bo komponowane są one z esencji zapachowych, które uwalniają się dłużej i wolniej, dostarczając prawdziwie zmysłowych przeżyć. Wie to też bez wątpienia Bożena Zawiślak-Dolny, która na płycie *Essenza* zawarła esencję gamy zapachów swoich muzycznych dokonań.

Album znakomitej mezzosopranistki, którą doskonale znają bywalcy Opery Krakowskiej, składa się z dwóch krążków. Na pierwszym znalazł się repertuar operowy, przebojowe arie z dzieł Glucka, Moniuszki, Verdiego i Rossiniego. No i oczywiście z Bizeta, bowiem śpiewaczkę okrzyknięto niegdyś najlepszą interpretatorką tytułowej *Carmen*.

– To był mój wielki sukces. Jako *Carmen* mogłam pokazać, co tak naprawdę we mnie siedzi, cały wachlarz moich możliwości i energię, która mnie rozsadza – mówi artystka.

I rzeczywiście, o jej scenicznym temperamentcie krążyły legendy. Reżyserzy nieraz musieli się starać go okiełznać. Ale specjalnie nie narzekali, bo wiązał się on z talentem aktorskim, co w środowisku śpiewaków operowych nie jest wcale oczywiste. A Bożena Zawiślak-Dolny jest wyśmienitą aktorką, która z jednej strony potrafi być charakterystyczna, a z drugiej – wejść w duszę swojej postaci i odmalować całe bogactwo jej osobowości.

„Za każdym razem, jak Bożena Zawiślak-Dolny wchodzi na scenę, scena się rozjaśnia” – stwierdza na płycie Żuk Opalski, i wie, co mówi, bo wielokrotnie ze sobą pracowali. To on odkrył przed nią świat

utworów Kurta Weilla, ujawniając nie tylko swój blask, ale też sceniczną charyzmę, bez której nie ma wielkości. I to właśnie w dużej mierze Weillowi poświęcony jest drugi krążek *Essence*. Śpiewa na nim między innymi wstrząsający, ale też przepiękny w swoim smutku song *Wie lange noch*, przejmująco prawdziwy i tragiczny *Surabaya Johnny* czy porywający *Pociąg z nieba*. Artystka wybucha niczym wulkan emocji w piosence Aldonzy z musicalu *Człowiek z Lamanchy*, by za chwilę zaserwować nam wisienkę na torcie, czyli utwór Jacques’a Brela *Quand on n’a que l’amour*. Rewelacyjnie wykonuje go córka, Katarzyna Zawiślak-Dolny, aktorka Teatru Słowackiego. – To piosenka o miłości, bez której nic nie miałoby sensu. Tym utworem przekazuję Kasi symbolicznie pałeczkę – tłumaczy śpiewaczka.

Essenza pokochają na pewno wielbiciele opery, którzy dzięki tej płycie wrócą do pięknych partii mezzosopranistki. Ale też zwolennicy lżejszego repertuaru, którzy wyruszą razem z artystką w podróż przez różne style i konwencje. Polecamy słuchać płyty wieczorem z lampką dobrego wina w ręce. Wtedy najlepiej ulatniają się jej głębokie, esencjonalne zapachy.

Marzec 1920

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1–15 marca.** Fatalne zaopatrzenie Krakowa w żywność, z chlebem na czele, skutkowało wieloma niepokojami. Przed magistratem zbierały się tłumy kobiet żądających wydania mąki, kaszy czy tłuszczów. Tymczasem magazyny żywności były puste, bo od października 1919 roku miasto otrzymywało zaledwie 40 proc. dostaw przyrzeczonych przez państwo.

✂ **1 marca.** Dzienniki relacjonowały wiec, jaki odbył się poprzedniego dnia, w obronie zagrożonych kresów, Śląska Cieszyńskiego, Spisza i Orawy. Na Rynku Głównym zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy demonstrantów. Fotoraportaż zamieściły „Nowości Ilustrowane”.

✂ **4 marca.** Z kroniki „Czasu”: „Imieniem Ministerstwa Kultury i Sztuki weźmie udział w zjeździe dyrektorów teatrów polskich w Krakowie delegat p. Stanisław Wyrzykowski”.

✂ **4 marca.** Kwestię braku nafty poruszył „IKC”: „Brak nafty ludność krakowska odczuwa tym dotkliwiej, że przedmieścia oświetlane dotąd naftą, toną w ciemnościach, dając możliwość bandytom do bezkarnego grasowania”.

✂ **4 marca.** „Czas” anonsował inaugurację cotygodniowych koncertów: „Koncert symfoniczny w Bagateli, urządzony staraniem »Związku Muzyków Polskich«, odbędzie się w niedzielę 7 bm. o 11.30 przed południem. Orkiestra związku złożona z 60 członków, najlepszych instrumentalistów Krakowa, odegra szereg najcenniejszych utworów Wagnera, a solo skrzypcowe w *Śpiewakach norymberskich* wykona prof. Schultz. Dyrygować będą pp.: B. Wallek-Walewski i Z. Górzyski”.

✂ **4 marca.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj rano zmarł nagle na Małym Rynku 67-letni Szymon Manne, właściciel składu mebli przy ul. Szpitalnej. Lekarz miejski stwierdził śmierć wskutek udaru sercowego”.

✂ **5 marca.** „W tych dniach wpadł w ręce policji osobnik nazwiskiem Szczepan Matras *false* Leśniak, który grasował wśród kolejarzy jako znachor. Pobierał on za swój cudowny lek 1000 koron. W ostatnich jednak dniach natrafił znachor widocznie na zdrowego na umyśle pacjenta, który oddał go w ręce policji” – donosił „IKC”.

✂ **7 marca.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Wczoraj o godz. 3 po południu wezwano Pogotowie Ratunkowe na stację w Grzegórkach, gdzie żołnierz pilnujący stacji, strzelając do uciekających bandytów, postrzelił przypadkiem kolejarza Jana Krawczyka, raniąc go w rękę. Po opatrzeniu Pogotowie odwiozło go do Szpitala św. Łazarza”.

Stacja Grzegórzki, obsługująca tak zwaną kolej kocmyrzowską, funkcjonowała w latach 1899–1964 przy ul. Podgórskiej naprzeciw Rzeźni Miejskiej (dziś galeria handlowa).

✂ **7 marca.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Wczoraj przy sposobności ratowania padłej z wycieńczenia obok kasy na dworcu robotnicy Marii Bielik lekarze Pogotowia stwierdzili ogromne zawszenie tej kobiety. Ponieważ w poczekalni gromadzą się niechlujni żydzi, wyrobnicy, itp. warstwy podróżnych, należałoby, aby odnośne władze sanitarne przedsięwzięły energiczną akcję, by dworzec przestał być rozsądkiem wszy przenoszących zarazki tyfusu. W jaki sposób czynniki te mają zapobiec złu, jest ich rzeczą. Z naszej strony zwracamy tylko uwagę na tę bardzo ważną sprawę”.

✂ **7 marca.** Anons z „IKC”: „Oświadczam, że za czynny syna mego Jana Stępień, żołnierza WP, nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności ani też zaciągniętych przez

W marcu 1920 roku magazyny żywności były puste, bo od października 1919 roku miasto Kraków otrzymywało zaledwie 40 proc. dostaw przyrzeczonych przez państwo.

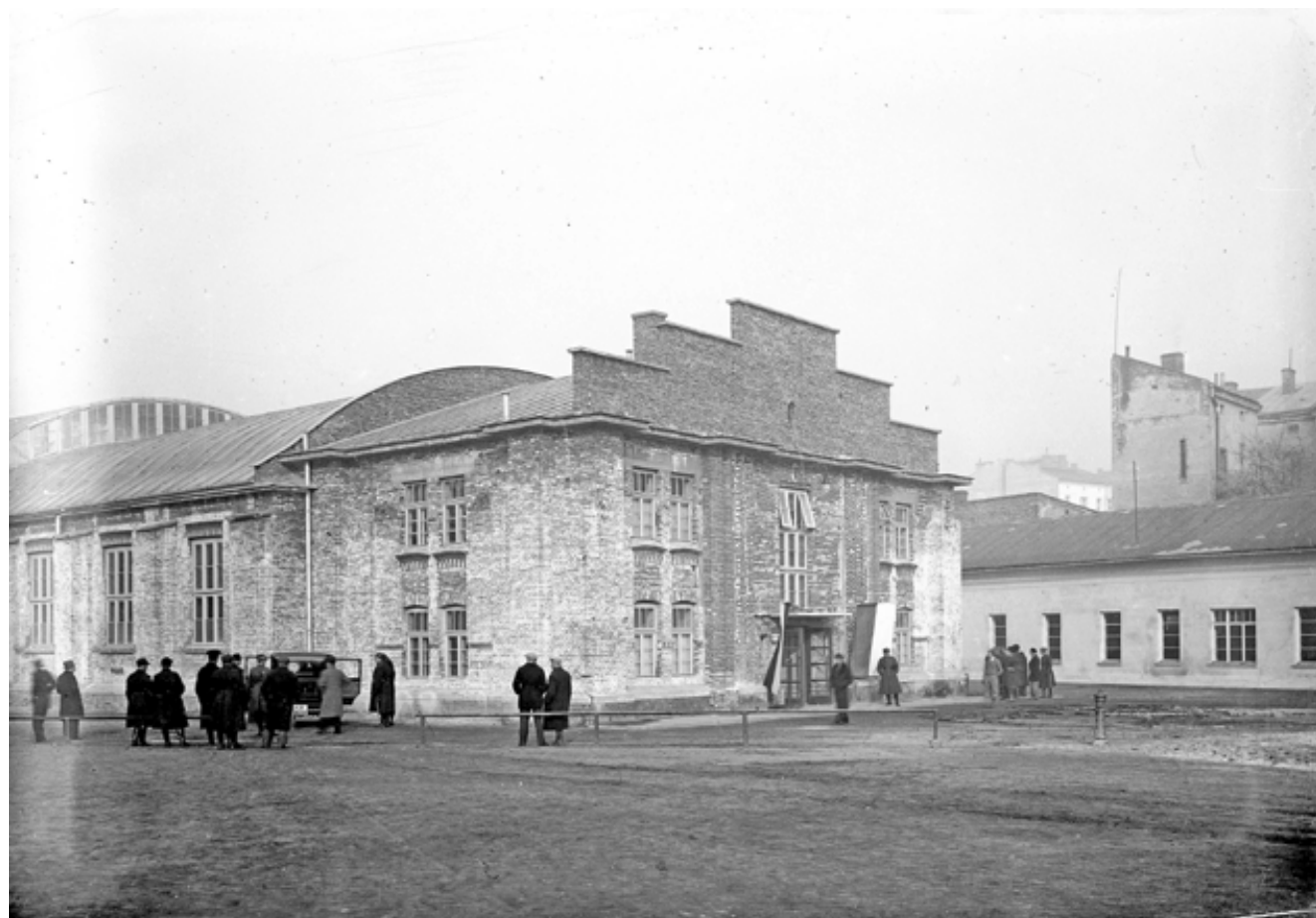
niego długów płacić nie będę. Józef Stępień, starszy geometra w Brodach, obecnie chory w Krakowie”.

✂ **8 marca.** „Wczoraj pod koniec przedstawienia sztuki Żeromskiego *Ponad śnieg*, gdy artystka wypowiedziała słowa: »Nienawidzę waszej chamskiej rewolucji, waszego proletariatu i rządu żydów«, odezwały się gromkie oklaski. Wtedy część żydów, obecnych na widowni, urządziła niesmaczną demonstrację, poczęła wołać: »Pfuj!«, trzaskać drzwiami i wychodzić z sali z krzykami: »Bojkotować«. Aktorzy grali dalej wśród hałasu, przez co publiczność straciła końcówkę sceny sztuki. Zaznaczyć należy, że w Warszawie grano dzieło Żeromskiego kilkadziesiąt razy, a nigdy nie spotkało się tam z podobną demonstracją” – relacjonował „Czas”.

✂ **9 marca.** „Jak się dowiadujemy, znakomity artysta malarz, rektor ASP Jacek Malczewski jest chory. Przed tygodniem zachorował na hiszpankę, która po kilku dniach skomplikowała się zapaleniem płuc. Od dwóch dni jednak w stanie zdrowia znakomitego artysty nastąpiło znaczne polepszenie” – uspokajała „Nowa Reforma”.



Dowództwo wojskowe na obchodach imienin Naczelnika Państwa, na Błoniach. Po prawej – na wysokości obecnego stadionu TS Wisła – wiadać stojąca jeszcze trybuna, pamiątkę po torze wyścigów konnych, zlikwidowanym w 1913 roku, fot. 1920, „Nowości Ilustrowane”



Nieistniejąca ujeżdżalnia w dawnych koszarach Trenu przy ul. Zwierzynieckiej 24, od strony zaplecza. W latach 1956–2000 hala sportowa WKS Wawel, fot. 1932, NAC

✂ **10 marca.** „Głos Narodu” alarmował: „W ciągu tej zimy wycięto bardzo wiele drzew na cmentarzu Salwatorskim oraz w pobliżu kopca Kościuszki. Zniknęła też pewna ilość drzew w parku Krakowskim. Są to skutki katastrofального braku opału oraz niewyjaśnionych do tąd nadużyć”.

✂ **13 marca.** Dzienniki z ulgą doniosły o zakończeniu dwudniowego strajku kolejarzy. Strajk wspierały manifestacje pod pomnikami Mickiewicza i Grunwaldzkim.

✂ **13 marca.** Jak odnotowała „Nowa Reforma”: „Wczoraj w południe, w sali konferencyjnej magistratu został podpisany akt darowizny zbiorów p. Feliksa Jasieńskiego na rzecz gminy m. Krakowa. (...) Pomieszczenie ich na razie napotyka na trudności, ofiarodawca jednak, jako dożywotni kustosz oddziału Muzeum Narodowego, urzędująca w porozumieniu z gminą szereg wystaw”.

✂ **14 marca.** Dzienniki zamieściły komunikat: „Magistrat wzywa wszystkie osoby mające więcej niż jedno mieszkanie lub oprócz mieszkania w Krakowie jeszcze mieszkanie w innych gminach, aby do 7 dni doniosły o tym magistratowi. Zarazem przypomina magistrat obowiązek zgłaszania wszystkich mieszkań niewynajętych”.

✂ **16 marca.** Z kroniki „IKC”: „Niemila przygoda spotkała przed kilku dniami oficera G., któremu magistrat krakowski wyznaczył kwatery w domu przy ul. Wolskiej 24. Właściciel mieszkania na parterze p. O. usiłował przy pomocy służby nie dopuścić do zajęcia zarekwirowanego pokoju i nawet interwencja policji nie odniosła skutku. Wobec bardzo niegrzecznego zachowania p. O., obrażony oficer oddał sprawę sądowi. Jeśli się zważy, że p. O. zajmuje 6 pokoi, to wobec braku mieszkań uzasadnionym jest oddanie jednego pokoju na kwatery oficerowi wojsk polskich”.

✂ **16 marca.** Ta sama kronika przynosi smutną wiadomość: „Wczoraj wieczorem zawezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Rakowicką, gdzie na bruku leżał bez przytomności jakiś 14-letni chłopiec nieznanego nazwiska. Lekarz dyżurny stwierdził u niego zasłabnięcie wskutek wycieńczenia z głodu. Odwieziono go do szpitala”.

✂ **18 marca.** Jak pisał „Czas”: „O. Laetus Bernatek, długoletni, dla naszego miasta bardzo zasłużony przeor OO. Bonifratrów w Krakowie, obchodził 13 bm. 50-letni jubileusz złożenia uroczystych ślubów zakonnych. O. Bernatek jest od 55 lat członkiem zakonu, działalność humanitarną rozwijał z poświęceniem przez lat 30 w naszym kraju, 3 lata w Zebrzydowicach i 21 w Krakowie”.

✂ **18 marca.** Niespotykaną dotąd w Krakowie imprezę reklamował „IKC”: „Wielkie zawody atletyczno-bokserkie staraniem YMCA odbędą się dzisiaj w środę o godz. 6 wieczorem, w kinie dla żołnierzy przy ul. Zwierzynieckiej. Szczególnie oryginalna będzie walka bokserka w beczkach i boksing »ślepych« oraz zapasy atletyczne”.

✂ **19–23 marca.** Dzienniki relacjonowały obchody imienin Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, który przy tej okazji otrzymał buławę marszałkowską. Kulminacyjnym punktem obchodów była msza polowa na Błoniach zakończona przemarszem przez miasto wojsk garnizonu krakowskiego.

✂ **19 marca.** Z kroniki „Czasu”: „Ministerstwo Spraw Wojskowych wydało zarządzenie, mocą którego policja państwowa zajmie część koszar im. Piłsudskiego przy ul. Siemiradzkiego. Należy przypuszczać, że niezadługo i dalszą część budynku wojskowość opróżni, tak że policja w koszarach tych znajdzie dostateczne pomieszczenie, nie uciekając się do rekwizycji hoteli itp. budynków”.

✂ **19 marca.** Anons z „IKC”: „Przepraszam publicznie WP. Anielę Nyczową, żonę inspektora policji, za uczynioną przeze mnie obrazę honoru. Rozalia Grüner”.

✂ **25 marca.** „Jan Sochor, kierownik firmy »Helena Bałabuszyńska«, przy ul. Szewskiej, zamieszkały w Dębnikach ul. Barska 34, w dn. 22 bm. wieczorem, manipulował nabitym rewolwerem tak nieostrożnie, że ten wystrzelił i ranił śmiertelnie siedzącą obok niego Marię Smrokowską, bonę u pp. Bałabuszyńskich. Zawezwane Pogotowie Ratunkowe przewiozło Smrokowską do szpitala, gdzie wczoraj nad ranem zmarła. Sochora aresztowano, lecz za staraniem osób wpływowych, pozostawiono go na wolnej stopie. Dochodzenie w toku” – relacjonował „Głos Narodu”.

✂ **29 marca.** Jak podała prasa, w pałacu „Pod Krzysztofory” otwarto zajmujący siedem sal oddział Banku Kredytowego SA. Jego dyrektorem został dr Hugo Groyecki.

✂ **31 marca.** O kolejnej imprezie w ujeżdżalni przy ul. Zwierzynieckiej – donosił „Czas”: „Zapasy bokserko-atletyczne urządzone w niedzielę w sali kinoteatru wojskowego staraniem amerykańskiego towarzystwa YMCA na dochód »święconego« dla żołnierza naszego na froncie, wypadły nadzwyczajnie dobrze i efektownie. Ogromna sala przy ul. Zwierzynieckiej wypełniła się po brzegi tłumami publiczności oklaskującej z zadowoleniem walki bokserów i zapaśników. Podczas całego wieczoru przygrywała muzyka wojskowa”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



CUKIERNIA

ADAMA PIASECKIEGO

w Krakowie, ul. Długa l. 20
poleca Szanownej Publiczności
CODZIENNIE ŚWIEŻE
WYBOROWE CIASTA,
Cukry, Karmelki, Herbatniki,
Kompoty, Owce smażone.

118
Przyjmuje również zamówienia na Torty
w rozmaitych gatunkach i ozdobach.
Lokal otwarty do godziny 1 w nocy.
Zamówienia miejscowe i na prowincję uskutecznia z wszelką akuracnością jak najspieszniej.

Kalendarz J. Czecha 1899.

Król czekolady

Tekst: Ewa Danowska

Uczył się na cukiernika w Kielcach i Warszawie. Osiadł w Krakowie, dorobił się własnej pracowni, potem fabryczki, wreszcie fabryki. W 1923 roku założył przedsiębiorstwo przy ul. Wrocławskiej, gdzie produkował wysmienite czekolady, czekoladki, batony i ciastka.

Adam Piasecki urodził się w wigilię Bożego Narodzenia 1873 roku w Bieganowie pod Miechowem jako syn Antoniego, rządcy dóbr (w innych źródłach – dworskiego agronoma), i Emilii z Krzyżanowskich. Ojciec w chwili narodzin Adama liczył 45 lat, a matka była o 20 lat młodsza.

Po śmierci ojca w 1885 roku dwunastoletni Adaś został oddany na praktykę do cukierni Müllerowicza w Kielcach. Po dwóch latach trafił do Warszawy, gdzie dalej kształcił się w firmach cukierniczych. Gdy liczył 20 lat, zdał egzamin czeladniczy, rychło po tym przybył do Krakowa i rozpoczął pracę jako cukiernik w wytwórni cukrów i herbatników Antoniego Nowińskiego.

W 1898 roku założył własną pracownię i sklep przy ul. Długiej 20, zatrudniając początkowo pięciu pracowników. Dobrą jakością wyrobów szybko zdobył wiernych klientów. Sześć lat później otworzył drugi sklep – w hotelu Drezdeńskim przy ul. Floriańskiej. Firma zatrudniała już trzydziestu ludzi, a i tak nie można było nadążyć z realizacją zamówień.

W zamieszczonym na łamach „Światowida” w 1935 roku artykule poświęconym Piaseckiemu i jego firmie podkreślano, że jego wyroby były „niezwykłej dobroci” i zyskały rozgłos w całym mieście. Ale że robił karierę, nie dziwi: pilnie i sam pracował oraz osobiście wszystkiego doglądał. Nagrodą były tłumy klientów cisnących się w progi jego cukierni.

Z czasem zainstalował też w zakładzie przy ul. Długiej pierwsze w mieście maszyny do wyrobu twardej czekolady. W 1910 roku zaciągnął kredyt w Krajowym Funduszu Przemysłowym i otworzył przy ul. Szlak 26 fabrykę czekolady. Narodzinom firmy towarzyszyły sceptyczne opinie, a nawet drwiny zawistnych, że nie sprosta konkurencji.

Tymczasem jeszcze przed wybuchem I wojny światowej krakowska fabryka czekolady Adama Piaseckiego dysponowała maszynami i urządzeniami wartości prawie 100 tys. koron. Szef zatrudnił mistrza cukierniczego ze Szwajcarii, który zorganizował produkcję,

przeszkolił pracowników i wprowadził nowe receptury. W 1913 roku oferował 11 gatunków czekolady twardej, trzy mlecznej, 13 nadziewanej, galanterię czekoladową, biszkopty, herbatniki i inne ciasta.

To głównie dzięki Adamowi Piaseckiemu w okresie międzywojennym Kraków stał się jednym z największych ośrodków przemysłu czekoladowo-cukierniczego w Polsce.

Jakość wyrobów była wysoka, ceny atrakcyjne, a w efekcie rodzime wyroby skutecznie wypierały z rynku produkty austriackie i szwajcarskie. Ba, czekolady z Krakowa stały się popularne w całej Galicji.

Piasecki opracował wtedy między innymi popularny do dziś baton Danusia. Jego receptura powstała ponoć na cześć młodziutkiej pracownicy, w której zdarzyło mu się zauroczyć. Podobizna uroczej podwładnej zdobiła opakowanie wyrobu. Niektórzy dowcipkowali, że teraz każdy w Krakowie może spróbować, jak smakuje słynna Danusia...

Wedle wspomnień Piasecki, człowiek niskiego wzrostu, a w dojrzałym wieku dość tęgawy i nierozstający się z laseczką, lubił przechadzać się po salach produkcyjnych i obserwować pracujące kobiety. Tym, które wyróżniały się pracowitością – podnosił tygodniówkę o złotego lub dwa, a gdy któraś mu się nie podobała – w sobotę otrzymywała wypowiedzenie. W fabryce dominowała praca ręczna, chociaż wykorzystywano i nowoczesne maszyny, którymi właściciel nadzwyczaj lubił się chwalić.

Wybuch I wojny światowej zachwiał spokojnym i pomyślnym bytem fabryki. Produkcja spadła, pogorszyła się też jakość wyrobów. Konieczne okazało się przejście od hurtowej formy zbytu do sprzedaży detalicznej. Piasecki otworzył wówczas w Rynku Głównym sklep firmowy, urządzone według projektu

uznanego architekta Franciszka Mączyńskiego.

Mimo słabszej koniunktury dał się wtedy poznać również jako działacz społeczny i filantrop. Wspierał swoimi wyrobami walczących polskich żołnierzy, a na organizację plebiscytu na Śląsku dał ponoć aż sto tysięcy marek. Taką samą sumą wsparł odnowę zamku wawelskiego.

W 1919 roku fabryka znów zaczęła prosperować. Piasecki sprzedał ją wówczas spółce z ograniczoną odpowiedzialnością, która przekształciła się rok później w spółkę akcyjną o nazwie „A. Piasecki – Fabryka Czekolady w Krakowie S.A.” Prezesem Rady Zawiadawczej został hrabia Szczepan Tarnowski, a dy-

„Robotnicy błogosławią Opatrzność w osobie p. Piaseckiego, która dała im troskliwego i zapobiegliwego pracodawcę”.

„IKC” 1935, nr 312

rektorami – sam Piasecki oraz hrabia Władysław Bobrowski.

Od tego czasu był jednak tylko jednym z udziałowców. Siedziba spółki i hale produkcyjne mieściły się przy ul. Wrocławskiej 17. Całość fabrycznych obiektów zajmowała powierzchnię prawie pięciu i pół morgi (prawie trzech hektarów). Dopływ kapitału posłużył bowiem firmie, a jej wyroby znowu osiągnęły europejski poziom.

W 1924 roku Adam Piasecki zatrudniał 124 stałych pracowników (głównie kobiet) oraz 20–40 sezonowych. Zyski wyniosły wtedy ponad pół miliona złotych przy kapitale akcyjnym 1 170 000 zł, akcjonariusze dostali 15 proc. dywidendy.

To głównie dzięki Adamowi Piaseckiemu w okresie międzywojennym Kraków stał się jednym z największych ośrodków przemysłu czekoladowo-cukierniczego w Polsce. W 1926 roku było w mieście osiem fabryk tej branży. Pracowało w nich ponad tysiąc robotników, a pod koniec lat dwudziestych – już około 1500.

Konkurencyjne zakłady nie stanowiły poważnego zagrożenia dla fabryki Piaseckiego, zwłaszcza że przeżywała ona apogeum rozwoju – w 1927 roku miała już 330 pracowników.

W najlepszych czasach produkowała dziennie około 7000 kg najwyższej jakości wyrobów w eleganckich opakowaniach firmowych. Tak przynajmniej informował tygodnik „Światowid” w 1935 roku. Reporter zwracał nadto uwagę, że Piasecki był wyznawcą zasady „pańskie oko konia tuczy”, bo cały dzień spędzał w fabryce, a dysponując fachową wiedzą, osobiście doglądał produkcji. Oprócz tego pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Cukierników i udzielał się w krakow-

skiej Izbie Handlowo-Przemysłowej. Należał między innymi do twórców szkoły cukierniczej, której uczniowie odbywali praktyki w jego fabryce.

O życiu prywatnym Adama Piaseckiego wiadomo niewiele poza tym, że mieszkał przy ul. Długiej, żonaty był z młodszą od siebie o dwa lata Michaliną z Przybylskich rodem z Podgórza, a potomstwa z prawego łoża nie pozostawił.

„Ilustrowany Kurjer Codzienny” poinformował w listopadzie 1935 roku, że mimo szalejącego kryzysu fabryka Piaseckiego należy do „bastionów dzielnie przed nim się broniących”. Właśnie w tym czasie przypadło 25-lecie istnienia firmy i 50-lecie pracy zawodowej jej szefa. Wedle dziennika, wyroby firmy cieszą się niesłabnącym powodzeniem, a gwarantem sukcesu i jakości jest sam Piasecki, posiadający żelazną wolę, zapal do pracy, niepożytą wytrwałość i wielkie doświadczenie oraz to, co się liczy w świecie interesów – solidność, akuratność i słowność.

W obliczu jednak ogólnego kryzysu produkcję trzeba było wtedy ograniczyć. W 1936 roku fabryka została nawet na krótko zamknięta, na co robotnicy odpowiedzieli strajkiem okupacyjnym.

W czasie okupacji hitlerowskiej Adam Piasecki pozostawał dyrektorem fabryki. Udało mu się nawet nieco ją rozbudować. Kiedy w 1944 roku w Krakowie zagęściło się od wycofujących się wojsk Wehrmachtu, wszystkie budynki fabryczne zostały zajęte na ich potrzeby. Więcej, sam Piasecki za przydzielenie robotnikom bożonarodzeniowych deputatów w postaci słodyczy został 20 grudnia 1944 roku aresztowany i osadzony w więzieniu przy ul. Montelupich. W styczniu 1945 roku, zaledwie dwa dni przed wkroczeniem do miasta Armii Czerwonej, został wywieziony do jednego z najcięższych obozów koncentracyjnych w Gross Rosen. Następnie trafił do Belzen-Bergen. Tam, wycieńczony i schorowany (miał już 71 lat) zmarł 30 kwietnia 1945 roku – a więc niewiele ponad tydzień od końca wojny. Został pochowany w zbiorowej mogile.

Fabryka, którą stworzył, została wkrótce potem, bo w lutym 1948 roku, na podstawie orzeczenia Ministerstwa Przemysłu i Handlu upaństwowiona, czyli przejęta przez władze komunistyczne. Wraz z Fabryką Wyrobów Czekoladowych Pischinger i Fabryką Czekolady Suchard weszła w skład utworzonych 1 stycznia 1951 roku Zakładów Przemysłu Cukierniczego „Wawel”.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

W sieci kultury

Przegląd: Piotr Rachwaniec

Polecamy lutowe ciekawostki o kulturze, prawie i starej architekturze w nowych czasach znalezione w sieci.

Na początek: **legalnakultura.pl** podejmuje rozważania, czy czytanie na ekranie zawsze jest legalne i analizuje inne aspekty prawa autorskiego wynikające z dostępu do e-booków.

Do mediów dotarła informacja, że Miasto Stołeczne Warszawa przeznaczyło 200 tys. zł na zakup 60 tys. książek elektronicznych dla stołecznych bibliotek publicznych. Dobitnie pokazuje to, że te urządzenia przestały być traktowane jako gorsi kuzyni klasycznych, papierowych wydań oraz że stały się po prostu kolejną formą obcowania ze słowem pisany. Pozostaje pytanie, jak kształtują się przepisy autorskie w kontekście używania tego typu technologii.

Dzięki Legalnej Kulturze wiemy też, że mieszkańcy małych miejscowości nie muszą już odwiedzać większych miast, aby poczuć atmosferę sali kinowej. Wszystko dzięki pomysłowi na kino objazdowe.

Plan na kino to wspólny projekt firmy Outdoor Cinema oraz marek Provident i AXA przygotowany z myślą o mieszkańcach miejscowości, w których nie ma kin. To największe w Polsce kino objazdowe, które odpowiada na prawdziwą potrzebę społeczną,

oferując dostęp do kina oraz premierowego repertuaru filmowego. (...)

Plan pierwszej trasy obejmuje 41 miejscowości (w których na co dzień nie ma kina) i ponad 200 seansów filmowych. Najnowsze hity będą wyświetlane między innymi w Szczycinie, Wolsztynie, Nidzicy, Lidzbarku, Przasnyszu, Kamieniu Pomorskim i w wielu innych miejscowościach.

A jeśli planujecie pobyt u naszych zachodnich sąsiadów, warto pomyśleć o portalu

thereview.pl

Można tam znaleźć choćby obszerną relację z bawarskiego Rothenburg ob der Tauber – uroczego miasteczka, w którym czas się zatrzymał. Oto fragment:

„(...) szpiczaste dachy z czerwonej dachówki ułożone w równym rzędku, fasady o pastelowych kolorach, donice z kwiatami w oknach, w oknach okiennice, brukowane trakty i pasáže, majestatyczne wieże kościołów z okazałymi zegarami, bicie dzwonu o równej godzinie i piwne gospody na każdym rogu oznaczone retro-szyldem”.



Rys. Piotr Blachut

Nikt nie zapukał

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Piotr Kubiec/Teatr Bagatela

Wtorek

Co zostało? Koszyk? Tylko tyle? Cóż, bieda...

Środa

Nie chce być inaczej. Z nieodległej godziny w sali przy ul. Sarego 7, z tego czasu rozgadanego bardzo, dziś pamiętam właściwie już tylko suche słowo „koszyk”. Mało, zgoła nic. Bieda. Bieda w pamięci. Tak, ocalało prawie nic, a nawet jeszcze mniej, bo przecież o wiele intensywniej niż trzask trzeszczącego słowa – trwa w głowie widok samego koszyka z ciemnej, prawie czarnej wikliny, koszyka jak ten, z którym w omszałej bajce Czerwony Kapturek sunął do Babci przez las, z piosnką na ustach i w podskokach. Mówię o godzinie nieodległej, gdyż, Boże Świąty, ile czasu minęło od premiery seansu *Żyd z Wesela. Wycieczka krajoznawcza*, co go ściśle według utworu

Niedziela

Założyli sobie, że lekko i pastelowo będzie, założyli sobie też krótkość. Ostatnie się udało – *Wycieczka...* trwa mniej niż godzinę. Z takimi przesłankami – coś można na scenie ulepić, jeśli ma się w głowie nostalgiczną troskę o dawno temu dokonany los Żydów w Krakowie i marzenie o edukacyjnym, pogładowym powrocie do starych dziejów? I czym to teatralne maleństwo może być w istocie, jeśli nie chce się epatować widza żadną mszą, żadną modlitwą teatralną, żadnym pokazem rozpachy ani chlupotem łez w aktorskich gardłach? Impresyjnym dotknięciem, a nawet tylko muśnięciem czasów przeszłych, dokonanych? Czymś na podobieństwo scenicznego haiku? Teatralnym aforyzmem? Może seansem niby dłuższy wiersz albo jak przeglądanie kilku, kilkunastu cudem odnalezionych, omszałych fotografii? Mrozek i Hartung-Wójciak – czego chcieli? Zestawiam ich ramię obok ramienia, gdyż w jej reżyserowaniu, jak w jego pisaniu – w istocie o to samo chodzi. A o co – tego nie wie nawet Bóg Starożytności.

Wtorek

Seans *Wycieczka...* to seansik, a pomieszanie wszystkiego ze wszystkim jest w nim godne Wieży Babel. Bożonarodzeniowa choinka i elektryczne organy, plastikowy telefon epoki Gierka i pejsy, papuzie fatałaszkę i przezroczysta folia w sporej ilości, tapczan z lat 70. zeszłego stulecia i kilka mikrofonów dzisiejszych, jeszcze kolorowe walizki z wyciąganymi rączkami i na kółkach, jeszcze betlejemska gwiazda na sporym kijku, jeszcze z głośników sunące fragmenty ścieżki dźwiękowej *Wesela* Andrzeja Wajdy, jeszcze ogrywane przez aktorów autentyczne płaskorzeźby teatralnej sali przy Sarego 7, jeszcze aluminiowa drabina, i jeszcze śpiewy wesołe i smutne, i mówienie, jedno i drugie tak po naszymu, jak i w jidysz, i jeszcze ścianka z tapetą przedstawiającą bodaj kawałek rozgwieżdżonego nieba, i wiele, wiele aktorskich ćwiczeń gimnastycznych o różnym stopniu trudności, choćby pokazy bezwładnego padania na ziemię bez robienia sobie krzywdy, od czego *Wycieczka...* się zaczyna. Oto postacie – Helena Singer (Natalia Hodurek), Izabela Izraela Singer (Izabela Kubrak), Piotr Rosenbaum (Piotr Różański) oraz Jacob Ben Sajur Singer (Maciej Sajur) – wprowadzając widzów na widowieństwo, już w korytarzu padają niczym muchy widzom pod nogi i zarazem nucą legendarny chóralny song

Witolda Mrozka Klaudia Hartung-Wójciak wyreżyserowała w Teatrze Bagatela, na Scenie na Sarego 7? 100 lat? 50 może? Nie? Zatem – lat 10? 5? Rok? Pół roku? Ależ skąd! Od premiery seansu, który zwał będę dalej *Wycieczka...* i który miał być lekkim, jasnym przypomnieniem, ledwie kilka tygodni minęło, a z *Wycieczki...* ocalało tylko sześć liter wiklinowych i martwa natura ukazująca bajkowy rekwizyt Czerwonego Kapturka. Bieda aż trzeszczy.

Sobota

Chcieli przypomnieć. Wychodząc od legendarnej opowieści Romana Brandstaettera *Ja jestem Żyd z „Wesela”*, usypując obok niej bezładny kopczyk liter własnych oraz wydłubanych z wielu dzieł w wielu gatunkach, od poezji, po referaty historyczne, na koniec zaś kraszając kopczyk ten, niczym tort wisienką, recytowanymi i na ścianie wyświetlanymi zdaniem w języku jidysz – Mrozek oraz Hartung-Wójciak chcieli... Co właściwie chcieli? Ogólnie mówiąc – przypomnieć chcieli. Owszem. A szczególnie? W szczególności? Jak przypomnieć? I co?

Cóż można na scenie ulepić, jeśli ma się w głowie nostalgiczną troskę o dawno temu dokonany los Żydów w Krakowie i marzenie o edukacyjnym, pogładowym powrocie do starych dziejów?



Va Pensiero, pieśń żydowskich niewolników z opery Giuseppe Verdiego *Nabucco*... Mandolina? Coś w głowie świta, że była tam też mandolina. A jeśli nie mandolina, to cymbałki albo coś zupełnie innego i równie obojętnego. Natomiast wiklinowy koszyk był niewątpliwie. Wchodzi z nim, dyndającym na przedramieniu, aktor najstarszy i zaczyna snuć historię o swym niegdysiejszym występie z tym właśnie koszykiem w *Balladynie*, na dużej scenie Bagateli, w scenografii samego Tadeusza Kantora... A co to ma wspólnego oraz z czym mia- nowicie? Na przykład – z Żydami w Krakowie przedwojennym i czasów wojny? Kto odpowie – dostanie nagrodę. Więc?

Wycieczka... miała być lekkim, pastelowym przypomnieniem, a od początku do końca jest w istocie lekkim, pastelowym zapomnieniem.

Czwartek

Już drugi dzień mija, a tu nikt się z odpowiedzią nie zgłasza. Mak rozsiany. I nikt się nie zgłosi. Nigdy. Jaka tedy jest w istocie pamięć, którą chce być *Wycieczka*...? Jakie jest wspomnienie, co ma strukturę gruzu, a także lekkość i pastelowość bezładnego kopczyka gadżetów z tysiąca parafii usypanego na bezładnym kopczyku liter z książek od Sasa do Lasa? Jeśli w *Wycieczce*... tej stare duchy mimo wszystko zjawiają się, jeśli jednak wracają, przychodzą z krótką, nawet nie godzinną wizytą – to jakie są?

Niedziela

Jorge Luis Borges, który o labiryntach wspominał wiedział więcej niż ja czy ty, może nawet wszystko, w epilogu opowiadania *Noc darów*, starcowi, który przez kilka stron snuł opowieść o odległym zdarzeniu, każe na pożegnanie towarzystwa w starej kawiarni Pod Orłem w Buenos Aires wyszeptać to zawrotne zdanie, te słowa o restytucyjnej potędze słów, o ich tajemnej mocy zwracania przeszłości, sprowadzania jej na chwilę z mniejszego lub większego zapomnienia. „Lata mijają, tylekroć opowiadałem tę historię, że nie wiem już, czy rzeczywiście ją pamiętam, czy tylko powtarzam słowa na nią się składające”. Nigdy do końca nie ufałem temu wahaniu starca. Przecież miał, musiał mieć pewność, zbyt długo żył, by nie mieć pewności, że nie istnieje żadne albo-albo, że w ostatecznym rachunku zostają jedynie słowa, i że powtórne przyjscie tego, co było, zależy tylko od intonacji, w jaką bazarz ułoży słowa. I od tego zależy też, jakie będzie to, co powróci z przeszłości.

Poniedziałek

Słowa ułożone w zdania, co mają własny smak, temperaturę, kolor, szorstkość lub

gładkość, rytm i falowanie. A obok nich, nad nimi, pod nimi bądź pomiędzy nimi – inne jeszcze są zdania w teatrze, inne i z innych znaków ułożone. Inscenizacyjne zdania z rzeczy właściwych, z właściwych barw, kształtów i faktur, i ze świateł jeszcze oraz z cieni, plus nieubłagana ciemność w finale. Smutek w tym, że obie układanki – ta słowna Mrozka i ta z rzeczy, sklecona przez Hartung-Wójciak – są w *Wycieczce*... bezradne zupełnie. Dziecinne? Płaskie? Puste? Sztuczne...? Martwe...? W każdym razie – nic z nich w głowie nie zostaje. I żadna ich częśćka nie dotyka istotnie – ani ziębi, ani grzeje, ani kłuje, ani gładzi, ani wzrusza, ani wścieka, ani skłania do zastano-



wienia – kiedy przez prawie godzinę tkwi się naprzeciwko *Wycieczki*..., seansu, co chciał być lekkim, pastelowym przypomnieniem, a od początku do końca jest w istocie lekkim, pastelowym zapomnieniem.

Środa

A duchy, widma, goście stamtąd, którzy tak dobrze znali kadysz i rytm kolebania się w kadyszcu? Jacy byli? Byli żadni, bo nie przyszli. Nikt nie zapukał do drzwi. A nie przyszli, bo nie było opowieści ani dla ucha, ani dla oka. Nie ułożono ścieżek powrotu, jak więc widma miały wrócić? To, co gdzieś czasem majaczyło, to nie widma, duchy, zjawy. To plastikowe

ludziki. Figurki z klocków lego. Jak je teraz do wiklinowego koszyka wrzucić, żeby nie poginęły, to jutro będzie można z nich sklecić samolocik. Albo nawet małą krowę.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

W niszy może być przyjemnie

Rozmawiał Witold Beres

Michał Komar: W renesansowym Krakowie handlowano ludzina, popularna pani nazywała się Wanda Pierdolonka, a cały świat cierpiał z tego powodu, że zniknęło 10 dni z kalendarza.

Witold Beres: „Zaiste – rzekła pani E. – roztropność, inteligencja i wiedza jako taka czynią sprawiedliwość cnotą piękniejszą niż wschód słońca i zorza wieczorna razem wzięte. Czy pouilly-fumé jest dobrze schłodzone?”

Jak będziemy tak narzekać, to dojdziemy do wniosku, że żyjemy wśród ludzi, którym się nie chce. Tymczasem zawsze jest grupa ludzi, którym się chce. I im będziemy głośniej o tym mówili, tym prędzej zarazimy naszą postawą jeszcze parę osób.

Pomieszczenie wątków śmiesznych, poważnych, polskiej nadętości kulturalnej – to wszystko mamy w twoich najnowszych książkach: jesienią ukazało się *Wtajemniczenie*, a za chwilę wyjdzie *Skrywane*. O czym będzie?

Michał Komar: Część akcji rozgrywa się w Krakowie. Bohaterem jest lekarz, który jest zarazem intelektualnym doradcą kardynała Commendone, czołowego działacza kontrreformacji, który przebywał przez pewien czas w Krakowie, potem w Warszawie zrazu jako legat, a potem nuncjusz papieski. Akcja rozpoczyna się w nocy z 4 na 15 października 1582 roku, a więc wtedy, gdy w krajach katolickich zabrano dziesięć dni z kalendarza. Czyli ci, którzy kładli się spać 4 października, budzili się 15 października. Spowodowało to wielki rumor: ludzie atakowali kościoły, a w wielu miastach spalono świątynie, bo papież zabrał ludziom dziesięć dni życia. Otóż tej właśnie nocy mój bohater, narrator tej powieści, lekarz, zostaje wezwany do zamku Świętego Anioła i otrzymuje polecenie napisania sprawozdania z podróży po całej Europie, między innymi do Krakowa z roku 1563. **Ten lekarz to postać autentyczna?**

Tak. Zresztą tu występują wyłącznie postaci historyczne. A ponieważ lekarz był też naukowcem, to przy okazji chciał w Polsce zbadać zjawisko ryby biskupa. Występowała ponoć w Gdańsku na wybrzeżu Bałtyku i była opisywana przez wielu wybitnych uczonych tego okresu. Wielu naukowców się zajmowało tą rybą biskupem, a także tak zwaną rybą mnichem. To były prawdopodobnie wielkie płaszczyki, które przypominały biskupa i mnicha, ale ówczesni

naukowcy uważali, że to są jakieś postaci hybrydyczne. Mój bohater rusza więc do Gdańska, a żeby zbadać tą sprawę. Tym bardziej że słyszał, iż Gdańsk to jest miasto szczęśliwe, że to miasto jak z Campanelli czy z *Utopii* Tomasza More’a, gdzie nie ma indeksu ksiąg zakazanych, gdzie jest czysto, pięknie, gdzie ludzie wielbią sztuki piękne, a kiedy im się już nudzi życie, to odchodzą do róz, które hodują. To są róże o 72 płatkach, wydające niesłychanie piękny zapach, robią sobie z nich wieńce, stają na wysokim brzegu, skaczą do morza i w ten sposób z uśmiechem rozstają się z życiem. Chce więc jechać do Gdańska, ale w drodze do Torunia dostaje list od Commendonego, że ma natychmiast stawić się w Krakowie. I tu się dowiadujemy o kilku mniej chlubnych sprawach z ówczesnych czasów ...

Mam przecucie graniczące z pewnością, że i tu będzie to rodzaj – podobnie jak *Wtajemniczenie* – pikantnego przewodnika po kulturze dla czytelników wyrafinowanych lub udających wyrafinowanych, czyli na przykład dla mnie. Bo czasami mierzę stopień wyrafinowania liczbą wybuchów śmiechu. A *Wtajemniczenie* jest książką dowcipną. W dodatku w każdym z rozdziałów jest dodatkowa narracja kulinarna. To napisana z perspektywy służącego perwersyjna relacja sytuująca się gdzieś między Boccacciem a Montaigne’em.

Ale to nie tylko gra konwencjami dla samego śmiechu. Gdy to czytałem, to widziałem historię jak najbardziej współczesną. W każdym razie jest doskonałym jej uzupełnieniem. Pojawiają się wątki fascynujące, jak to w jednym z rozdziałów pani E. opowiada, jak we Lwowie została aresztowana przez NKWD za przekazywanie koleżance *Małżeństwa doskonałego Van de Veldego*. To jest autentyczna historia.

Ta pani już nie żyje, więc nie podam nazwiska. Rosyjscy milicjanci ją zaczepili w 1940 roku na ulicy we Lwowie z francuskim wydaniem popularnego poradnika życia seksualnego *Małżeństwo doskonałe*. Sowietci doszli do wniosku, że to musi być coś podejrzanego, bo tam są rysunki tych wszystkich sposobów, więc ją aresztowali za nieobyczajność. Ale NKWD doszło do wniosku, że to jest książka szyfru wywiadu francuskiego i dopiero się zaczęło. Tak ją trzymali długo w tym więzieniu, aż w końcu jeden z oficerów NKWD doszedł do wniosku, że ta książka jest jednak ciekawa i warto to przetłumaczyć na rosyjski. Wzy-

wał ją więc na przesłuchania i tłumaczyli. On miał maszynę do pisania i tak przepisał na papierze bułkowym sześć odbitek, które puszczał w miasto.

Samizdat. Najprawdziwszy.

Dokładnie. Bo puszczał to w miasto. Rzecz jasna za odpłatnością. I po jakimś czasie ten oficer, zaręczony nią, wiedząc, że jednak jest niewinna, napisał do swojego przełożonego propozycję, żeby ją zwolnić z więzienia. I tak się stało. Tak to moja bohaterka szczęśliwie przeżywa dzięki znajomości języka francuskiego. Edukacja daje szansę przeżycia. Przecież mi o to chodzi.

Ależ to jest jakaś narracja, której nikt nie chce słuchać!

Gdy będziemy tak narzekać, to dojdziemy do wniosku, że żyjemy wśród ludzi, którym się nie chce. Tymczasem jest zawsze grupa ludzi, którym się chce. I im będziemy głośniej o tym mówili, tym prędzej może zarazimy jeszcze parę osób. Ja wierzę w powszechność zainteresowania losem Antygony. Że porządne wystawienie Sofoklesa...

... miałoby dzisiaj sens?

Ogromny. Tym bardziej że przecież Antygona jest niezwykłą postacią jak na dzisiejsze czasy. Jest kobietą zbuntowaną, z parasolką. Naprawdę. Wyobraź sobie, co przeżywali Grecy, którzy zamykali swoje kobiety, którym nie wolno było wychodzić z domu, które nie mogły uczestniczyć w życiu towarzyskim, które miały swoją część domu. A tutaj idą Grecy, siadają i widzą zbuntowaną kobietę, która zmienia los całego miasta. No skandal, nie? Te teatry były na świeżym powietrzu, oni grali przez cały dzień. Kto bywał w Grecji, wie, jakie tam jest mocne słońce. Strasznie mi się we łbie od tego słońca kręciło. Jestem głęboko przekonany, że porządna Antygona, mocna, powie dzisiaj więcej niż te liczne sztuki, które imitują język ulicy polskiej. Znam ten język, którym prowokujesz, to jest wszystko powtarzane na jednym chwycie, więc nie popadaj we...

Frustrację.

Tak.

W usta bohaterki wkładasz sarkastyczne zdanie: „Gejów szanuję, ale pedalstwa nie popieram z przyczyn osobistych, jak sam pan rozumie”. Czy pisząc przewodnik po kulturze, wątkach literackich i kulturalnych, wszelakich dramaturgicznych, miałeś ochotę też korespondować z tym, co jest dzisiaj w Polsce? Czy to samo się stało?

Te pytania, które zadaje pani E., i te odpowiedzi ciągle towarzyszą ludziom myślącym. Ba, towarzyszyły im od niepamiętnych czasów. Teraz jest głośno, ponieważ jakiś biskup czy polityk mówi o zarazie. Ale ja też wiem, że on sam jest częścią tej zarazy. To zawsze było. Obcość. Pytania o normę. Zabijanie. Przekraczanie pewnej normy. Zmiany normy. Wszystko było. Tylko tu jest problem, o którym trafnie mówisz, mianowicie – że nie chcemy pamiętać. A dlaczego? Bo taki jest system edukacji – i nam się nie chce pamiętać, i wypychamy z naszej pamięci. Nawet jeżeli pamiętamy, to wolimy wypchnąć z naszej pamięci sprawy niewygodne. A oprócz tego codziennie o tym myśleć? Nie wytrzymałbyś. Tacy jesteśmy. Nie ma się co martwić.

Zastanawiam się również, czy czasami nie masz wrażenia, że ta nisza... Ja już nie powiem, że nikt

nie czyta książek, a wszyscy piszą. Gorzej: boję się, że książka rzeczywiście staje się li tylko nośnikiem. Gadżetem. Tysiące celebrytów pisze, ktoś za nich pisze. Ostatnio słyszałem o całkiem udanej aplikacji sztucznej inteligencji, która układa sprawne historie narracyjne. Po angielsku na razie, ale od tego się zaczyna. Czy jesteśmy skazani na to, że będziemy niszą, którą zje z jednej strony głupota, z drugiej – technologia?

Tak. Te technologie, które będą się rozwijały z nie-

Dobrze być w niszy. Mamy do wyboru – albo skoczyć w przepaść z rozpacz, albo sobie pomyśleć, jak urządzić tę niszę, a żeby było w niej miło, a żeby byli ludzie przyjaźni, uśmiechnięci.

prawdopodobną prędkością, zabierając ludziom coraz więcej czasu, w tym – zabierając chęć do czytania. Ale jak pamiętasz Hessego i *Wilka stepowego* – to już wtedy on nie był dla każdego. Ani kiedyś Mozart, ani dziś jazz nie jest dla każdego. Porzucmy myśl, że *Pan Tadeusz* będzie powszechnie czytany i rozumiany. Nie, nie będzie. Ostatnio starałem się przeczytać *Chłopów* i miałem kłopot. Ale przebrnąłem. Nie z uwagi na fabułę.

?

Ze względu na język. Reymont wymyślił własny język. Andrzej Dobosz podjął próbę napisania dziś Żeromskiego. I słabo, prawda? A kiedy się czyta na przykład Waława Berenta – to wielki pisarz, mądry – to wiemy, że staje się powolutku nieczytany również z uwagi na te niesłychane zmiany językowe. My mówimy inaczej niż 50 lat temu, nie mówiąc o 100 latach. Znajdź sposób na przełożenie z tamtego języka. Jak znajdziesz – to jesteśmy w domu.

Czasami się zastanawiamy z przyjaciółmi, co zostało z wielkich mistrzów, którzy odeszli. Ktoś powiedział: – Chłopie, ale przecież dzisiaj nikt nie wie, kto to jest Czesław Miłosz.

Ja wiem.

Znowu – nisza.

Dobrze być w niszy. Mamy do wyboru – albo skoczyć w przepaść z rozpacz, albo sobie pomyśleć, jak urządzić tę niszę, a żeby było w niej miło, a żeby byli ludzie przyjaźni, uśmiechnięci.

Żeby napić się dobrze schłodzonego pouilly-fumé?

Dlaczegożby nie?



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Bucik czerwony i bucik żółty

Tekst: Michał Komar Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

W Krakowie zastałem mgłę pomieszaną z kloacznym odorem. Otuliła całe miasto wraz z zamkiem królewskim stojącym na wzgórzu, zwanym Wawelem. Z tej bieli raz po raz wyłaniali się ludzie idący szybko, niekiedy biegnący, co mnie zdziwiło, bo taka aura nie zachęca do wykonywania gwałtownych ruchów. Pomyślałem więc, że w ten sposób uciekają przed smrodem. Jednakże następnego dnia od strony gór zaczął wiać silny ciepły wiatr, taki jak *ventus favonius* albo *phōno* w Alpach. Zerwał parę dachów i wywołał pożar nieopodal Rynku. Mgła zniknęła, odór się zmniejszył, ale ludzie chodzili powoli, zaś niektórzy z nich pokładali się na ziemi, narzekając na brak oddechu, choć z uwagi na pożar należało się śpieszyć z noszeniem wody. Czy to znaczy, że powietrze wolne od smrodu odbiera człowiekowi chęć działania?

W sieni biskupiego pałacu czekał na mnie młodzieniec w czarnej sukni. Był pulchny, różowy i gdyby mu dodać skrzydełka wyglądałby jak putto rzeźbione przez Donatella, tyle że cztery razy większe, bez siusiaka na wierzchu i mniej sobą zachwycone. Ukłonił się, splótł dłonie na brzuchu i nie patrząc mi w oczy oznajmił, że biskup legat Commendone cieszy się z mego przybycia. Przyjmie mnie po nonie, a tymczasem zachęca do spotkania z rektorem akademii.

– Idzie o wiadomości dotyczące Gdańska i *pisce Episcopi* – szepnął.

Potem westchnął jak małe dziecko, gdy przestaje płakać, uniósł suknię i odbiegł kręcąc biodrami. Jeden but miał żółty, drugi czerwony.

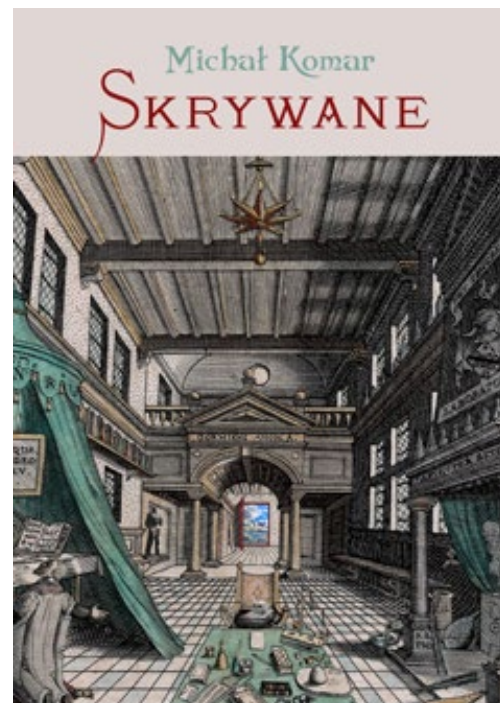
Co do rektora imieniem Sebastian (1), to był wyższy ode mnie o dwie głowy, chudy, pomarszczony i łysy. Cera zielonkawa. Przyszło mi na myśl, że jest podobny do zwiędłego ogórka. Nachylał się do mego ucha i trąbił weń co sił, być może dlatego, że wiedząc o swej głuchocie, przypisywał ją także i mnie. Mówił bardzo szybko. Zaczął od wyrażenia żalu, że nie przybyłem do Krakowa pięć dni wcześniej, bo z pewnością wziąłbym udział w obiedzie wydanym przezeń na cześć legata Commendone. Odpowiedziałem, że też żałuję.

– Wspaniały obiad! – krzyknął. – Muszę się pochwalić!

I wyrzucił z siebie potok słów tak z sobą połączonych, że trudno je było zrozumieć. Pamiętam ostatnie zdanie monologu. Brzmiało tak: – A na koniec groch utarty ze słoniną

i smalcem, na tym skwarki, dokładałem legatowi trzy razy, tak mu smakował!

Gdy idzie o *pisce Episcopi*, to wie na pewno, że A.D. 1531 ryba biskup stanęła przed królem Polonii Sigismundem Augustem (2) i gronem biskupów, pozdrawiając ich znakiem krzyża i zmagając z nimi *Pater Noster*. Następnie opowiedziała zebranym o porządkach w pod-



wodnym świecie. Niestety, nikt tego nie zapisał. Głos miała wysoki, podobny do kobiecego. Na prośbę biskupów król pozwolił jej powrócić do morza. Przed zanurkowaniem podarowała królowi jedną ze swych łusek. Król zobowiązał obecnych do tajemnicy i kazał oprawić łuskę w złoto. Obecnie łuska znajduje się w pałacu biskupim w Heilsbergu, pilnie strzeżona.

Na pytanie, jak daleko jest z Heilsbergu do Gdańska, rektor Sebastian odpowiedział, że nigdy tam nie podróżował, ale uważa, że niezbyt daleko. O tej porze roku cztery dni albo sześć. Zimą lepiej tam nie wędrować. Watahy wilków, dziki, zdarzają się też mantykory. Gdy wspomniał o tych ostatnich, wyraziłem zdziwienie. Owszem, wiadomo, że mantykora to straszne zwierzę. Ma ludzką twarz, żółte oczy, tułów lwa i ogon skorpiona. Chętnie poluje na ludzi i ich zjada. Jednakże

zdaniem znawców żyje i rozmnaża się tylko i jedynie w Indiach Wschodnich. Na to rektor zmieszał się, zaczerwienił, opuścił głowę i jął szeptać, oglądając się na boki.

Szeptał tak: – Wiedz, doktorze, że życie w Krakowie jest nad wyraz trudne. Raz mgła, raz wiatr, nie wiadomo, czy chodzić szybko czy wolno. Nasz biskup profesorem niezyczliwy, wspiera studentów, a ci, gdy pijani, biją, kradną i swawolą z wszetecznkami roznoszącymi choroby, trzeźwi studenci zawsze gotowi się upić, wtedy biją, kradną i roznoszą choroby przejęte od nierządnic, ale na szczęście szczerzy to chrześcijanie, bo heretykowi i Żydowi nie przepuszczają, przyjdzie dzień, gdy ich chwałę cały Kościół będzie słać, i to jest dobre. A złe jest to, że wokół swobodnie krąży lutry, co chcąc podciąć korzenie wieczystego porządku, nauczają, że samą wiarą bez dobrych uczynków każdy może być zbawiony i że urzędnika czy kapłana, który jest w grzechu śmiertelnym, nikt nie powinien słuchać. I arianie, bestie śmierdzące, co powtarzają, że Syn został stworzony, więc Trójca Święta nie jest współwieczna. I ci od Husa, wieprza wyklętego, co plotą, że Pan Jezus zabronił Piotrowi używać miecza, a Kościół może istnieć bez papieża i biskupów. I augustynianie, wedle których sprawiedliwi nie wstąpią do raju przed dniem Sądu Ostatecznego. I begardzi, wilki w owczej skórze, co pierdzą ustami, że człowiek może w życiu ziemskim wchłonąć tyle łaski, że staje się doskonały i nie musi już modlić się ani pościć, ani przestrzegać praw Kościoła, i bezwstydnie parzą się między sobą, jak dzikie zwierzęta, na przykład mantykory. I osiadł tu Bernardino Ochino (3), oby utonął we własnej krwi, dawny franciszkanin, ten od *Spirituali*, który nazywa Ojca Świętego antychrystem. A wiedz, że nie ma ręki, która by wzniosła miecz, przywracając strach przed Bogiem i posłuszeństwo. Biada nam, biada! Dobrze by stąd uciec, ale nie ma dokąd, bo wszędzie jest tak samo. Niektórzy twierdzą, że w Abissynii jest inaczej, ale czy to prawda? Czy w Abissynii padają deszcze? Pytam, bo tu deszcz padał przez całą wiosnę i lato.

Odrzekłem, że nie wiem, jak się mają rzeczy w Abissynii. Na to Sebastian zaciekał się, czy jestem strudzony podróżą, bo jeśli tak, to radzi pójść do łaźni niedaleko ratusza, gdzie można rozgrzać się, dobrze zjeść, wypić i za niewielką dopłatą pogiąć jakąś *meretrix* (4). Jest w czym wybierać, najzmysłniejsza



Michał Komar (rocznik 1946) – pisarz, scenarzysta. W latach 1977–1980 był stałym konsultantem Teatru Sensacji TVP. W wolnej Polsce był wiceprezesem „Czytelnika”, współtworzył Nową Telewizję Warszawa, był szefem „Sztandaru Młodych”, współpracował z Polskim Radiem (*Osobisty pamiętnik słuchacza*, *Literackie Biuro Śledcze*) oraz z Teatrem Telewizji, a także z Polsatem (cykl *20 lat minęło*). Obecnie jest wiceprezesem Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, na stałe współpracuje z popularnym telewizyjnym programem książkowym „Księgarnia” (TVN) i wykładu w Collegium Civitas.

Autor wielu scenariuszy (m.in. *Szpital przemienienia*, *Lata dwudzieste... lata trzydzieste...*, *Syberjada polska*), wywiadów rzek (m.in. z Władysławem Bartoszewskim, Stefanem Mellerem i Krzysztofem Kozłowskim), esejów (*Piekło Conrada*, *Zmęczenie*) i erudycyjnych powieści (m.in. *Wtajemniczenia*).

zwie się Wanda Pierdolonka, rodem z Kuno-wa. Kształtna, milutka, warto zapłacić. Przestrzegł mnie też przed kupowaniem mięsa na Rynku, bo zdarza się, że miast cielęciny sprzedają ludzinę, trudne do rozróżnienia, takie to czasy.

Podziękowałem za rady i poszedłem do legata.

(1) Sebastian Janeczka z Kleparza (zm. 1568) – rektor Akademii Krakowskiej.

(2) Zygmunt II August (1520–1572) – król Polski, ostatni męski przedstawiciel dynastii Jagiellonów.

(3) Bernardino Ochino (1487–1564) – wikariusz generalny zakonu franciszkanów, reformator, unitarianin.

(4) *Meretrix* – prostytutka (łac.).

Czeska Agnieszka

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Kilka dni temu, w samej końcówce lutego odbyła się na Berlinale, na jubileuszowym, 70. międzynarodowym festiwalu filmowym w Berlinie, światowa premiera filmu Agnieszki Holland *Szarlatan*. Zaproszony został do sekcji specjalnej, a więc nie musiał ścigać się o Złotego czy Srebrnego Niedźwiedzia. Wśród specjalnie wybranych kilku zaledwie filmów ze świata miał być – i był – sam w sobie wydarzeniem.

Sekcja specjalna jest na Berlinale zawsze wyróżnieniem: pokazuje filmową różnorodność, czyli najbardziej interesujące możliwości i osiągnięcia najnowszego kina.

Najciekawsze w najnowszym obrazie polskiej reżyserki jest to, że jest on filmem czeskim. Po prostu czeskim. Czeski był scenariusz, czeski był bohater, aktorzy także byli czescy, a i cała realizacja oraz produkcja, co zrozumiałe, „odbywały się” po czesku. A więc z czeskim językiem na planie, z cze-

skim widzeniem rzeczywistości i z czeskim poczuciem humoru. czasu, to nie tylko piękno. Bo w latach 60. ubiegłego wieku dla studentki szkoły filmowej to było miejsce i czas jedyne w swoim rodzaju kina. Zazdrościliśmy Czechom ich twórczości filmowej z tego okresu. Oni pierwsi w Europie Środkowej podjęli i idealnie dostosowali do swojej kultury odkrycia tematyczne i osiągnięcia warsztatowe francuskiej Nowej Fali, wzbogacając je własnym temperamentem. Mieli Miloša Formana i Věru Chytilową, mieli Jana Němeca, Jaromíra Jiřesa i tylu innych – na czele z Jiřim Menzlem i jego *Pociągami pod specjalnym nadzorem*. W ten sposób wcześniej od nas znaleźli klucz do współczesności i dystans do historii. Ale, jak podejrzewam, ta nasza zazdrość wiązała się z tym, że oglądaliśmy niby te same filmy, podpatrywaliśmy ich twórców i aktorów i choć sami też mieliśmy swoich większych i mniejszych artystów, to jednak nigdy nie potrafiliśmy reagować na ekranie tak jak Czesi. Nie mieliśmy tego luzu poznawczego, tego dystansu, tego uśmiechu.

Sama Holland określała tę odmienność dokładniej. Mówiła, że „tam” i „wtedy” był po prostu mały realizm, czyli forma, której polskie kino nigdy specjalnie nie lubiło, ale ten mały realizm był w wykonaniu Czechów magiczny. Miał bowiem w sobie jakąś luzaczką wolność, czego nie było w polskich filmach. Te bywały poważne, a gdzieś zawsze wisiała nad nimi tragedia wojenna i wszelkie, najbardziej ostateczne wybory.

W ten właśnie klimat weszła wówczas młoda Agnieszka Holland. Wszyscy jej rówieśnicy w Polsce, całe późniejsze kino moralnego niepokoju zostało stworzone przez absolwentów łódzkiej Filmówki. Tylko ona jedna miała w indeksie pieczętkę FAMU, praskiej szkoły filmowej.

Rozpoczęła studia w 1966 roku i nie wiedziała, że przeżyje tam i Praską Wiosnę, i interwencję wojsk radzieckich oraz Układu Warszawskiego (w tym Polski), potem tak zwany proces normalizacji, a nawet – co było konsekwencją jej politycznego temperamentu – także najprawdziwsze więzienie! Wpraw-

Na festiwalu filmowym w Berlinie odbyła się premiera filmu Agnieszki Holland *Szarlatan*. Najciekawsze, że to film czeski. Z czeskim językiem na planie, z czeskim widzeniem rzeczywistości i z czeskim poczuciem humoru.

skim widzeniem rzeczywistości i z czeskim poczuciem humoru.

– Lubię realizować czeskie filmy – powiedziała mi Agnieszka Holland, gdy przygotowywała realizację *Szarlatana*. – Bo już dość dawno doszło do tego, że zaczęłam być przez Czechów traktowana jak artystka narodowa i do dziś mnie tak traktują, w sklepie mnie poznają, w restauracji, w hotelu, różne prezenty dostają. Mam tam wszystkie zalety bez wad. Inaczej niż w Polsce, gdzie niejedną raz spotykam się z agresją. Lubię więc jeździć do Czech także po to, żeby odpocząć psychicznie.

*

Czeska dusza Agnieszki Holland i jej czeskie uwrażliwienie artystyczne kształtowały się długo, ale zawsze przepełnione były jej prawdziwym entuzjazmem. Była więc chyba podatna na specyfikę tamtego humoru i tamtego dystansu. A także naturalnej czeskiej radości – jak niejednokrotnie mawiała.

Zaczął się pewnie od tego, że Pragę uważała – i uważa do dziś – za najpiękniejsze miasto świata. Nic dziwnego, że tam chciała studiować. I tak się stało. Ale Praga tamtego



dzie tylko miesięczne, ale intensywne, jak wymagało „przykładne ukaranie” studenckiego „wroga”, który „zamierzał rozbić kraj socjalistyczny”.

Wszystko to widziała i tego doświadczyła. Pewnie dlatego tak łatwo się zgodziła, gdy wiele lat później, w 2013 roku, byli koledzy ze studiów przedstawili jej w Pradze pomysł na realizację filmu o Janie Palachu, studencie Uniwersytetu Karola, który w proteście prze-

Tkwi gdzieś w Szarlatanie walka „systemu” z „jednostką”. Bo może to rzeczywiście jest najważniejszy temat? Niezależny od czasu? Nawet gdy jest się ogrodnikiem-zielarzem, o wybitnych uzdolnieniach leczniczych, pracuje się w dobrach arcyksięcia Ferdynanda Habsburga, a otaczający bohatera świat jest monarchią austro-węgierską.

ciwko agresji wojsk Układu Warszawskiego na swój kraj podpalił się w styczniu 1969 roku pod Muzeum Narodowym na praskim placu Waclawa. Zrealizowała ten film także dlatego, że opowiadał on o czasach jej młodości i jej zaangażowaniu w ten sam, co Palach, ruch studencki. Powstał film pod pięknym tytułem *Krzew gorejący*. Płonący student, który natychmiast stał się dla wielu Czechów bohaterem narodowym (do dziś zresztą wszelki tamtejszy ruch oporu wobec władzy organizuje się wokół jego legendy).

Ale ten płonący chłopiec pojawia się w filmie *Holland* tylko na początku. Bo treścią rzeczywistą dramatu jest to wszystko, co władza komunistyczna chciała zrobić z pamięcią o bohaterze. Te znane od lat metody świetnie się filmują. Całe to „pomniejszanie”, postępowanie, dyskredytowanie, zniesławianie. Internetu jeszcze nie było, hejty nie istniały, ale metody były zawsze. Główną bohaterką, niespodziewaną Walkirią, jest tu młoda prawniczka wynajęta przez rodzinę studenta do walki o jego dobre imię i o prawdę, a więc w konsekwencji wynajęta do walki z systemem. I to była zasadnicza wielkość tego trzyczęściowego filmu (był nawet wtedy kandydatem do Oscara). A wkrótce okazało się, że film głęboko trafił w patriotyczne potrzeby Czechów. I to właśnie od tego momentu nasza Agnieszka Holland jest ich narodową artystką.

Jej obecny „czeski film”, który właśnie rozpoczął światową drogę przez ekrany, to inne czasy i inny kaliber zdarzeń. Ale też gdzieś na końcu tkwi w nim walka „systemu” z „jednostką”. Bo może to rzeczywiście jest najważniejszy temat? Niezależny od czasu? Nawet

gdy jest się ogrodnikiem-zielarzem o wybitnych uzdolnieniach leczniczych, pracuje się w dobrach arcyksięcia Ferdynanda Habsburga, a otaczający bohatera świat jest monarchią austro-węgierską. Tak wygląda sprawa ze słynnym uzdrowicielem Janem Mikolaszkiem – bohaterem *Szarlatana*. Przez długie życie (1887–1973) stał się wielką, międzynarodową legendą. Ale *Holland* nie pokazuje, że leczył angielskiego króla Jerzego VI, a także hitlerowskiego zbrodniarza Martina Bormana. Sięga do lat 50. XX wieku i szczególnej ochrony, jaką roztoczył nad uzdrowicielem Antonín Zápotocký, premier, a potem prezydent komunistycznej Czechosłowacji, któremu Mikolaszek uratował nogę przed amputacją. Dopiero po śmierci prezydenta (w 1957 roku) władza CSRS wytoczyła uzdrowicielowi proces, wynalazła mu przestępstwa (podatkowe, jak w amerykańskim kinie) i doprowadziła do upadku oraz nędzy. To tylko schemat – sam film dopiero zobaczymy, więc dopiero wtedy można będzie o nim szerzej pisać. O tym choćby, jak sprawdził się w tytułowej roli słynny gwiazdor czeski Ivan Trojan, tu zaangażowany nawet ze swoim synem, też aktorem, Josefem Trojanem, grającym młodego „szarlatana”. Jeszcze więc tego nie wiemy, ale już idzie przed tym filmem legenda. Postaci? Kultury, z której wyrosła? A może i samej reżyserki i jej szczególnej umiejętności, by znajdować temat, który może być całkiem niespodziewanie wzmocniony przez współczesność?

Tak jak niedawno był nim *Pokot*, wzmocniony rodzimą walką o puszcze, bezmyślnie niszczonej przez rządowy program? Teraz mogą to być rozmowy o niekonwencjonalnej medycynie. Albo może opowieści o oficjalnej radości z upokarzania zdolnego człowieka? A może będzie chodziło o coś innego? Zobaczymy!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

24.03, WTOREK, 19:30, NCK
INAUGURACJA FESTIWALU
ORKIESTRA I CHÓR FILHARMONII KRAKOWSKIEJ
GRZEGORZ NOWAK – DYRYGENT
ANDRZEJ LAMPERT – TENOR
TERESA MAJKA-PACANEK – CHÓRMISTRZ
DEBUSSY, RAVEL, SZYMANOWSKI

25.03, ŚRODA, 19:30, AST
KONCERT KAMERALNY

CANNES QUINTET:
MATEUSZ DUTKA – SKRZYPCE
MATEJ IOAN – SKRZYPCE
PASCAL JUGIEAU – ALTÓWKA
PHILIPPE CAUCHEFER – WIOŁONCZELA
GABRIELA PALUCH-DUTKA – FORTEPIAN
RAVEL, SZYMANOWSKI, FRANCK

26.03, CZWARTEK, 19:30, NCK
KONCERT SYMFONICZNY

AUKSO – ORKIESTRA KAMERALNA MIASTA TYCHY
MAREK MOŚ – DYRYGENT
MARCIN ŚWIĄTKIEWICZ – KLAWESYN
HONEGGER, POULENC, SZYMANOWSKI

27.03, PIĄTEK, 19:30, AST
KONCERT KAMERALNY

DOMINIK WANIA TRIO:
DOMINIK WANIA – FORTEPIAN
MAX MUCHA – KONTRABAS
DAWID FORTUNA – PERKUSJA
RAVEL, SZYMANOWSKI – IMPROWIZACJE

28.03, SOBOTA, 18:00, NCK
KONCERT SYMFONICZNY

ORCHESTRE DE CANNES
CHARLES OLIVIERI-MUNROE – DYRYGENT
KASPARAS UINSKAS – FORTEPIAN
ROUSSEL, POULENC, SAINT-SAËNS, SZYMANOWSKI

SZYMANOWSKI

2. FESTIWAL POLSKA / ŚWIAT

24-28.03.2020 → Filharmonia im. Karola Szymanowskiego w Krakowie

Fotografia ze zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego

Organizator:



MAŁOPOLSKA

Mecenasi:



WODOCIĄGI Miasta Krakowa



PGE Energia Ciepła S.A.

Sponsorzy:



KÄRCHER

Partner:



discover cracow

Patronat Medalny:



TVP3 KRAKÓW



RADIO KRAKÓW



WELCOME



interia

DZIENNIK POLSKI

Pręsto

KRAKÓW

STYLE

Jestem REN, reż. Piotr Ryczko

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: Piotr Ryczko/za zgodą Holly Picture Zdjęcie autora: Marcin Oliwa Soto

Ten debiut powstał niemal bez budżetu, wchodzi do kin bez wielkiego rozgłosu, ale w przeciwieństwie do wielu bardziej wypromowanych tytułów ma już za sobą kilka prestiżowych projekcji festiwalowych (Cottbus, Warszawski Festiwal Filmowy), jest również pierwszą od dawna próbą intelektualnego *science fiction* w naszym kinie.

Debiutujący w fabule reżyser Piotr Ryczko to bardzo ciekawa postać. Urodził się w Polsce, dorastał w Norwegii, jest autorem kilku powieści publikowanych w znamienitych wydawnictwach (The London Books Folks, „Amazon Kindle”), zajmuje się również fotografią. Owo wyczulenie na detal, fotograficzną precyzję widać doskonale w debiucie. *Jestem REN* (zdjęcia Yoriego Fabiana) kolorystycznie i pod względem faktury są silnie kontrastowane, a owa zmienność wizualna nakłada się na labilność charakterów. Inaczej wizualizuje się sfera tak zwanej normalno-

wiek, to inny człowiek, a może w ogóle to nie jest już człowiek?

Stwierdzenia, że Renata zamienia się w androida, nie traktowałbym jednak wprost. Przypuszczam, że poza oprawą *science fiction*, poza wprowadzeniem do polskiego kina problemu sztucznej inteligencji w tym przypadku chodziło jednak o coś więcej. Wykluczenie wskutek choroby. Dla mnie Renata, bo przyjmuję jej perspektywę, chociaż w *Jestem REN* perspektywa odbiorcza wydaje się wielotonalna, jest osobą chorą, chorą psychicznie. Nie zaplanowała tego, nie była na to gotowa, podobnie jak jej najbliżsi. Oprawa *science fiction* jest tak naprawdę dekoracją wykluczenia i niezrozumienia. Michel Foucault pisał, że „wykluczenie stwarza przestrzeń, w której wykluczeni nie są dla siebie wykluczonymi”. Renata nie wie, albo nie wie na pewno, że znalazła się w innej przestrzeni, funkcjonuje niezależnie, to samo tyczy jej najbliższych. Chwile remisji, repryz z wcześniejszego życia, nie tylko wzmagają niepokój, ale i wywołują ból. Siostrami bólu, braćmi ukojenia są grany przez Janusza Chabiora terapeuta czy ciekawa postać „robosiostry” zagranej impulsywnie przez Marietę Żukowską (w końcu ta wybitna aktorka dostała w reżyser zadanie na miarę talentu). Ale to tylko znieczulenie czasowe, prowadzące do kolejnego kryzysu, następnej remisji.

Ryczko w swoim debiucie popełnił wiele błędów. Historia jest miejscami chaotyczna, kiepsko inscenizowana, szkoda, że nie dopracowano lepiej dialogów. Mimo to ten niskobudżetowy, skromny film w konwencji SF mówi więcej i głębiej o rodzinie, macierzyństwie i chorobie niż niejeden duży tytuł z gwiazdorską obsadą. Wspomniany Foucault pisał w *Historii szaleństwa*, że „natura ludzka zdolna jest uwolnić człowieka z własnej wolności”. Ceną za uwolnienie jest jednak wykluczenie. Człowiek REN zagubiony w świecie ZEN.

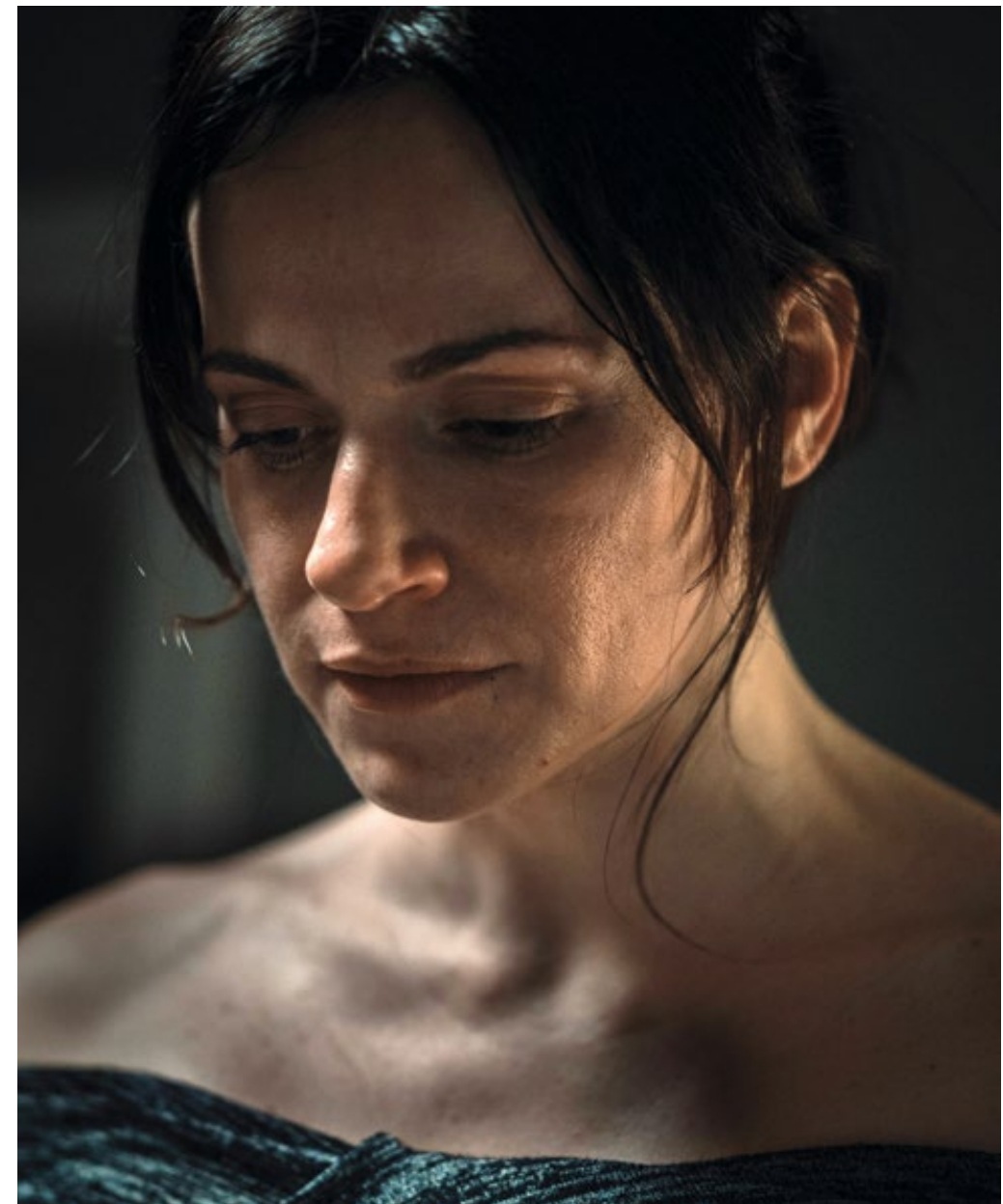
Mimo błędów niskobudżetowy *Jestem REN* w konwencji SF mówi więcej i głębiej o rodzinie, macierzyństwie i chorobie niż niejeden duży tytuł z gwiazdorską obsadą.

ści, inaczej rzeczywistości, nazwijmy to, równoległej. Bo o tym w gruncie rzeczy traktuje film Ryczki: równoważeniu się rzeczywistości i braku dostępu „normalności” do świata mieszczącego się poza normą.

Młody reżyser mocno zderza ze sobą dwa światy, ukazując je w mocno uproszczonym wydaniu. Pierwsze minuty zapowiadają sielankę *alla polacca*. Sięgające gdzieś do Hłaski czy Stachury marzenie o życiu poza systemem. Rodzina, ojciec, matka, dziecko, ucieczka od świata, od cywilizacji do przejawionej arkadii. Las, zwierzęta, spacer, ciepło domowego ogniska. Sielanka nie trwa jednak długo. Początek szczęścia będzie końcem. Renata (ciekawa rola Marty Król, aktorki Teatru Dramatycznego w Warszawie, pamiętanej przede wszystkim z kreacji w spektaklach Krystiana Lupy i Pawła Miśkiewicza) – dobra żona i matka, zmienia się, zmienia niebezpiecznie. To nie ten czło-



Łukasz Maciejewski. Ukończył filmoznanstwo na UJ. Wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, a wcześniej także w Szkole Kina w Collegium Civitas w Warszawie i na SWPS Uniwersytecie Humanistycznospołecznym. Dyrektor artystyczny festiwalu: Kino na Granicy w Cieszynie, Grand Prix Komeda w Ostrowie Wielkopolskim oraz kurator programowy festiwalu Toffest w Toruniu. Ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach” realizowanego przez Narodowe Centrum Kultury, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej, Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI oraz Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych. Ekspert PISF. Wielokrotnie nagradzany: dwukrotny laureat Nagrody Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w kategoriach „Książka roku” i „Krytyk roku”, laureat „Złotej Róży”, statuetki „Uskrzydłonego”, „Dziennikarskiej Weny”, „ArtKciuka” oraz medalu województwa małopolskiego Polonia Minor (2018). Teraz rozpoczyna współpracę z miesięcznikiem „Kraków” – serdecznie witamy na łamach!



Marta Król w roli androida – Renaty

Renata, jej mąż Jan oraz ich syn Kamil prowadzą pozornie szczęśliwe i spokojne życie za miastem. Jednak niewytłumaczalne wydarzenia pewnego wieczoru sprawiają, że to się diametralnie zmienia. Jan znajduje posiniaczoną Renatę w szopie, a Kamila leżącego na podłodze. Ponieważ żadne z nich nie jest w stanie wyjaśnić, co się stało, Jan sugeruje, aby pójść na terapię rodzinną. Renata nie jest przekonana do tego pomysłu, ale ostatecznie się zgadza. Decydują się na wyjazd do zamkniętego ośrodka. Podczas sesji z psychoterapeutą Renata informuje go, że ma na imię Ren i jest androidem. Najnowszym typem sztucznej inteligencji, pozbawionym błędów... (na podstawie materiałów dystrybutora).

Reżyseria i scenariusz: Piotr Ryczko
Zdjęcia: Yori Fabian
Scenografia: Małgorzata Muszyńska
Dekoracja wnętrza: Wojciech Pawlak
Kostiumy: Ewa Kłos
Muzyka: Paweł Stolarczyk
Montaż: Jakub Kopeć
Producenci: Roman Jarosz i Dariusz Głowala
Produkcja: Holly Pictures
Obsada: Marta Król (Renata), Marcin Sztabiński (Jan), Marieta Żukowska (Ela), Janusz Chabior (terapeuta) i inni.
Produkcja: 2019 (premiera: marzec 2020). Film fabularny, prod. Polska, barwny, 75 min
Lokacje: Warszawa (Staw Otwarty przy ul. Kwitnącej Akacji 58), Osjaków (Osada Osjaków).



Stulecie Dnia Wiosny, rys. Andrzej Zaręba

Ten, z Rynku Podgórskiego

Tekst: Mieczysław Czuma

Nie zamierzam choćby o najmniejszą szczyptę pomniejszyć szacunku i uwielbienia, jakim otoczony jest przez wybawionych z Holocaustu Oskar Schindler. Ale chcę przywołać pamięć o pewnej zapomnianej postaci. Ci, którym ten człowiek ocalił życie, zgodnie twierdzą, że ratował ludzkie istnienia na skalę przekraczającą wyczyn sławnego dziś w świecie bohatera.

Przepustką do historii wystawił Schindlerowi Chaim Hilfstein, niepodważalny autorytet ocalonej społeczności. Poświadczył, że właściciel Deutsche Emailwarenfabrik (Niemieckiej Fabryki Wyrobów Emaliowanych) najpierw w Krakowie, a potem w Brünnlitz (podobóz Gross-Rosen) ocalił życie tysiąca dwustu zatrudnionych u siebie pracowników. Chaim Hilfstein to krakowianin. Tu się urodził, zaliczył Gimnazjum św. Anny, ukończył medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie okupacji jako obozowy lekarz znalazł azyl w przedsiębiorstwie Schindlera. Po wojnie trafił do Palestyny, gdzie był współzałożycielem i pierwszym prezesem tamtejszego Związku Krakowian. Ale wcześniej, kiedy III Rzesza obracała się w popiół, ważnym oświadczeniem zapobiegł aresztowaniu swojego pracodawcy. I od tego się wszystko zaczęło. Najpierw australijski pisarz Thomas Kenally napisze *Arkę Schindlera*, potem, na podstawie tej książki, Steven Spielberg nakręci głośną *Listę Schindlera*. O szefie Deutsche Emailwarenfabrik usłyszy cały świat.

Schindler nie od początku był aniołem okraszonym aureolą uwielbienia. Pochodził z Moraw, w interesach debiutował jako handlowiec. Uważano go za hazardzistę i oszusta, a jego działalność zawodowa często miewała swój finał w sądzie. Od 1935 roku jest członkiem Partii Niemców Sudeckich, a niedługo potem zostaje agentem Abwehry, wywiadu wojskowego. Obszar jego rozpoznawczych penetracji obejmuje Czechy i południową Polskę. W tym czasie nawiązuje kontakt z Szymonem Jeretem, kupcem drzewnym z Podgórz, co ułatwi mu potem interesy w Krakowie. Ale wcześniej, 18 lipca 1939 roku, zostaje aresztowany za działalność szpiegowską przeciwko Czechosłowacji. Przed długoletnim więzieniem, a może i karą śmierci ratuje go zajęcie Sudetów przez Hitlera. W nowej rzeczywistości składa wniosek o członkostwo w NSDAP, otrzymuje legitymację z numerem 6 421 477.

Po wybuchu wojny Schindler dzięki swoim kontaktom z Abwehrą rozpoczyna działalność gospodarczą na terenach okupowanych. Prawdopodobnie zostaje wysłany do Polski przez wywiad, a przykrywką do jego zajęć szpiegowskich ma być kierowanie zakładem przemysłowym. Tak trafi na ulicę Lipową 4 i przejmie Pierwszą Małopolską Fabrykę Naczyń Emaliowanych i Wyrobów Błaszanych „Rekord”. Teraz to będzie Deutsche Emailwarenfabrik. Produkuje się tu garnki dla wojska, menażki, a także łuski do pocisków przeciwpancernych i zapalniki

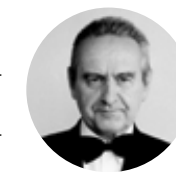
do bomb. W początkowym okresie fabryka zatrudnia przeważnie Polaków, z czasem jej załoga składać się będzie prawie wyłącznie z Żydów. Żydzi pracują za darmo, za każdego z nich Schindler płaci tylko 4-5 zł dziennie do kasy SS i policji. Ciemne plamy na życiorysie Oskara Schindlera przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie, kiedy do tej biografii dopisze

Julius Madritsch pozostaje w cieniu Oskara Schindlera. Ale w całym dystrykcie krakowskim jego firmy zapewniały pracę, czyli życie, czterem tysiącom żydowskich robotników.

się to, czego dokonał dla ocalenia tych przeznaczonych na Zagładę. Dlatego jego grób na cmentarzu katolickim na górze Syjon w Jerozolimie zawsze pełen jest kwiatów.

Julius Madritsch pozostaje w jego cieniu. Ten wiedeński handlowiec branży odzieżowej prowadził interes przy Rynku Podgórskim 3. Najpierw założył w okupowanym Krakowie pod tym adresem szwalnię, w której zatrudnił ośmiuset Żydów. Zgromadził tam prawników, lekarzy, kupców, inżynierów, także ich rodziny. Ci ludzie nie mają pojęcia o krawiectwie, wszelkie podejrzenia kontrolerów SS łagodził Madritsch łapówkami. Za łapówki będzie załatwiał także zamówienia na szycie mundurów dla wojska, za łapówki otworzył kolejne zakłady, a wśród nich w Bochni i w Tarnowie. W całym dystrykcie krakowskim wszystkie jego firmy zapewnią pracę, czyli życie, około czterem tysiącom żydowskich robotników.

Madritschowi nie dane było zostać ani głośnym herosem książkowym, ani bohaterem monumentalnej opowieści filmowej. Mówi się o nim niekiedy „austriacki Schindler”. To za mało.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Pożegnanie z bajką

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

W marcu po raz ostatni kursuję między Warszawą a Krakowem jako etatowy dziennikarz RMF Classic. Każda przygoda, nawet najpiękniejsza, kiedyś się musi skończyć. Dlatego wciąż pozostaje piękna.

Wynoszę z tych 15 lat pracy radiowej na kopcu Kościuszki, a od pewnego czasu także na warszawskim Powiślu, kilka niezwykle przydatnych portretów. I pewną mało przydatną umiejętność, ale o tym na koniec.

Te portrety to spotkania z ludźmi, których muzyka towarzyszyła mi od najmłodszych lat i spersonalizowała się nagle w czyimś spojrzeniu czy uśmiechu. To bezcenne momenty. Dla mnie nawet obezwładniające, dlatego niejednokrotnie zamykały mi usta i zamiast dziennikarskich pytań fundowały zachwyt nastolatki, która spotkała idola. Moimi idolami byli jednak ludzie, których muzykę i piosenki już jako osoba dorosła miałam okazję nie tylko grać w radiu, ale też się z nimi spotykać. Grzegorz Turnau niech reprezentuje tu środowisko krakowskie. A Ennio Morricone położone znowu nie tak daleko od Warszawy... Włochy.

Jest takie amerykańskie powiedzenie, że muzykę w gruncie rzeczy możemy podzielić tylko na dwa gatunki: dobrą i złą. Andrzej Korzyński pisał zawsze dobrą, nawet jeśli przekraczał granicę stylów i ocierał się o kicz, z pełną premedytacją zresztą.

Zupełnie inaczej myśli się i mówi o muzyce artysty, którego spotkało się oko w oko. Te radiowe spotkania zostaną ze mną na całe życie i będą już zawsze miały wpływ na to, jak będę o muzyce myśleć i mówić, a to mówienie jest przecież moim sposobem na zarabianie pieniędzy, poza wielką przyjemnością oczywiście.

Układam sobie w głowie taki portret właśnie, złożony z tego, co wiedziałam wcześniej o kimś, i z tego, co zobaczyłam, gdy się spotkałimy. Jestem za to ogromnie wdzięczna, bo ukształtowała się tak moją wrażliwość.

Czy wszystkich wymarzonych bohaterów spotkałam? Nie. Z niektórymi nie zdążyłam porozmawiać, a niektórzy pozostawali tak blisko, że odnosiło się wrażenie, że to będzie zawsze możliwe.

Taki artysta właśnie świętuje w tym roku 80. urodziny. Urodził się 2 marca w Warszawie. Jest takie amerykańskie powiedzenie, że muzykę w gruncie rzeczy możemy podzielić na dwa gatunki: dobrą i złą. On pisał zawsze dobrą, nawet jeśli przekraczał granicę stylów i ocierał się o kicz, z pełną premedytacją zresztą.

Uczył się muzyki klasycznie, traktując ją z dużej litery, ale zawsze z fantazją. Jako jeden z pierw-

szych rozpoczął w muzyce filmowej eksperymenty z syntezatorami, z dużym zresztą powodzeniem. Szaleństwo i melodia nigdy u niego nie konkurowały ze sobą, jakoś potrafił je połączyć w duecie. Jest autorem wielu polskich piosenek, które mogłyby być dobrem narodowym, gdyby tylko dało się im jakoś przypiąć medal. Największą niespodzianką jest rozpiętość stylów – od *Kochać* Piotra Szczepanika po *Mydełko Fa*. Komponował przepięknie dla Andrzeja Wajdy, jego muzyka brzmi w *Człowieku z żelaza*, *Polowaniu na muchy* i *Brzezynie*.

I to jemu zawdzięczamy magię *Akademii Pana Kleksa*, która trafiła ostatnio do niezwykłego, wydane na świecie *Słownika miejsc wyobrażonych*. Duża radość, że potraktowano ją tak poważnie. Cały klimat filmów z Kleksem to urok piosenek, tak bajecznie prostych i tak ambitnych jednocześnie. Najlepszy dowód na to, że gdy muzyka jest dobra, potrafi zanużyć ją i kilkulatek, a dojrzały wykonawca robi z niej dzieło sztuki.

No i wymyślił Franka Kimono!

Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny poświęca w marcu sporo miejsca jubilatowi. Zaplanowano pokazy filmów, spotkania i koncerty w obu siedzibach instytucji, czyli przy Wałbrzyskiej i w legendarnym kinie Iluzjon. Bardzo się na nie cieszę. I mam nadzieję stanąć tam oko w oko z idolem – kompozytorem, pianistą, władcą mojej wyobraźni.

Z Andrzejem Korzyńskim.

Wszystkiego najlepszego, Panie Andrzeju! Życzy wierna fanka, która potrafi z pamięci wymienić kilkadziesiąt kaset radiowych szyfrów oznaczających w muzycznej bazie RMF Classic poszczególne utwory, w tym i Pana muzykę. I choć pewnie już mi się ta umiejętność nie przyda, jestem dumna, że dzięki niej mogłam błyskawicznie powoływać do radiowego życia *Meluzynę* i wiele innych. Jak w bajce.



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Blue Monday

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Blue Monday, czyli trzeci poniedziałek stycznia, który co roku zabija setki osób, przeciągał się u Niny już drugi tydzień. Trudno nazwać jednak ten stan depresją.

Bardziej było to posuwanie się do różnych ekstremów. Na przykład cały boży dzień siedziała pod kołdrą i śpiewała kolędy, by zagłuszyć wspomnienia z minionego weekendu. *Przybieżeli do Betlejem* było najbardziej skoczne i skutecznie odsuwało tamte myśli. Tym razem mało piła, co jeszcze, w ogólnym podsumowaniu, pogarszało sytuację. Nie mogła wskazać palcem na Alkohol i mieć do niego pretensji, że trzy dni spędziła nago z jednym kolegą. I co w tamtych chwilach wydawało się ekscytujące, tydzień później kojarzyło się z wkładaniem do garnka rozżarzonej grzałki, którą kiedyś podgrzewała się zupki Knorra na biwakach. Im więcej czasu mijało, tym mocniej flashbaki wypalały w Ninie kolejne szkarłatne litery, które układały się w same niecenzuralne słowa. „Kurwa mać”, które zakończyły fatalny lot nad Smoleńskiem i zapisały się na zawsze w czarnej skrzynce, były wśród nich najłagodniejsze. On milczał tak, że Nina prawie zamieniła się w złoto. Oboje wiedzieli, że jest to ta sytuacja, w której ludzie dają sobie chwilowo trochę bliskości. A przynajmniej Nina wyobrażała sobie, że jest apką YouTube i odtwarzała to zdanie w pętli. Bała się, że jeśli nie będzie sobie tego nucić na okrągło, to natychmiast wybuchnie. I zamiast skrawków jej rozpuszającego ciała zostaną na ziemi same koronki po body z H&M, które zakupiła sobie właśnie dla tej „chwili bliskości”. Wszystkie buduarowe fatałaszkę, które zostały po jej wielkim wyjściu za mąż, z którego to wyjścia natychmiast wróciła zniesmaczona, wylądowały po rozwodzie w koszu. Na te nowe też już nie mogła patrzeć. I co teraz? Jak się z tego wy dostać? Postanowiła rytualnie oddzielić serce od ciała.

W internecie nie było żadnych wskazówek poza oczywistymi wnioskami na forach, że się głupia, naiwną babą. Poradniki punktowały wprawdzie „cykl emocjonalny” mężczyzny, który jest podobno „sprężyną”. Oddala się i zbliża – gdy się wycofuje, trzeba czekać cierpliwie i pod żadnym pozorem nie przeszkadzać mu w tej eskapadzie, bo on w tym swoim stanie pozornej niezależności dokonuje wyboru i mówi wieczne „tak” relacji. Co za bzdury! Ninę rozboleła głowa. Od myślenia o tym, co on teraz robi i z kim gada na mesie, a świecił się trzecią godzinę na zielono ze znienawidzonym w każdym salonie odrzuconych hasłem „Aktywny teraz” (jprdl!). Ona zaś ledwo mrugała oczami, leżała sparaliżowana i językiem robiła znak krzyża na pożegnanie. Przypomniała sobie pewną straszną scenę, którą na własne oczy widziała na wakacjach nad morzem. Jeden facet w Mielnie chciał skoczyć na bungee, ale źle wymierzono mu linę. Wbił się korpusem w ziemię. Pozostała część jego ciała tryskała krwią jak fontanna, gdy chwilę po uderzeniu znów wzbił się w górę. Ludzie wokół mdleli w strugach krwistego deszczu. Nina

czuła się teraz jak ten facet, z tym że sama źle wymierzyła linę. Wyobrażała sobie, że skacze i jej zakuty łeb wbija się w beton tuż przy plaży. Co za ulga!

Przez następne dni wielką przyjemność sprawiały jej kolejne sezony *Wikingów*. Odrąbywanie kończyn, krew i wylewające się wnętrzności, wycinanie że-

Im więcej czasu mijało, tym mocniej flashbaki wypalały w Ninie kolejne szkarłatne litery, które układały się w same niecenzuralne słowa. „Kurwa mać”, które zakończyły fatalny lot nad Smoleńskiem i zapisały się na zawsze w czarnej skrzynce, były wśród nich najłagodniejsze.

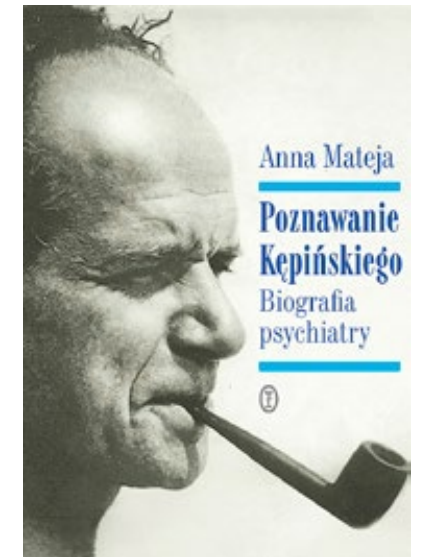
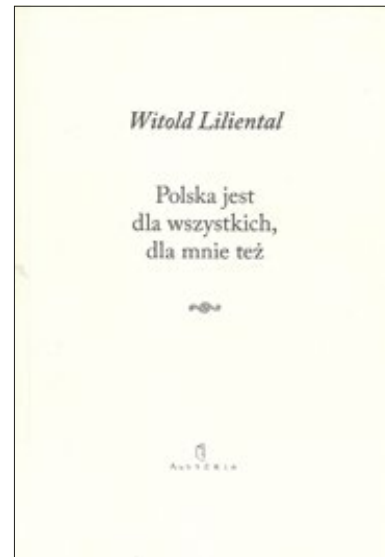
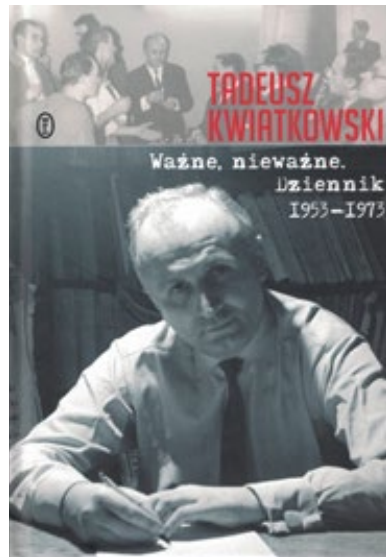
ber z tyłu pleców i wyciąganie ich z ciała, a następnie układanie ich w kształt orlich skrzydeł – tak, to właśnie mogłoby się jej przytrafić. Taki pierwotny, atawistyczny symbol kary, pęd do autodestrukcji.

Tymczasem ktoś zalinkował wywiad o sztucznej inteligencji. Komputer właśnie wygrał konkurs poezji w Japonii. Algorytm zwyciężył z człowiekiem w szachy, bo wytworzył coś w rodzaju intuicji i po 250 lajkach na Facebooku zna nas lepiej niż partner. Sztuczna inteligencja po rysach twarzy może odgadnąć orientację seksualną. Dziennikarz wraz z profesorem Kosińskim zastanawiali się, czy SI kiedyś pozbędzie się człowieka. Profesor jest przekonany, że tak – jeśli będziemy jej przeszkadzać, algorytm usunie nas bez żalu i złości, bo przecież nie będzie miał w sobie uczuć. Wyliczy, że mu się już nie opłacamy jako gatunek. I trach, z powierzchni Ziemi zniknie miliard ludzi.

Nina przeczytała wywiad i kręciła się w łóżku do piątej nad ranem. To najpiękniejsza wizja przyszłości o jakiej słyszała! Dlaczego nie może zdarzyć się już? Sama najchętniej zamieniłaby się w algorytm. W końcu zasnęła i śniła jej się, że miała błękitne łuski zamiast żreń. Była jednocześnie ciałem i zbiorem informacji, nie uczuć. Szum w jej głowie zamienił się w szept, po czym ucichł, a ciało stawało się coraz cieplejsze. Obudziła się i kupiła w sieci niebieskie soczewki. Rytualne cięcie będzie bolało, ale musi nastąpić już teraz.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Co-dzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Na tę książkę czekałem od dawna. *Dziennik* Tadeusza Kwiatkowskiego (1920–2007) obrósł bowiem mitami. Czy słusznie? Przekonacie się po lekturze opasłego tomu (ponad 750 stron!). Dla interesujących się dziejami życia kulturalnego powojennego Krakowa to studnia wiedzy o postaciach, instytucjach kultury i sztuki, wydarzeniach (przede wszystkim w teatrach), o zmaganiach z cenzurą itd. Był bowiem autor prozaikiem, dramaturgiem, kierownikiem literackim Teatru im. Juliusza Słowackiego, działaczem Związku Literatów Polskich, twórcą słynnego kabaretu literackiego w Jamie Michalika. W końcu – mężem wybitnej artystki scenicznej Haliny Kwiatkowskiej (z kręgu przyjaciół Karola Wojtyły). Na kartach *Dziennika* spotkamy setki nazwisk najwybitniejszych krakowian (i nie tylko) drugiej połowy XX wieku, między innymi Kazimierza Wyki, Mariana Dąbrowskiego, Jerzego Andrzejewskiego, Stefana Otwinowskiego, Jerzego Putramenta i wielu innych nadających ton PRL-owskiej kulturze, dokumentowanych przez Kwiatkowskiego lat. Powaga wspomnień urozmaicona jest pysznymi anegdotami z epoki. Tekst przygotowała Monika Wysogład-Majewska – córka autora, a redakcyjnie opracował Krzysztof Lisowski.

Janusz M. Paluch

Najpierw jest opis przedwojennej, a dziś wznowionej książeczki ks. Krużyńskiego *Antysemityzm, antyjudyzm, antygoizm*. „Cała naszpikowana jest stwierdzeniami, że rzekomo Tal-mud pozwala Żydom na wszelkie nie-godziwości, jeśli ofiarą ich ma być goj. Niestety, treści takie nadal są kolportowane nawet w dzisiejszej Polsce”.

Kim jest autor tych słów? Witold Liliental urodził się w Warszawie kilka miesięcy przed wybuchem II wojny w zasymilowanej rodzinie żydowskiej. Ojciec został zamordowany w Katyniu. Matka działała w tajnym nauczaniu. Po wojnie młody chłopak zamieszkał w RPA. Wrócił do Polski w 1959 roku. Skończył studia na Politechnice Warszawskiej i uzyskał doktorat. Stan wojenny zastał go w Arizonie – i do Polski już nie wrócił. Dziś jest w Kanadzie.

Ale to nie jest książka o Żydach. Zadaje pytanie: jaka ma być Polska?

Pokutuje teza, że polskość i katolickość są nierozzerwalne. Czy Małysz, ewangelik, nie jest w pełni Polakiem? Jeśli nie wyznanie decyduje o polskości, to co? DNA? A są tu – bo kiedyś się osiedlili – Żydzi, Węgrzy, Czesi czy Niemcy. Cóż więc pozostaje?

Autor zna odpowiedź: „Możemy być jednocześnie Polakami i Ślązakami, Polakami i Żydami, Polakami katolikami, Polakami buddystami i Polakami ateistami. Wystarczy czuć się Polakiem. (...) Trzeba tylko przestać bać się zmian”.

(wb)

Witold Liliental, *Polska jest dla wszystkich, dla mnie też*, Austeria, Kraków 2019.

Zygmunt Nowakowski był jedną z najbarwniejszych postaci Krakowa lat 30. ubiegłego stulecia już z racji na wielowymiarową osobowość i rozliczne dokonania.

Sławę zyskał jako aktor, a sukcesy sceniczne doprowadziły go do dyrektorskiego stołka w Teatrze im. J. Słowackiego. Po konflikcie z Radą Miejską postanowił zerwać ze sceną. Niemal z dnia na dzień stał się felietonistą wysokonakładowego, ogólnopolskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, co dało mu ogromną popularność.

Trudno było wówczas wyobrazić sobie Kraków bez Nowakowskiego i Nowakowskiego bez Krakowa. A jednak los sprawił, że ten niepoprawny krakauer niemal połowę dorosłego życia spędził na obczyźnie. Po wojennej tułaczce osiadł w Londynie, a tom emigracyjnych felietonów nazwał *prześmiewczo Lajkonik na wygnaniu*.

Chociaż wciąż wiele pisał, nie miało to już takiej siły rażenia. Podobnie jak audycje w Radiu Wolna Europa, które stały się popisem erudyty ogarniętego historyczną pasją. Nigdy nie pogodził się z rzeczywistością powojennej Polski i Krakowa już nie zobaczył. Zmarł na emigracji w 1963 roku.

Po wieloletniej eksploracji archiwów Krakowa i Londynu dr Paweł Chojnacki przygotował zarys biografii tej nietuzinkowej postaci obejmującej oczywiście także krakowskie szlaki Nowakowskiego.

Krzysztof Jakubowski

Paweł Chojnacki, *Kiedy Zygmunt Nowakowski wróci wreszcie do Krakowa?*, Wydawnictwo Libron, Kraków 2019.

„Wynurzał się jak kret z jamy, ręką zasłaniał słońce. Codziennie powtarzał tę samą drogę; odwiedzał warzywniak, okrążał plac zabaw i dalej brzo-zową alejką szedł w stronę poczty. W warzywniaku wybierał pomidory, po czym wręczał portfel sprzedawcy, a ten zwykle brał mniej, niż wychodziło z rachunku. Przy placu zabaw napominał podrostki, by zamykały furtkę, bo młodsze dzieci, bo psy bez kagańca. Tłumaczył: po coś tę osłonkę pobudowali. I słyszał wysokie głosy: „pierdol się” albo: „niech pan do mnie nie mówi”.

To biografia Macieja Zimińskiego, który w PRL zorganizował akcję pomocy starszym i chorym „Niewidzialna ręka”. Pomagający działali w ukryciu i ich jedynym znakiem była kartka z dłonią odcisniętą w atramencie.

Ale ta książka ma kilka innych płaszczyzn. Ta pierwsza, uderzająca, to szlachetność stylu. Druga – to historia dobrego człowieka pisana z perspektywy starego mężczyzny. Trzecia to przejmujący opis PRL, gdzie władza ludziom niczego nie chciała dać – a już najmniej dobra, więc sami musieli sobie pomóc.

Warto zwrócić uwagę tym, którzy jeszcze Wasielewskiego (rocznik 1982) nie znają: to jego czwarta książka (po genialnej *Jutro przybędzie królowa*, po biografii Bogusława Metzka i opowieści z Wysp Owczych 81:1) i możecie czytać w ciemno wszystkie te tytuły.

(wb)

Maciej Wasielewski, *Niewidzialna ręka*, Wielka Litera, Warszawa 2019.

Współcześni medycy, analizując XV-wieczne figury z ołtarza Wita Stwosza, potrafili zidentyfikować choroby, na które cierpieli pozujący wielkiemu mistrzowi ówczesni krakowianie. Natomiast śląski kucharz, restaurator i popularyzator sztuki kulinarnej Remigiusz Rączka, czytając uważnie i pod zawodowym kątem dzieła Sienkiewicza, a zwłaszcza *Krzyżaków* i *Trylogię*, odnalazł na ich kartach przepisy kulinarne. Najpierw był program *Zasmakuj w Sienkiewiczu* emitowany w śląskim paśmie telewizyjnym, które przy odrobinie szczęścia można także odbierać w Krakowie. Później pojawiła się bogato ilustrowana książka kucharska pod takim tytułem. To z jej kart można się dowiedzieć, co to jest „portugiera” (legumina z jabłek na winie), jak zrobić karpia w sosie z warzyw duszonych w piwie z miodem, jak ugotować zupę orzechową czy co to jest „manna z nieba”.

Znakomita pozycja na niezobowiązujący, a efektowny prezent zwłaszcza za granicę. Ale też przydatne narzędzie do pracy w kuchni. Od święta i na co dzień.

Jacek Balcewicz

Remigiusz Rączka, Sebastian Nowak, *Zasmakuj w Sienkiewiczu. Remigiusz Rączka gotuje przysmaki z Sienkiewicza*, Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2019.

„Kto nie popieści, ten się nie zmieści” – ktoś mógł być autorem tego znanego dziś powiedzonka? Teraz już wiadomo!

Zdumiewające, że tak barwna – i ważna – postać polskiej medycyny, ale i humanistyki, tak długo czekała na całościową biografię. I to mimo że książki prof. Antoniego Kępińskiego cieszyły się niezwykle popularnością. Ostatnio najwybitniejszy polski psychiatra doczekał się portretu – lecz godny bohatera jest dopiero portret najnowszy, pióra Anny Matei, ze względu na bogactwo wykorzystanych źródeł, ale również klasę języka użytego do opisu złożonych kolei życia Kępińskiego i delikatnej, a często dramatycznej, a może nawet metafizycznej materii spraw, którymi się zajmował. Nie bez powodu prof. Jacek Bomba, wychowanek Docenta, nazwał go „filozofem człowieczeństwa”.

Efektom profesjonalizmu krakowskiej dziennikarki (specjalizującej się od pewnego czasu w pisaniu o szeroko pojmowanej medycynie) jest nie tylko frapująca historia życia Kępińskiego. Na jej kanwie bowiem Mateja relacjonuje między innymi dylematy etyczne napotymane w psychiatrii (moralność stosowania elektrowstrząsów itp.), a także realia obyczajowo-mentalnościowe powojennego Krakowa i tutejszego środowiska akademickiego (niekiedy trudne dziś do pojęcia). Jakżeż wybijał się ponad nie Kępiński, układając zacytowaną fraszkę!

(kb)

Anna Mateja, *Poznanie Kępińskiego. Biografia psychiatry*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

ZAKOPANE
ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY



Wiosna kultury

28 LUTEGO - 19 KWIETNIA 2020

SALON MARCOWY 2020
ANDRZEJ KRĘTZ-MAJEWSKI
MALARSTWO, SCENOGRAFIA

ZCK, Miejska Galeria Sztuki im. Wł. hr. Zamoyskiego

3 - 9 MARCA 2020

MIĘDZYNARODOWY TYDZIEŃ E-KSIAŻKI

Miejska Biblioteka Publiczna im. St. Żeromskiego

13 MARCA - 19 KWIETNIA 2020

WYSTAWA PASYJNA „POZWÓLCIE DZIAŁAĆ
WE MNIE TAJEMNICY...” (ŚW. JAN PAWEŁ II)

ZCK, Centrum Kultury Rodzimej w willi Czerwony Dwór

26 - 28 MARCA 2020

POKAZ FILMÓW O SZTUCE

ZCK, Kino Miejsce, Miejska Galeria Sztuki im. Wł. hr. Zamoyskiego

23 KWIETNIA 2020

ŚWIATOWY DZIEŃ KSIAŻKI I PRAW AUTORSKICH.
SPOTKANIE LITERACKIE W RAMACH
XIX EDYCJI MAŁOPOLSKICH DNI KSIAŻKI:
KSIAŻKA I RÓŻA

Miejska Biblioteka Publiczna im. St. Żeromskiego

25 - 26 KWIETNIA 2020

XI TATRZAŃSKI FESTIWAL ZESPOŁÓW
GÓRALSKICH „ZŁOTE KIERPCE”

Kino Giewont

29 KWIETNIA - 2 MAJA 2020

XVII WIOSNA JAZZOWA ZAKOPANE

ZCK, Kino Sokół, Aries Hotel & Spa

3 MAJA 2020

ŚWIĘTO KONSTYTUCJI 3 MAJA

8 - 15 MAJA 2020

SPOTKANIE LITERACKIE
W RAMACH XVII OGÓLNOPOLSKIEGO
TYGODNIA BIBLIOTEK

Miejska Biblioteka Publiczna im. St. Żeromskiego

16 MAJA 2020

NOC MUZEÓW

18 MAJA 2020

UROCZYSTA MSZA ŚWIĘTA, WSPÓLNE
ŚPIEWANIE „BARKI” ORAZ KONCERT
W 100. ROCZNICĘ URODZIN JANA PAWEŁA II

Plac Niepodległości

22 MAJA 2020

WSPÓLNE CZYTANIE JOSEPHA CONRADA

Skwer J. Conrada przy ul. H. Sienkiewicza

30 - 31 MAJA 2020

DNI DZIEDZICTWA

ZCK, Centrum Kultury Rodzimej w willi Czerwony Dwór

31 MAJA 2020

FESTYN RODZINNY
ZAKOPIAŃSKI DZIEŃ DZIECKA

1 - 10 CZERWCA 2020

DNI ZAKOPANEGO

ZAKOPANE

WWW.ZAKOPANE.PL

Nagroda im. Jerzego Turowicza dla Basila Kerskiego

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

Dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku otrzymał prestiżowe wyróżnienie za znakomite prowadzenie instytucji, która walczy o wartości bliskie redaktorowi naczelnemu „Tygodnika Powszechnego”.

Nie było w ubiegłym roku drugiej takiej osoby, a zarazem instytucji, którym należałoby się bardziej Nagroda im. Jerzego Turowicza. Basil Kerski i pracujący z nim w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku zespół, otrzymał ją w uznaniu za rolę tej instytucji „w budowaniu tkanki społecznej, w kształtowaniu życia obywatelskiego i postaw społecznego zaangażowania”. W ten sposób Kerski wszedł do szacownego grona laureatów prestiżowego wyróżnienia, wśród których są już Joanna Olczak-Ronikierowa, Marcin Zaremba, Andrzej Brzeziecki, Paweł Machcewicz, Monika Sznajderman i Ewa Lipska.

Kapituła przyznała tę nagrodę Basilowi Kerskiemu za obronę niezależności prowadzonej przez niego instytucji i otwarcie na dialog, który mobilizuje. Europejskie Centrum Solidarności stało się dzięki niemu symbolem walki o cele, o które walczył mój ojciec i ludzie „Tygodnika Powszechnego” – powiedziała Elżbieta Jogała, córka Jerzego Turowicza, wręczając laureatowi statuetkę przedstawiającą stertę gazet. Leżą one na kawałku klepki podłogowej, pochodzącej z mieszkania naczelnego „TP” przy ul. Lenartowicza. To tam, na podłodze właśnie, trzymał on niemieszczące się na półkach stopy prasy i książek.

„Tygodnik Powszechny” czytałem, mieszkając w Berlinie. Do moich rytuałów należała tam jazda raz w tygodniu do kościoła, w którym go sprzedawano. Jego egzemplarze były tak cenne, że trudno było się ich pozbyć, więc mój parkiet wyglądał podobnie jak u Turowiczów – żartował Kerski.

Po chwili jednak przybrał poważniejszy ton, dodając, iż ta nagroda należy się też zamordowanemu w ubiegłym roku prezydentowi Gdańska Pawłowi Adamowiczowi. Podkreślił, że to dzięki jego determinacji i wizjonerstwu powstała ta instytucja. – Paweł chciał, żeby było to miejsce, w którym będzie opowiadało się o wszystkich bohaterach pokojowych przemian; miejsce, które podkreśla więzi, a nie różnice. Chciał, żeby ta instytucja wzmacniała kulturę obywatelską – dodał dyrektor ECS.



Basil Kerski jest synem Polki i Irakijczyka. W Berlinie Zachodnim studiował politologię i slawistykę. Prowadzi tam dwujęzyczny „Magazyn Polsko-Niemiecki DIALOG”. Był dyrektorem Federalnego Związku Towarzystwa Niemiecko-Polskiego. Europejskim Centrum Solidarności kieruje od 2011 roku.

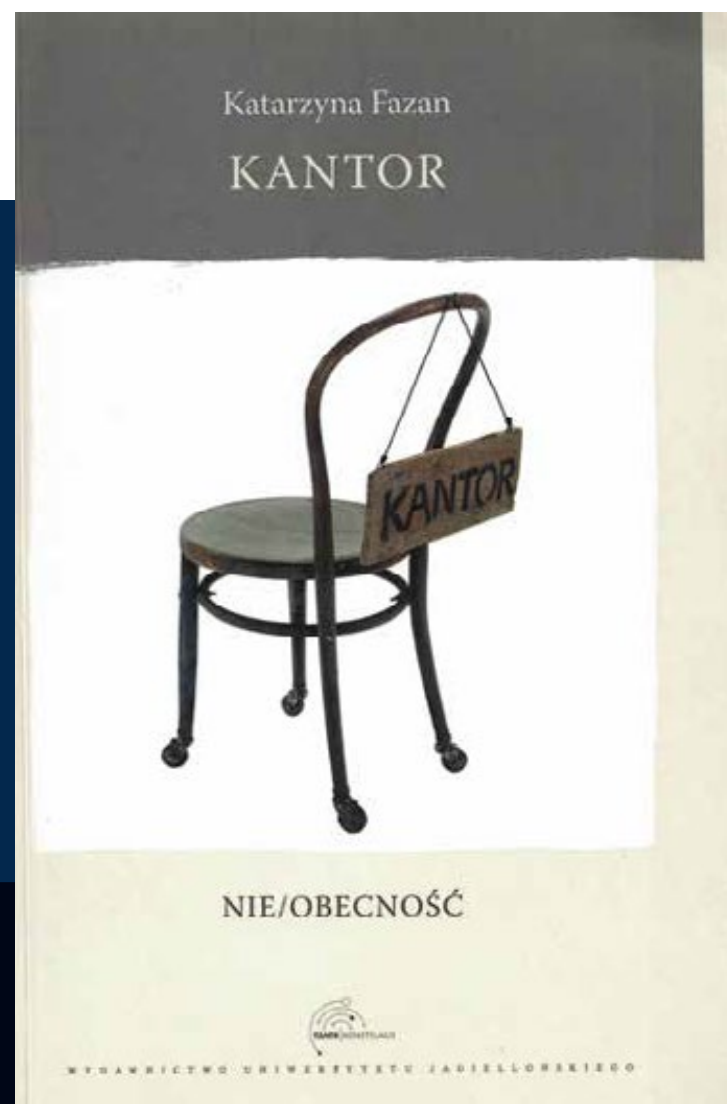
I to się udało, o czym mówiła w laudacji na cześć laureata, wchodząca w skład Kapituły nagrody Dominka Kozłowska. Przypomniała, że gdy politycy partii obecnie rządzącej zmniejszyli rażąco dotację dla Centrum, odbyła się społeczna zbiórka pieniędzy, dzięki której instytucja mogła funkcjonować w normalny sposób i stać się jednym z najjaśniejszych miejsc na mapie obchodów 30. rocznicy powstania „Solidarności”.

Krakowska Książka Miesiąca

MARZEC 2020

Katarzyna Fazan,
Kantor. Nie/Obecność, Seria Teatr

[Konstelacje,
Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego,
Kraków 2019



To gruntowne studium twórczości Tadeusza Kantora obejmujące zarówno sztuki plastyczne, jak i teatr. Autorka otwierając – po trzydziestu latach od śmierci artysty – nowe możliwości odczytywania artysty, konfrontuje go nie tylko z twórczością Wyspiańskiego czy Witkacego, ale w interpretacjach dotyczących funkcji lalki odwołuje się m. in. także do prac Krystiana Lupy, Krzysztofa Warlikowskiego i Mai Kleczewskiej. Na książkę, poza obszernym wstępem, składają się trzy części: Manifestacje (o sile sztuki twórcy Teatru Śmierci), Konfrontacje (porównanie z twórczością innych – czy rzeczywiście osłabiająca dominującą pozycję autorytarnego twórcy?) oraz Ślady (o wszechobecności Kantora i sztuce pamięci). O wadze dzieła Kantora świadczy nie tylko ta bogato ilustrowana książka (167 fotografii), ale nade wszystko Muzeum Tadeusza Kantora, które już na trwałe wpisało się w krajobraz kultury Krakowa. Dzięki działaniom Muzeum (ekspozycje i animacje) grono zwolenników Kantora wciąż wzrasta, choć nie zobaczą na żywo, na scenie, jego spektakli, bo On nigdy już tu... nie powróci. W ten proces wpisuje się też książka Katarzyny Fazan, która jest – jak pisze prof. Włodzimierz Szturc – wspaniałą podróżą – peregrynacją przez sztukę współczesną (...) Jest to książka nie tylko o Kantorze, ale (...) także o sztuce czasów, w których żyjemy.



To obowiązkowa lektura dla każdego,
kto interesuje się sztuką XX wieku!

Janusz M. Paluch, krytyk i animator kultury



Wręczenie Nagrody: 26 marca godz. 18.00, Salon Literacki Biblioteki Kraków w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, ul. Szczepańska 1.

Nagroda Krakowska Książka Miesiąca powołana została w 1995 roku przez Śródmiejski Ośrodek Kultury w Krakowie wedle pomysłu Jana Pieszcachowicza i Janusza Palucha. Od roku 2017 Nagrodę funduje Biblioteka Kraków. Pracami jury od początku kieruje wspomniany Jan Pieszcachowicz, krytyk literacki i redaktor senior miesięcznika „Kraków”, a w skład jury wchodzi: dr Jan Burnatowski, dr Stanisław Dziedzic, Zofia Gołubiew, dr Karolina Grodziska, Waław Krupiński, Janusz M. Paluch, prof. Stanisław Stabro, Marcin Wilk, prof. Jacek A. Wojciechowski, prof. Krzysztof A. Zajas, dr Elżbieta Zechenter-Spławińska. Nagroda docenia książki autorów krakowskich lub książki o Krakowie. W szczególnych przypadkach nagradza się też wydawnictwa za wybitne osiągnięcia edytorskie.

■ W Krakowie czyli nigdzie

Ubu Król Alfreda Jarry'ego dzieje się „w Polsce, czyli nigdzie”. *Sigismondo* Gioacchino Rossiniego, którego wystawiono w ramach Festiwalu Opera Rara, dzieje się natomiast w Krakowie, czyli również nigdzie. Bowiemy akcja dzieła rozgrywana jest w otoczeniu pewnego polskiego monarchy, którym w zamysle reżysera Krystiana Ludy został Zygmunt Stary, wprost wyjęty z *Hołdu pruskiego*. Na kurtynie Teatru im. J. Słowackiego wyświetlono więc słynny obraz Matejki, co poprzedziła prelekcja wygłoszona przez Józefa Opalskiego, który niczym przewodnik wycieczek wprowadził widzów w szczegóły, podkreślając nieścisłości historyczne występujące w dziele mistrza.

A zrobił to dlatego, byśmy nie byli zaskoczeni kompletnie fikcyjną intrygą, w której tle widzimy wprawdzie Kraków, ale na tym jej prawdopodobieństwo się kończy. Za to mamy groteskowy galimatias, podkreślony, niestety, niezbyt gustowną scenografią, początkowo mającą przedstawiać atelier malarskie Matejki, a w konsekwencji przeradzającą się w jakąś dziwną, sceniczną prowizorkę. Zapomina się jednak o niej, gdy na scenie pojawiają się protagoniści. Do spektaklu zostali zaproszeni tak wybitni śpiewacy jak kontratenor Franco Fagioli oraz Francesca Chiejina, Kenneth Kellogg, Pablo Bemsch. Dźwiękami Rossiniego uwodziła nas Capella Cracoviensis prowadzona perfekcyjnie przez Jana Tomasza Adamusa. Festiwal Opera Rara osiągnął naprawdę światowy poziom.

■ Do Kossakówki wróci życie

To właśnie w tym domu Wojciech Kossak malował jedyne w swoim rodzaju konie, które rozchodziły się wśród mieszczan krakowskich niczym ciepłe bułeczki i wiszą na ich ścianach do dzisiaj. To na schodach tej willi jego córka Magdalena Samozwaniec klóciła się ze swoją siostrą Marią Jasnorzewską-Pawlikowską o to, która włoży na bal niebieską, a którą różową sukienkę. Gdyby słynna Kossakówka, mieszcząca się przy placu Juliusza Kossaka, umiała mówić, opowiedziałaby takie historie o bywających tu najsławniejszych postaciach międzywojnia, że spędziłoby to sen z powiek niejednego kronikarza. Mimo to przez lata zabytkowy obiekt niszczał, powoli popadając w ruinę. Na szczęście miasto wykupiło go z rąk prywatnego właściciela i oddało Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAR. Jego szefowa, Maria Anna Potocka, planuje najpierw przeprowadzić generalny remont budynku, a potem pokazywać nie tylko obrazy słynnych Kossaków, ale też dzieła współczesne. To fantastyczny pomysł, dający szansę na to, że dawna i dzisiejsza sztuka będą mogły wejść w dialog. A z takich rozmów zawsze dużo wynika.

■ Jerzy Duda-Gracz zamieszkał w Nowej Hucie

W obrazach Jerzego Dudy-Gracza można się albo zakochać, albo je znienawidzić. Ale jest pewne, że

wpisały się one do kanonu najważniejszych dzieł polskiej sztuki, komentującej naszą rzeczywistość od czasów głębokiego PRL-u do początków transformacji. Jakie wrażenie robią te płótna na dzisiejszych odbiorcach, możemy się przekonać, wybierając się do Nowohuckiego Centrum Kultury, gdzie otwarto autorską galerię artysty.

O tym, by takie miejsce powstało, w Krakowie mówiło się od dawna, a w zasadzie od śmierci malarza w 2004 roku. Jego córka, znana reżyserka teatralna Agata Duda-Gracz, początkowo prowadziła z władzami miasta rozmowy, by ekspozycja prac ojca zagościła przy ul. św. Jana, a następnie w zajeździe pod św. Benedyktem w Podgórzu. Stało na NCK, gdzie od początku roku pokazywana jest niemal setka dzieł malarza. Kuratorka wystawy Joanna Gościej-Lewińska zaznacza: – Są wśród nich te najbardziej znane, drapieżne, ukazujące codzienność polskiej prowincji lat 70. i 80. XX wieku, odwołujące się do rodzimej historii i polityki. Ale są tu również subtelne wizje inspirowane muzyką, należące do cyklu chopinowskiego, czy krajobrazy Jury Krakowsko-Częstochowskiej z cyklu jurajskiego, a także mistrzowskie portrety, przywołujące na myśl dzieła dawnych mistrzów.

Co ciekawe, Galeria Jerzego Dudy-Gracza sąsiaduje niemal drzwiami w drzwiach z Galerią Zdzisława Beksińskiego. Spojrzenie tych dwóch twórców na sztukę było kompletnie różne, ale łączyło ich doświadczenie pokoleniowe. I to że obaj wciąż są ważni dla odbiorców.

■ Znika ostatnia prywatna biblioteka

To smutna wiadomość. Znika kolejne miejsce w obrębie Plant, do którego krakowianie byli przyzwyczajeni. W połączonej z antykwariatem prywatnej bibliotece przy ul. św. Jana 3 nie będzie już można wypożyczać książek. A funkcjonowała ona od czasów wojny, początkowo przy ul. Podwale, gdzie założył ją Stefan Kamiński, kamuflując tym działalność konspiracyjną. Przetrwiała okupanta i czasy PRL-u, będąc ulubionym miejscem bibliofilów, którzy za niewielki abonament mogli tu wypożyczać nieosiągalne gdzie indziej tytuły. Po 1989 roku też miała się dobrze, gdyż przyciągała do siebie miłośników książek jedyną w swoim rodzaju atmosferą.

Teraz jednak prowadząca przez lata przedsięwzięcie Krystyna Kamińska-Samek postanowiła przejść na emeryturę i zamknąć wypożyczalnię. Dobra wiadomość jest jednak taka, że nie znika z mapy Krakowa antykwariat Kamińskich. Przejmuje go Grzegorz Małachowski. Ten historyk i bibliofil prowadził wcześniej niewielki antykwariat internetowy. Jak obiecuje, nie zmieni charakteru miejsca. Miłośnicy książek wciąż będą mogli przychodzić tam, by znaleźć poszukiwane pozycje.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Listy do redakcji

Szanowna Redakcjo,

piszę, bo zobaczyłam niedawno wybrane nominacje do „Portretów”. Bardzo podoba mi się ta inicjatywa, brakowało takiego konkursu, który doceni biograficzne poszukiwania twórców i twórczyń. Dobrze, że nie ograniczyliście się tylko do książek, sięgając po film, teatr i wystawy! Dobry kierunek! Jeszcze nie wiem, co wybiorę, wśród moich faworytów jest wystawa o Andrzeju Wajdzie i spektakl Mai Kleczewskiej *Pod Presją*, tylko tak sobie myślę, że brakuje jednej nominacji. Bo przecież czym jest magazyn „Kraków” jak nie najlepszym portre-

tem naszego miasta i jego mieszkańców?! To wy właśnie opowiadacie o artystycznej duszy naszej małej ojczyzny i pokazujecie, co w Krakowie najlepsze! Wypełniacie tę ramę portretu po brzegi! Apelujecie, by pisać z propozycjami, więc zgłaszam Was! Chciałam też zasugerować, że wielu czytelników, ja z pewnością, z przyjemnością przeczytałoby fragmenty nominowanych książek. Może rozważyć przedrukowanie?

Z serdecznymi pozdrowieniami,
Joanna Gabryś

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

(red.)

Pech, błąd i pomysł na przyszłość

Najpierw maestro Ryszard Horowitz udzielił wywiadu Dominikowi Jedlińskiemu dla „Krakowa” i zapomniał wspomnieć, iż wystawa jego wspaniałych zdjęć naszego miasta (nr 1/2020) powstała dzięki staraniom Fundacji GAP (Gospodarki i Administracji Publicznej) i była integralną częścią kongresu Open Eyes Economy w 2018 roku (co z kolei było wsparte przez Nowohuckie Centrum Kultury i Miasto Kraków). Mało tego – w numerze następnym opisałyśmy fascynującą wystawę w MOCAK-u *Wisław Dymny. Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz*, której współproducentami są Nowohuckie Centrum Kultury i – znowu – Fundacja GAP i jej Agencja Artystyczna, a wystawa była elementem OEES w 2019 roku.

I choć prawo prasowe, kulawe jak diabli, nie nakłada na media obo-

wiązku podawania sponsorów czy nawet producentów ważnych imprez kulturalnych i społecznych (nie mówiąc o tym, że o wielu sprawach po prostu wiedzieć nie można) – to głupio nam szalenie. I to nie dlatego, że grupa pracująca nad OEES to nasi Przyjaciele, ale po prostu – jako twórcy wiemy doskonale, jak ważne jest wsparcie Mecenasów, Sponsorów i Patronów. Jesteśmy też przekonani, że do moralnego obowiązku mediów opisujących świat kultury należy podkreślanie roli tych, bez pomocy których wydarzenia by pały.

Dlatego od dziś prosimy wszystkich twórców, którzy dla nas będą się wypowiadać, aby pamiętali o swoich Mecenasach, a i my będziemy dokładać starań, aby ich wyciągać w światło reflektorów.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmie, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Jeszcze o osiemdziesiątce Janka

Tekst: Mieczysław Czuma Rysunek: Piotr Błachut

Panie Janku,

Pański doniosły i okrągły Jubileusz stał się dla mnie natchnieniem, aby zacząć uprawiać dziennikarstwo śledcze. Mam już tego pozytywne wyniki, bo oto udało mi się ustalić, że szczęśliwy 80-latek Jan Pieszczachowicz w styczniu 2020 roku pobił wszelkie rekordy powodzenia i żył już:

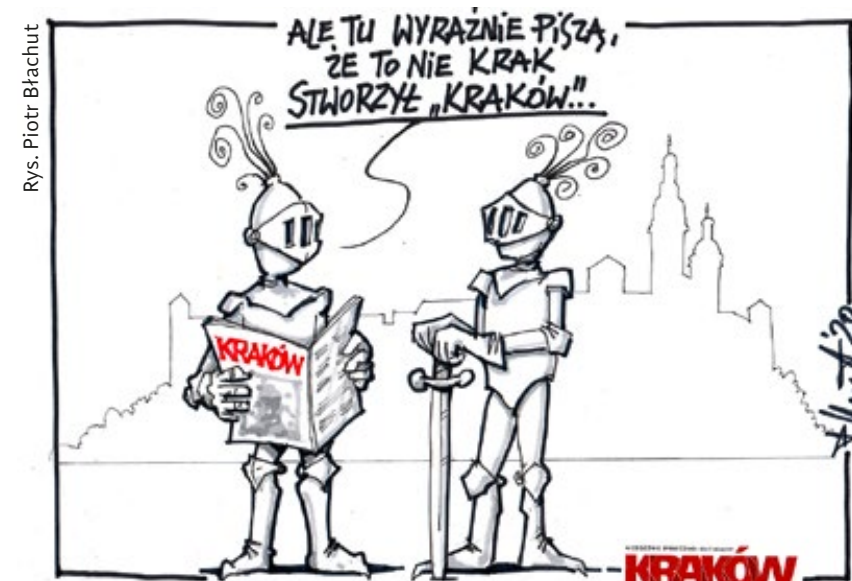
Jeszcze o osiemdziesiątce Janka

42 lata dłużej niż Wyspiański,
41 lat dłużej niż Chopin,
40 lat dłużej niż Słowacki,
28 lat dłużej niż Szekspir i Napoleon Bonaparte,
26 lat dłużej niż Kochanowski,
24 lata dłużej niż Dante,
19 lat dłużej niż Żeromski,
18 lat dłużej niż Norwid,
12 lat dłużej niż Piłsudski,
10 lat dłużej niż Sienkiewicz,
5 lat dłużej niż Pitagoras.
Ale za to jest równolatką Platona.
9 lat brakuje mu do Michała Anioła,
10 lat brakuje do Andrzeja Wajdy,
19 lat do Ludwika Solskiego.



Medal na cześć Jubilata wybitny specjalnie na Jego cześć przez Prezydenta Miasta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego, fot. Grzegorz Kozakiewicz

Cóż, trzeba się starać, Jasiu! Życzymy Ci zdrowia i siły!
PS I pamiętaj, że znakiem firmowym takich panów, jak my, powinno być 500 +
Jeszcze nas krzepka wiedzie dola,
jeszcze słońeczko świat nasz zdobi,
jeszcze się czasem strzeli gola
i te pięć stówek się dorobi.



W następnym numerze:



Krystyna Zachwatowicz: Mój Kraków

Dzień z życia lekarza

Blues spod Wawelu

Agnieszka Dauksza – „Portrety”
od czytelników

Januszowi Paluchowi

wyrazy współczucia
po śmierci Mamy.

Janusz, trzymaj się
w smutnym czasie.

Zespół „Krakowa”

Jackowi Balcewiczowi

składamy serdeczne wyrazy
żału po śmierci Taty.

Jacku, jesteśmy z Tobą.

Krąg „Krakowa”

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Kamery siadły na rzeźbie

Był rok 1974, kiedy to Spółdzielnia Mieszkaniowa „Hutnik” postanowiła upiększyć nieco osiedle Tysiąclecia. Nic w tym dziwnego, bo – jak wówczas donosiło „Echo Krakowa” – „SM Hutnik to znany w naszym mieście mecenas sztuki, konsekwentnie realizujący idee upiększania nowych osiedli mieszkaniowych”. Idea została wcielona w czyn i w osiedlowej przestrzeni pojawiły się dwie rzeźby znanych krakowskich artystów: *Spirala kosmiczna* Antoniego Hajdeckiego i *Zdobytą przestrzeń* Mariana Kruczka. Przy montażu rzeźb – jak relacjonowało dalej „Echo” – uczestniczył sam prezes spółdzielni, który zapewnił, że SM Hutnik nadal będzie propagować sztukę wśród mieszkańców Nowej Huty. Tyle historia. W naszych czasach uprzywilejowana pozycja drugiej rzeźby się zmieniła i bez pardonowo zamontowano na niej kamery do monitoringu okolicy. Pracownicy techniczni, najwyraźniej nie doceniwszy wartości dzieła, uznali, że ma ono odpowiednią wysokość, by posłużyć do systemu dozoru wizyjnego. I rozpętała się burza, na szczęście krótka, po której kamery usunięto. Teraz z innego pułapu będą obserwować pobliski plac zabaw. Choć nie brakuje głosów, że i owo pełne dzieciaków miejsce wchodzi w estetyczny konflikt z rzeźbą. Ale czy kiedykolwiek w Krakowie udało się wszystkich zadowolić?



Rys. Janusz Stefaniak

Spokojnie, to tylko dron!

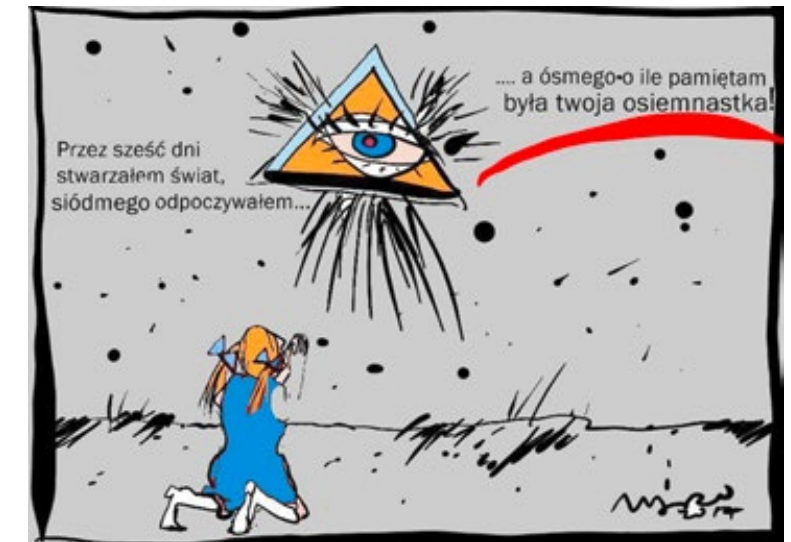
Każdy, kto wybrał się w noworoczne przedpołudnie na spacer po A-B, mógł być świadkiem niecodziennej sytuacji. Oto w dach bazyliki Mariackiej uderzył niewielki dron, czyli bezałogowy statek powietrzny. Śpieszmy jednak uspokoić: to nie był atak terrorystyczny, ale raczej niefrasobliwość pewnego turysty z Ukrainy. Gdy kręcił film za pomocą drona, w pewnym momen-

cie stracił nad urządzeniem kontrolę i utkwіło ono w rzezonym dachu. 24-latek wystukał natychmiast numer 112 i krakowscy strażacy dokonali dzieła ściągnięcia drona na ziemię. Zaraz po tym krakowscy policjanci sprowadzili na ziemię Ukraińca, stawiając mu zarzuty naruszenia przepisów prawa lotniczego. Tłumaczył, że zrobił to, bo znajomy zapewnił go, iż

może sobie pofruwać, choć tylko do pewnej wysokości. Wszystkim Wujkom Dobra Rada przypominamy, że takie prywatne loty są zabronione nad budynkami i skupiskami ludzkimi. Lecz, z drugiej strony, miło, że turystów z zagranicy tak urzeka uroda naszego miasta, iż chcą je sobie uwiecznić z lotu ptaka. Byle nie łamali przy tym dachówek i paragrafów.

Komu dzwonią, temu dzwonią...

... a nam przepięknie bije „Józef z Nazaretu”. Tak nazywa się nowy dzwon w bazylice Mariackiej, zawieszony dla uczczenia 700-lecia tej świątyni. Do tej pory byliśmy przyzwyczajeni do wygrywanego co godzinę na trąbce hejnału. Tu, oczywiście, nic się nie zmieniło. Natomiast od Nowego Roku, kiedy to punktualnie o godzinie 12.04 „Józef z Nazaretu” odezwał się po raz pierwszy, rozbrzmiewa on raz dziennie – tuż po południowym hejnale. Dzwon ma symboliczną wagę siedmiuset kilogramów i 103 centymetry średnicy kielicha. Został odlany w Przemysłu, w Pracowni Ludwisarskiej Jana Felczyńskiego, jednej z najstarszych w Polsce. I choć to może budzić zdziwienie, jest to pierwszy dzwon po kilkuset latach, który pojawił się w bazylice i zawisł na najwyższej kondygnacji dzwonnicy kościoła. Imię dzwonu oczywiście nie jest przypadkowe, gdyż święty Józef z Nazaretu od ponad 300 lat jest patronem Krakowa. Kiedy więc przystaniecie w południe na A-B, by posłuchać trąbki hejnalisty, zatrzymajcie się parę chwil dłużej, aby przekonać się, jak bije serce „Józefa”.



Rys. Marek Braun

Liczymy na szczodrość Chińczyków

A co to się stało z tą skarbonką na Rynku? – jeszcze nie tak dawno pytała nas na A-B pani Basia, emerytowana urzędniczka, która chciała uszczknąć co nieco ze swojej łaskawie otrzymywanej 13 emerytury i wrzucić parę złotych na ratowanie krakowskich zabytków. Pani Basia może być już spokojna, gdyż skarbonka powróciła. Nie było jej dwa miesiące, bo tyle czasu potrzebowała, by dojść do siebie po ataku wandalii powracających pewnej nocy z imprezy.

Skarbonka SKOZK ma już zespawaną konstrukcję i jest gotowa do przyjmowania donacji. Niespodzianką jest to, że na skarbonce pojawiła się tabliczka z napisem „Na odnowę zabytków Krakowa” w języku chińskim. To bardzo trafna inicjatywa, zważywszy, że gości z Państwa Środka z roku na rok u nas przybywa. Przewodników po Krakowie prosimy więc, by oprowadzając ich po mieście, nie omijali skarbonki. Dla odnowy naszych zabytków także yuan ma swoją wartość.

Mandat wypisany w mongolskiej jurcie

Nie, nie, to zdarzenie nie miało miejsca w Ułan Bator ani na pustyni Gobi, lecz przy krakowskiej ulicy Nad Strugą, w rejonie alei 29 listopada. Otóż strażnicy miejscy zostali poproszeni o interwencję w sprawie kopcącego pieca. Wezwanie, jak wezwanie – świadczy o obywatelskiej czujności w walce ze smogiem. Ale kiedy urzędnicy przyby-

li na miejsce, okazało się, że szkodliwy piecyk znajduje się w mongolskiej jurcie. Ten należący do Centrum Kultury Mongolii namiot służy mieszkającym w naszym mieście obywatelom tego kraju do spotkań. W jego wnętrzu zaś znajduje się piecyk typu koza, który feralnego dnia miał ogrzewać Mongolów zakazanym drewnem. Na szczęście

strażnicy interweniowali szybko, a Tomasz Żybula, dyrektor CKM, przeprosił za zdarzenie. Jednocześnie pochwalił strażników za sposób interwencji, gdyż zamieszanie trwało ledwie 20 minut. Dyrektor ze zrozumieniem zaakceptował także 300 złotowy mandat. Można więc powiedzieć, że sprawę kozy rozstrzygnięto po džentelmeńsku.



Kamil Targosz, *Zima*, 2016

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
 Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
 Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
 Grzegorz Szymański, Warszawa
 Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
 Aleksander Skotnicki, Kraków
 Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
 Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
 Stanisław Dudzik, Kraków
 Adam Michnik, Warszawa
 Marek Borkowski, Kraków
 Janusz Szerła, Kraków
 Grzegorz Kogut, Kraków
 Robert Barański, Kraków
 Józef Palinka, Warszawa
 Marek Braun, Kraków

Krystyna Zachwatowicz, Kraków
 Aleksander Herzog, Warszawa
 Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
 Jacek Purchla, Kraków
 Artur Wolski, Warszawa
 Kazimierz Sumera, Zawoja
 Lidia Hanusiak, Kraków
 Andrzej Gaworski, Warszawa
 Tomasz Janowski, Kraków
 Józef Opalski, Kraków
 Halina i Leszek Domańscy, Kraków
 Katarzyna Janowska, Warszawa
 Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
 Stanisław Bisztyga, Kraków;
 Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
 Krzysztof Bień, Kraków
 Teresa Bergier, Kraków
 Antoni Legeżyński, Kraków
 Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
 Elżbieta Motas, Warszawa
 Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków

Iwona Ben, Kraków
 Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
 Józef Grudnik, Kraków
 Teresa Prac, Warszawa
 Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
 Ewa Rusek, Kraków
 Andrzej Wyrobiec, Kraków
 Jarosław Poczykowski, Białystok
 Marcin Barcz, Piaseczno
 Tomasz Langie, Kraków
 Tomasz Majka, Zawada
 Jerzy Zoń, Kraków
 Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
 Anna Kosiorkiewicz, Kraków
 Jerzy Hausner, Kraków
 Katarzyna Bilan-Zajęc, Kraków
 Monika Gierko-Libicka, Warszawa
 Waldemar Smolski, Kraków
 Rafał Bubnicki, Wrocław
 Adam Opatowicz, Kołbaskowo
 Dominika Dudek, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwa miesiące miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
 pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
 31-154 Kraków
 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
 tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
 – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
 Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Maszynopis znaleziony na dnie szuflady

Tekst: Jerzy Pilch

Podczas przeprowadzki znalazłem kilka zadziwiających jednorodnością manuskryptów. Oto pierwszy z nich.

Był początek upalnego lata. Siedziałam, jakbym nie siedziała, żyłam, jakbym nie żyła. Inaczej mówiąc, wkurwiało mnie wszystko, a myśli moje krążyły wokół spraw wstydlivych. Poczucie, że oddam się komukolwiek, nie towarzyszyło mi od zawsze, nie urodziłam się z nim, nie nabyłam go w procesie dorastania ani w ciągu mojej – usłanej sukcesami – edukacji. Przyszło do mnie ostatnio po fiasku, jakim okazało się życie ze światowej (jak twierdził) sławy muzykiem.

Dzień zamieniał się w noc, w ręce moje wpadł jego czerwony kalendarz – na liście niezwykle ważnych spotkań tego tygodnia zamigotało jak cekin na dnie szuflady, w której nie zamierzasz już niczego znaleźć, nazwisko dość znanego pisarza, którego pociąg do kobiet był równie pociągający jak jego przeskalowane oprawki okularów. Zawahałam się, ale mam dwadzieścia lat. Wahanie nie trwało długo. Tak jak myślałam, esemes o treści: „Zawsze chciałam się z Panem spotkać”, zadziałał w ciągu minuty i trzydziestu ośmiu sekund. Następnego dnia w samo południe popijaliśmy już kawę z eleganckich porcelanowych filiżanek, maczaliśmy w niej masłanego rogała.

Nie mogłam spotkać się z uwielbianym przeze mnie pisarzem ot tak, przecucie nakazywało mi staranne dobranie garderoby, staranne wykonanie makijażu, staranne nałożenie konturówki i wypełnienie ust pomadką, staranną depilację całego ciała, staranne przemyślenie, co będzie, jeśli nic nie będzie, i co się wydarzy, jeśli coś się wydarzy. Wiecie, co mam na myśli.

Kolebiąca się winda, niepozorne drzwi i niedbała wycieraczka. Nigdy wcześniej nie byłam w pracowni pisarza, a jednak nie powstrzymałam się od wypalenia z najcięższego działa. – Och, ile książek – parsknęłam. Z tysiąca innych zdań wybrałam właśnie to: »Och, ile książek«. Skończona podstawówka, gimnazjum, liceum, studia, nadzieje rodziców – wszystko na marne. Oczywiście była to jednak najświętsza prawda, nigdy w życiu nie widziałam tylu książek w jednym mieszka-

niu. Książki były w kuchni i w łazience, książki wypełzały z balkonu, ich sterty tworzyły labirynty już w przedpokoju, prowadząc do pracowni całej w książkach. Były na ścianach i były na podłodze, na szafkach i półkach, na biurku i na stoliku. Największe nazwiska świata i wszystkie nowości, niektóre nadal w kopertach i w pudełkach. Niejedna księgarnia jest gorzej zaopatrzona – pomyślałam...

Teraz, kiedy Cię nie ma w domu – mam namiastkę tego, co będzie, kiedy Cię nie będzie w ogóle. Jest po dwudziestej. Cisza, potem odgłos wirującej pralki, którą ustawiłeś w kuchni i która jest zbyt mała, by pomieścić nasze rzeczy, kapuśniaczek za oknem. Nikt nie dzwoni i nie pyta, co u mnie. Nie ma Ciebie w drugim pokoju ani w łazience. Tłusty odcisk twojego palca na granatowej ścianie. Nie słychać telewizji. Słowem – wielka cisza w samym sercu Warszawy.

Kiedy jestem sama w domu, podkładam buty pod drzwi, żeby sprawdzić, czy rano będą przesunięte, czy ktoś wchodził do mieszkania. Bez Ciebie brak światła na klatce onieśmiela, każdy szmer niepokojący. Zaraz zrobię ciepłą herbatę, taką, jaką lubimy najbardziej – mocna earl grey z tej herbaciarni, gruby i równy plaster cytryny, sok malinowy z miodem, może i kilka goździków; zaniosę kubek do pokoju, postawię przy łóżku, okryję kocem nogi i będę czekać, aż wrócisz.

Może i mam Cię czasem dość, Ciebie i Twojego zapatrzenia w siebie, w swój ból i chorobę, ale tylko na chwilę. Bez Ciebie jestem tak, jak przed trzema laty – senna, smutna. Przeczkiwałam życie, swoją młodość, aż przyjechałam do Warszawy. Nauczyłeś mnie jeść ciastka na śniadania, najtłustsze, najśłodsze z możliwych, i całować, podobno mistrzowsko.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

cud światła

WITRAŻE ŚREDNIOWIECZNE W POLSCE

WYSTAWA 1 4 | 0 2 | 2 0 2 0

2 6 | 0 7 | 2 0 2 0

MNK
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

GMACH GŁÓWNY
AL. 3 MAJA 1 / MNK.PL

Mecenas Muzeum Narodowego w Krakowie

Partner Strategiczny Muzeum Narodowego w Krakowie

Partner promocyjny

Partner wystawy



ams

GRUPA ZUE



Kamil Targosz, *Nie było mnie*, 2019